WYŚLIJ KARTKĘ OBROŃCOM POLSKICH GRANIC

WIELKI SUKCES NASZEJ AKCJI. DOŁĄCZ!

UJAWNIAMY! PUŁAPKA FRONTEXU

BIDEN. ZMĘCZONY CZŁOWIEK I WŁADZA

TYLKO U NAS

IVICA ŠOLA: POLSKA PRZEWODZI WALCE Z SOWIETYZACJĄ UE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 47 (469) 2021
22–28 listopada 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA

W EKSKLUZYWNYM WYWIADZIE

POLSKA NIE PĘKNIE!

WYGRYWAMY BITWĘ O GRANICĘ

29 LISTOPADA

W TYGODNIKU SIECI

PREZENT

DLA CZYTELNIKÓW

PRAKTYCZNY

KALENDARZ ŚCIENNY

- Będzie ozdobą w Twoim domu
- Przypomni o świętach i imieninach
- Pomoże zaplanować długie weekendy z pomocą tabeli odległości między miastami w Polsce i Europie
- Przypomni o handlowych niedzielach

Partner kalendarza

ORLEN

eprasa.pl 693012e7cd

Stanęli murem za polskim mundurem

Gdy chorzy z nienawiści do Polski celebryci organizują rzekomą pomoc dla imigrantów atakujących naszą granicę, w Polakach budzi się spontaniczny odruch wdzięczności dla polskiego munduru. Gdy Zbigniew Hołdys prowadzi koncert o zakłamanej nazwie „Chopin też był uchodźcą" (choć był nie uchodźcą, lecz emigrantem), nasi czytelnicy tłumnie odpowiadają na akcję wysyłania pocztówek dla obrońców polskich granic. Kartki zaczęły do nas przychodzić setkami już dwa dni po skromnym ogłoszeniu na portalu wPolityce.pl – w okienku nadawcy widnieją adresy z całej Polski, wiele treści kreślonych jest ręką dzieci, a wszystkie są szczere i przejmujące.

Co się takiego stało, że wbrew wrzaskliwym celebrytom, takim jak Władysław Frasyniuk czy Barbara Kurdej-Szatan, obrażającym naszych mundurowych, Polacy stanęli „murem za polskim mundurem"? Szumnie zapowiadany koncert gwiazd zebrał w internecie kilkuset widzów, a nasza skromna akcja – tysiące ręcznie wypisywanych kartek.

Nie udało się establishmentowi III RP przerobić Polaków na biernych wobec swojej ojczyzny półobywateli, zajmujących się tylko sobą i pozornym humanitaryzmem. Polski mundur jest w naszym kodzie kulturowym głęboko osadzony jako symbol suwerenności państwa i honoru jego obrońców.

Ale ta sytuacja pokazuje coś więcej, bo oto znowu w obliczu wspólnotowego przełomu widnieje jak na dłoni podział: my i oni. My to zwykli Polacy, lubiący polską literaturę, patriotyczne uroczystości, ceniący Kościół, tradycję i rodzinę, marzący o spokojnej, bezpiecznej, ale i silnej ojczyźnie. Oni to aktywiści bliżej nieokreślonego postępu, którzy wiecznie chcą nas edukować, czegoś oduczyć, przerobić na niby-Europejczyków. Oni mówią, że beneficjenci 500+ to patologia, a rosłe chłopy z Iraku jadące po zasiłki do Niemiec to ubogacający kulturowo uchodźcy. Oni dzisiejszą Polskę nazywają „tenkrajem", a PRL – niedoskonałą, ale jednak Polską. Oni pozwalają Marcie Lempart krzyczeć „wyp...ć" do całego duchowieństwa, a oburzają się na polskiego żołnierza za twarde egzekwowanie rozkazów. Wielu saloniarzom wydawało się, że kod kulturowy Polaków już dawno udało się wypłukać, inni się właśnie dowiedzieli, że kod kulturowy jednak istnieje – że zawiera przywiązanie do kraju, bezpieczeństwa i polskiego munduru. I znowu poczuli się obco. Oni sobie, naród sobie. Próbując w ucieczkę od polskości zabrać resztę społeczeństwa, kończą w materiałach propagandowych Łukaszenki (Kurdej-Szatan cytowana w białoruskiej telewizji) albo topiąc się we własnym jadzie wyzwisk i porównań kraju do III Rzeszy. Warszawskie dandysy kompletnie się pogubiły, bo Polacy zamiast wspierać bliskowschodnich migrantów, wolą swoich żołnierzy, zamiast słać paczki statystom Putina, kibicują polskiemu mundurowi, i zamiast tkliwego szczebiotu o marznących dzieciach wolą jednak bezpieczeństwo i suwerenność.

Jakimś cudem, naprawdę nieprawdopodobnym zbiegiem różnych czynników, Polska nie dała się jeszcze walcom postkomunizmu i nowoczesności. Nie malujemy kredkami na asfalcie ani nie gramy patetycznego „Imagine" na rzecz najazdu przedstawicieli innego kręgu kulturowego, a Piotry Kraśki i Agnieszki Holland są uprzywilejowani tylko dzięki konsekwencjom patologii historycznych, a nie naturalnemu procesowi wytwarzania elit. Tzw. autorytety opozycji w 2005 r. mówiły: „Nie płakałem po papieżu". W 2010 r. „Sami się zabili". Dziś porównują Straż Graniczną do strażników obozów koncentracyjnych. Dlaczego elity III RP tak bardzo rozbijają wspólnotę w momentach próby? Bo czują się tutaj obco.

Cóż nam pozostaje? Robić swoje i dziękując za dotychczasowe, prosić o więcej wyrazów wsparcia dla obrońców naszych granic. Kartki pocztowe można wysyłać na adres: **Tygodnik „Sieci", ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa. Z dopiskiem: „Dla obrońców granic".** To naprawdę wiele znaczy.

Jakub Augustyn Maciejewski

Autopromocja

eprasa.pl 693012e7cd

Dzielnym obrońcom naszych polskich granic

Z całego serca dziękuję za to wszystko, co zrobiliście dla naszej społeczności w czasie pandemii. Dziękuję, że mogliśmy na was liczyć. Kiedy był najcięższy okres, a teraz dziękuję. Życzymy dużo zdrowia

Dla kochanych Obrońców Polskich granic

Kochani Żołnierze!
Dziękujemy Wam,
że bronicie granic
naszej Ojczyzny
Klasa IIa ze Szkoły Podst. Nr 6 w Toruniu

Kuba Szymczak kl. II

Mundurowi, jesteśmy z Was dumni i wdzięczni za Waszą pracę, ciężką pracę. Dziękujemy, że Nas mamy. Dziękujemy, że jesteście

TYGODNIK SIECI
W. FINLANDZKA 10
03-903 WARSZAWA
DLA OBROŃCÓW GRANIC

Dziękujemy Obr
za to że bronią
POLSKI

Murem za Mundurem

Dziękuję za tyże bronicie granicy Polski i za to, że walczyliście za naszą Ojczyznę. Wspieramy. Całym sercem was!

godło polskie

eprasa.pl 693012e7cd

NASZA AKCJA

Dziękujemy za tysiące kartek dla obrońców polskiej granicy.

Prosimy o więcej!

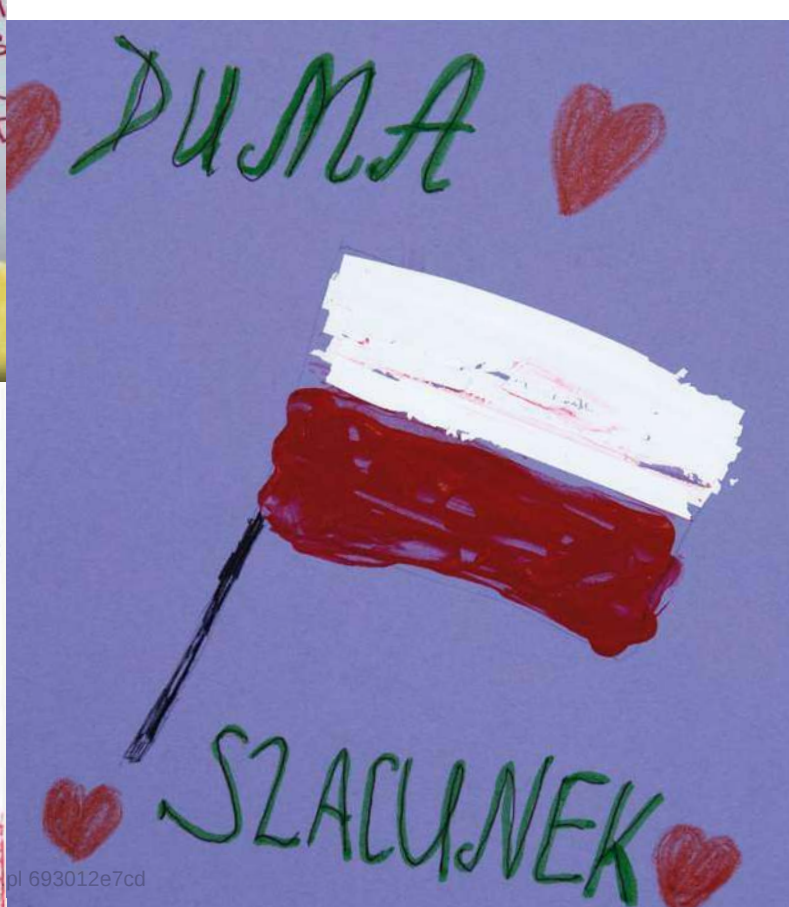

epiasa.pl 693012e7cd

SIECI spis treści

41 *Pułk bez winy* *Marek Pyza*

56 Pandemia niezaszczepionych *Marek Budzisz*

88 Złota Piłka nie dla Lewandowskiego? *Cezary Kowalski*

NA POCZĄTEK

8 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

10 **KROWA, RYK I MLEKO**
Krzysztof Feusette

11 **I TO MA BYĆ WOLNOŚĆ!?**
Dorota Łosiewicz

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **KAMUFLAŻ TERMINOLOGICZNY**
Jan Pietrzak

14 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

15 **WIELKA ORKIESTRA PUTINOWI POMOCY**
Bronisław Wildstein

16 **WALIZKA BARBARY I JAROSŁAWA KŁAPUTÓW**
Michał Korsun

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNICTWA 2.0**
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 **JUŻ NIE KLASZCZĄ**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

22 **Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ**
rozmawiają Jacek Karnowski i Marcin Wikło

KRAJ

30 **FRONTEX NIE POMOŻE**
Konrad Kołodziejski

34 **KLĘSKA SUKCESU PLATFORMY**
Stanisław Janecki

38 **Z PATRYKIEM JAKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

41 **PUŁK BEZ WINY**
Marek Pyza

44 **PREZYDENCKIE DYWAGACJE I POMYSŁY**
Jan Rokita

48 **SIEĆ POWIĄZAŃ KALISKIEJ PROWOKACJI**
Jakub Augustyn Maciejewski

50 **NOWY BŁOGOSŁAWIONY**
Milena Kindziuk

OPINIE

52 **Z JACKIEM PAŁKIEWICZEM**
rozmawia Jacek Hałas

ŚWIAT

56 **PANDEMIA NIEZASZCZEPIONYCH**
Marek Budzisz

60 **ZMĘCZONY CZŁOWIEK I WŁADZA**
Aleksandra Rybińska

64 **EUROPA BŁĄDZI**
Z Ivicą Šolą rozmawia Goran Andrijanić

SIECI KULTURY

67 **NA MALINY**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **POLSKIE TRIO I AMERYKAŃSKI GOŚĆ**
Adam Ciesielski

72 **SPINIZM I PIARYZM**
Robert Tekieli

73 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

74 **POLECA**
Łukasz Adamski

ZDROWIE

78 **CHORYM POTRZEBNE SĄ DOBRZE FUNKCJONUJĄCE OŚRODKI LECZENIA**
Debata

SPORT

81 **NASZE ORŁY ZNÓW W POWIETRZU**
Dodatek o skokach narciarskich

88 **ZŁOTA PIŁKA NIE DLA LEWANDOWSKIEGO?**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

90 **MOJE SMAKI: WIOLETA BŁAZUCKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

91 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 **FRONTY WOJNY**
Wojciech Reszczyński

93 **BĄKIEWICZ I ZEZ**
Aleksander Nalaskowski

95 **TROSKA TWÓRCY O REPUTACJĘ**
Jerzy Jachowicz

96 **KIM BYŁ CHOPIN?**
Ryszard Makowski

97 **PRZYJACIOŁOM W PODZIĘCE**
Leszek Długosz

98 **SERCE I ROZUM**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 4/1121/F

eprasa.pl 693012e7cd

ORLEN paczka

Zawsze blisko
Zawsze wygodnie

Stacje ORLEN

Automaty paczkowe

Kioski RUCH-u i punkty odbioru

Usługa dostępna w kioskach RUCH-u, punktach partnerskich, automatach paczkowych i na wybranych stacjach ORLEN. Lista punktów dostępna na orlenpaczka.pl

eprasa.pl 693012e7cd

Sygnalista nadaje

Politolog Marek Migalski w dzienniku „Rzeczpospolita" wskazuje, że „COVID-19 zabił ok. 80 tys. obywateli Polski". Kto ponosi winę za tę tragedię? Oczywiście prezydent i oczywiście rząd. W końcu padają naprawdę straszne słowa: „Prawdopodobnie polskie władze zabiły (przez swe działania/zaniechania) więcej Polek i Polaków niż Stalin polskich oficerów w Katyniu". Nie dziwi nas nic. Ani to, że Migalski to mówi, ani to, że „Rzeczpospolita" to drukuje. Takie czasy.

Samorządowcy też potrafią mówić straszne głupoty. Prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski postanowił poudawać niedouczonego celebrytę i wzruszyć się losem migrantów: „Polska nie może odwracać się od matek z dziećmi, które głodne, [uciekając] przed wojną, próbują przedostać się przez granicę. Polska wiele lat i wiele razy była obszarem walki zbrojnej. Wiemy, jak wyglądają obrazy cierpiących matek, wiemy, jak wyglądają obrazy krwi na ulicach, choćby przypominając sobie obrazy z Powstania Warszawskiego". Tak, to wiemy. Dlatego potrafimy rozeznać, kiedy trzeba nieść pomoc, a kiedy bronić ojczyzny.

Z kolei prezydent Nowego Sącza Ludomir Handzel tak mówił 11 listopada: „Ja mam nadzieję, że do Polski powróci profesjonalna dyplomacja, która zapewni Polsce bezpieczeństwo, a nie podpalanie kolejnych frontów na całym świecie. Mam nadzieję, że podamy rękę naszym sąsiadom i naszym sojusznikom i nie będziemy niszczyć ich interesów ekonomicznych, politycznych i zagrażać. To jest ważne dla pokoju w Polsce i pokoju w Nowym Sączu". Tym razem wołanie o obcą „opiekę" jest wyłożone wyjątkowo jasno. Bo to chyba wyjątkowy głuptas, a może nawet gorzej.

Poseł KO i były minister spraw zagranicznych zdziwił się aplikacją Pola, która – poprzez analizę kodu kreskowego – pozwala sprawdzić, czy produkt został wyprodukowany bądź wytworzony w Polsce. Gdy Klub Jagielloński poinformował o nowej wersji aplikacji, Sienkiewicz zareagował tak: „To się nie dzieje naprawdę? Powiedzcie mi, że nie, proszę!". Można podziwiać „refleks" polityka, bo aplikacja działa już sześć lat. Można też podziwiać podejście do patriotyzmu gospodarczego. Zgodnie z zasadą: w Niemczech, we Francji – proszę bardzo, ale w Polsce?! Kto to słyszał, by na wschód od Odry dbać o swój kraj?

Posłanka Platformy Obywatelskiej Izabela Leszczyna ocenia, że polityka PO jest „bez fajerwerków, bez tej szabli w dłoni, ale za to bardzo bezpieczna, gwarantuje silną pozycję Polski w Trójkącie Weimarskim, w Unii, w świecie". I dodaje: „Ludzie nam zarzucają, że za wcześnie zaczęliśmy używać wielkich i groźnych słów, mówiąc o PiS-ie. A ja myślę, że nie. Że trzeba było przed nimi ostrzegać. Może trzeba było straszyć bardziej". Platformą straszyć nie trzeba. W tym wypadku wszystko widać jak na dłoni.

Rafał Trzaskowski przegrał z rządem i Robertem Bąkiewiczem prestiżową konfrontację wokół Marszu Niepodległości. Marsz przeszedł, był wyjątkowo liczny i wyjątkowo spokojny. Prezydent Warszawy nie może wyraźnie tego przeboleć. Może dlatego kąsa w sposób wyjątkowo niezgrabny i nieelegancki, sięgając po takie oto sformułowania: „Bąkiewicz martwi się, że Niemcy nastają na jego tożsamość płciową – to nadaje się do zbadania przez psychiatrę". Cóż, nie każdy ma w sobie tę płynność, z której słynie gospodarz stolicy.

Trzaskowski narzeka też na wysokie koszty uprzątnięcia trasy Marszu Niepodległości przez miasto. „To absurdalne, że musieliśmy zabezpieczać remonty, zabierać kosze, rowery. Dla PiS-u to się kłóci z patrioty-

eprasa.pl 693012e7cd

zmem, jak rozumiem. [...] Przesunęliśmy 400 ton kamienia. To koszty idące w setki tysięcy złotych, właśnie je szacujemy. Rząd to zorganizował, powinien za to zapłacić. Wyślemy taki rachunek do wojewody, skoro to święto państwowe". Powtarzamy: tak wybitny i tak pracowity menedżer z pewnością poradzi sobie sam.

Aktorka Maja Ostaszewska wystąpiła na konferencji prasowej w lesie nieopodal strefy objętej stanem wyjątkowym, snując taką oto opowieść: „Moi przyjaciele dzień wcześniej spotkali grupę trzech nastolatków z Syrii i Iraku w wieku 15–16 lat. [...] Ci chłopcy byli tak zmarznięci i tak wykończeni, również psychicznie, że nie byli się w stanie sami przebrać, moi przyjaciele pomagali im się przebrać. Na drugi dzień wysłali wiadomość do organizacji, która też do nas dotarła, że proszą, żebyśmy wrócili do nich, tylko po to, żeby z nimi chwilę pobyć, bo nie chcą być sami". Potwierdza się, że cywilizacja islamu to samo dobro.

Aktorzy mogą nie rozumieć tego, co się dzieje – bo w końcu nie za to im płacą. Ale prof. Środa rozumie. „Nadzieją na to, że państwa narodowe »rozpłyną się« w większej wspólnocie, była Unia. Nie jest to jeszcze nadzieja płonna – przekonuje, stawiając sprawę jasno: – Kierunek naszego rozwoju jest więc prosty: odnarodowić państwo, a potem odpaństwowić wspólnoty, wtedy uniwersalne idee człowieczeństwa i jego praw będą miały przestrzeń do rozwoju". Co więcej, będzie też dużo przestrzeni dla tych państw, które jednak się nie rozpłyną – a będzie ich co najmniej kilka, i to sporych.

Aktor Maciej Stuhr ma z kolei taką refleksję: „Łukaszenka jest krwawym dyktatorem, który desperacko trzyma się stołka. Ale władza każdego dyktatora tak i jego dobiegnie kresu. »Spisane będą czyny i rozmowy«. Podejrzewam, że za parę lat ze świecą będzie trzeba szukać na Białorusi tego, kto wspierał Łukaszenkę. W odpowiedniej skali i proporcji podobnie będzie kiedyś w Polsce – będziemy się zastanawiać, kto tak naprawdę głosował na Kaczyńskiego. I za jakiś czas trudno będzie takich ludzi znaleźć". Za surowo. Kto jest dinozaurem, to się dopiero okaże.

Aktorka ***Krystyna Janda*** ujęła się za aktorką Barbarą Kurdej-Szatan, która nazwała strażników granic „mordercami". „To już straciło wszelką miarę człowieczeństwa. Wycie radości z Jej »upadku« i piramida ujadań na temat głupoty artystów, szał szczęścia za kary, które Ją spotykają, i przechodzące wyobrażenia złe życzenia, obezwładniają i odbierają wszelką nadzieję na lepsze jutro. Przy czym nie ma słowa o słuszności Jej oburzenia, o poparciu Jej niezgody na traktowanie ludzi, a w szczególności dzieci na granicy wschodniej. Smutne. Dla nas wszystkich. Czarna perspektywa dla naszego »wspólnego domu«" – żali się Janda. Cóż, trzeba było nie rozlewać szamba spod znaku błyskawicy.

Na szczęście są i aktorzy, którzy myślą. Sebastian Fabijański zapewnia, że nie jest wyborcą PiS, lecz „zmęczonym obywatelem RP, który ledwo co otworzył oczy, a już słyszy zewsząd dochodzący pisk i wrzask", ale podkreśla: „Już dawno nie chodzi o tych ludzi na granicy! Znaleźliśmy sobie kolejny pretekst do walki z obozem rządzącym. Przestańmy, bo to nas (ponoć artystów) upokarza i robi z nas ujadające jorki, które szczekają, broniąc swoich drogich willi". „Ujadające jorki" – celne, choć może wciąż zbyt łaskawe.

Red. ***Tomasz Lis***: „Patriotyczny wzwód czasem jest wyłącznie wstępem do monstrualnej klęski i żenującego zawodu, choć zwykle daje chwilowe poczucie mocy. Patriotyzm strun głosowych często nie wytrzymuje próby charakteru, a patriotyzm kastetu i pałki próby rozumu. Tak, trzeba bronić granicy kraju. Z powodu małego zagrożenia udaje się to robić z powodzeniem. Znacznie gorzej idzie nam z obroną dziurawej jak sito granicy przyzwoitości". Ponawiamy apel o budowę ośrodków dla imigrantów w najlepszych dzielnicach stolicy.

Miesiąc temu posłanka Lewicy Magdalena Biejat zasłynęła wypowiedzią o „granicy słoweńsko-ukraińskiej". Do tematu wróciła w Radiu Zet Beata Lubecka. Poprosiła posłankę o wymienienie, z kim graniczy Ukraina. „Graniczy z Polską chociażby i ze Słowacją". Z kim jeszcze? „Proszę nie odpytywać mnie z geografii, bo nie o to chodzi". Padło też pytanie o państwa sąsiadujące z Polską. „Boże drogi, no... Szczerze mówiąc, to jest sprowadzanie tej dyskusji do absurdu" – mówiła posłanka, zapewniając, że wie, kto graniczy z naszym krajem. Ale czy naprawdę wie? Pewien znak zapytania pozostał.

Była premier ***Ewa Kopacz*** wymieniana jest jako potencjalna kandydatka na nowego szefa Parlamentu Europejskiego – poinformował serwis Politico. „Wielu popiera pomysł, by na czele instytucji UE znalazła się proeuropejska postać ze wschodniego kraju, biorąc pod uwagę obecne napięcia między Brukselą a wschodnimi członkami UE" – czytamy w artykule. Lista chętnych jest długa i droga daleka, ale trzymamy kciuki. Europa zasługuje na trochę rozrywki.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Mateusz Zalnik, 360b / Shutterstock.com

eprasa.pl 693012e7cd

Krowa, ryk i mleko

KRZYSZTOF FEUSETTE

Gorąco witam państwa w nowym programie kulinarnym pod tytułem „Gotuj... się na najgorsze, czyli głodne kawałki eurowegankі". Pozwólcie, że zanim opowiem, jak zrobić kurczaka z kawałka gąbki i bulionu na skarpetkach, skonsumuję łyk herbatki zaparzonej przeze mnie specjalnie na potrzeby naszego widowiska. Nie jest to, oczywiście, herbata z prawdziwej herbaty, bo nie będę przykładać ręki do niszczenia krzewów, które mogą posłużyć za pożywienie dla zbłąkanych owadów, bo nie wiem, czy państwo wiedzą, ale to także są zwierzęta. Te owady, nie krzewy. Moja herbata została zaparzona na ekologicznych barwnikach do jaj z wolnego wybiegu, bo w herbacie nie liczy się smak, ale kolor. Miałam nawet pomysł, żeby wykorzystać, w ramach walki z marnowaniem zasobów naturalnych, wodę z muszli toaletowej. Niestety, po podgrzaniu nie nadawała się już do niczego. Więc teraz, w tym pięknym ekokubku z wypalanych odchodów rzadkiego gatunku małpy, z którego zyski zasilą konto Europejskiego Stowarzyszenia Obrońców Rzadkiej Małpy, mam jedynie wodę barwioną, cynamon oraz resztki soi z obiadu, żeby się nie zmarnowały.

Niestety, jako europosłanka, a ściślej rzecz ujmując, osoba europoselska z ramienia członka Zielonych, nawet w Brukseli, stolicy progresywnego progresywizmu, spotykam się z licznymi przypadkami klimatycznej obojętności, a także bezkrwawego okrucieństwa. Kiedy tylko przybyłam do stolicy Belgii, pociągiem o napędzie, mam nadzieję, wiatrowym, na stołówce Parlamentu Europejskiego, pośród warzyw i owoców, odnalazłam kawałki ugotowanego mięsa pochodzenia zwierzęcego, a także sery z mleka gwałconych krów. Przypomnę, że taka krowa trafia potem do kartonu, wróć, mleko trafia do kartonu, który zrobiony jest z papieru, a więc drzew ściętych tylko po to, by krowy nie miały się gdzie ukryć przed człowiekiem. Nie chcę kontynuować tematu bydła, bo kiedyś spotkałam się z negatywnymi reakcjami po opublikowaniu grafiki z krowami w pasiakach z niemieckich obozów koncentracyjnych. Do dziś nie rozumiem tamtego oburzenia. Podobnie jak tego, że Unia Europejska dokłada się do mleka w szkołach. Jak można tak deprawować najmłodszych? Czy już naprawdę nasze dzieci, to znaczy wasze, bo ja nie mam, muszą pić akurat mleko? Tylko dlatego, że lekarze tak zalecają? A co z opinią krowy albo chociaż kogoś, kto krowy w Brukseli reprezentuje? Jak mamy potem przekonać to ciemne, jak bakłażan z grilla, polskie społeczeństwo do nowych projektów ustawodawczych? A choćby tych, które nadadzą wreszcie zwierzętom czynne i bierne prawa wyborcze? Czy mamy potem zjadać naszych posłów i posłanki? A jeśli, dajmy na to, jakaś świnia zostanie senatorem, to co? Nadal będziemy udawać, że schabowe nie mają godności?

Stąd moja propozycja, złożona publicznie, aby osoby jedzące, co ja mówię „jedzące", raczej pożerające i rwące brudnymi łapskami te wszystkie mielone, schabowe, rumsztyki, szaszłyki, klopsiki, gulasze, kurczaki, tatary, de volaille'e, kiełbasy, szynki, boczki, polędwice, salami, pasztetową oraz całą resztę owoców zbrodni – musiały pójść z torbami. I nie wracać. Bo są zamienniki. Szynkowe z tofu i smalce z marchewki, hot dogi z soi i udźce z fasoli, są jajka prosto od krowy i kurze mleko, jak żywe, a wszystko z kaszy. Tylko kasza z soi. I to jest wszystko dużo zdrowsze, bo wpływa na mózg. Choćby dlatego, że ciągle trzeba kombinować, jak zrobić mięso bez mięsa... O czym to ja mówiłam?

Aha, o mordercach konserw i wyrobów garmażeryjnych. Moja propozycja jest następująca: parówkowym mięsożercom powiedzmy: nie! Przywalmy im takie składki na służbę zdrowia, żeby im buty pospadały. Nie chcą sojowego latte? Niech płacą. Jak będzie musiał jeden z drugim dać parę stów za plasterek mortadeli, to szybko się na tofubaby przerzuci. Ja, oczywiście, nie jestem ani pierwsza, ani naiwna i wiem doskonale, że sprzedawcy czy producenci mięsa sami cen nie podniosą, bo musieliby zwariować, ale od tego właśnie będzie nowy urząd Wysokiej (albo Chudej, jeszcze nie wiem...) Komisarki do spraw Wdrażania Dyrektywy „Świat bez Mięsa 2030". Oczywiście, tak jak w przypadku walki z ociepleniem klimatu i emisją gazów cieplarnianych będziemy zmuszeni zawęzić pole naszych działań do Europy, i to niecałej, bo pewnie skończy się na Polsce i Węgrzech, ale mnie to wystarczy. Odpowiednio przeszkoleni funkcjonariusze Ochotniczych Rezerw Mięsa Odroślinnego mogliby łapać na gorącym półmisku czy innym uczynku jednostki mięśnie zdegenerowane. Kontrola ognisk harcerskich czy działek rodzinnych podczas długich weekendów mogłaby przynieść Komisji do spraw Wdrażania pokaźne sumy, te zaś można by przeznaczyć na Fundację „Okonie przeciw Wędkarzom", która pomaga rybom w puszkach wrócić do wody. Albo na walkę z niewolnictwem pszczół. Bo do programu „Koniec z 3M!", oprócz mleka i mięsa, musimy dopisać (o tym też już mówiłam publicznie) tzw. miód. To, że coś jest słodkie, nie oznacza, że jest niewinne. Niedźwiedź, żeby sięgnąć miodu, musi wejść na drzewo (widziałam w „Kubusiu i Hefalumpach"), a człowiek? Czy pszczołom płaci? Czy widział ktoś ul większy od domu pszczelarza? Te przybytki miodowego wyzysku powinny zostać zamknięte, a ich właściciele rozliczeni z każdego żądła. Przepraszam, rozgadałam się, jak najęta, a chciałam jeszcze państwu pokazać prosty przepis na sałatkę owocową bez bekonu oraz bezmięsne pierogi z mięsem. Ale na początek: jak przekroić cebulę, żeby nie cierpiała. O, i już się wzruszyłam...

eprasa.pl 693012e7cd

I to ma być wolność!?

Czy poczucie bezpieczeństwa mogą mieć kobiety, które muszą przebywać w jednej celi z mężczyznami?

Zdaniem lewicy przetaczająca się przez Zachód rewolucja społeczna, rewolucja gender czy transgender, jak ją nazywają niektórzy, ma doprowadzić do zwiększenia zakresu swobód dla jednostek. Jak to wygląda w praktyce?

Miałam niedawno okazję wziąć udział w jednym z paneli konferencji „Zderzenie kulturowe w UE", organizowanej przez europosła Patryka Jakiego. Celem konferencji z udziałem polityków, ekspertów oraz dziennikarzy było – jak mówił inicjator – podsumowanie dotychczasowych zmian w Polsce na tle innych europejskich państw oraz nakreślenie scenariuszy zderzenia kultur w najbliższych dekadach. To ciekawe i ważne wydarzenie, to trzy dni rozmów o religii, kulturze, geopolityce, sprawach ustrojowych czy historii, w których wzięło udział prawie 100 zaproszonych gości, a tysiące widzów śledziło te, bardzo często emocjonujące, debaty w internecie.

Panel, który miałam przyjemność poprowadzić, nosił tytuł „Gender i cancel culture. Zagrożenie czy potrzebna zmiana społeczna?" A udział wziął w nim m.in. prof. Maciej Gdula, poseł Nowej Lewicy. Według polityka w zmianach społecznych chodzi „głównie o poszerzenie pola wolności". „Chodzi o to, żeby zwiększył się zakres swobód dla jednostek, niezależnie od tego, czy są mężczyznami, kobietami, jaką mają orientację seksualną, żeby miały swobodę ekspresji, poczucie bezpieczeństwa, żeby nie musiały się ukrywać" – tłumaczył swoje stanowisko poseł. Niestety, znów się okazuje, że może nawet jeśli założenia są szczytne, to rzeczywistość mocno od nich odbiega.

Bo czy np. poczucie bezpieczeństwa mogą mieć kobiety, które muszą przebywać w jednej celi z mężczyznami? W amerykańskim stanie Kalifornia osadzonym w więzieniach kobietom rozdawane są prezerwatywy. To dlatego, że muszą przebywać w celach z osobami transseksualnymi. O sprawie pisał amerykański serwis The Daily Wire. Ma to związek ze zmianą w prawie stanowym. Strażnicy więzienni muszą w kwestionariuszach pytać skazanych, czy identyfikują się jako transpłciowi, niebinarni czy interpłciowi. Osadzeni mogą następnie poprosić o przeniesienie do ośrodka, w którym przebywają inni więźniowie, zgodnie z ich preferowaną tożsamością. Serwis twierdzi, że w związku ze zmianą w prawie wiele kobiet zaszło w ciążę. Dochodziło do gwałtów.

Wątpię także w poczucie bezpieczeństwa kobiety, która musi stanąć w ringu z byłym żołnierzem, który startuje w walkach MMA jako kobieta, bo ma do tego prawo. Alana McLaughlin została drugą transpłciową kobietą, która zadebiutowała w MMA w Stanach Zjednoczonych. Alana rozpoczęła proces zmiany płci w 2010 r., po odejściu z amerykańskich sił specjalnych. Zapowiedziała, że chce być pionierką transpłciowych sportowców w sportach walki. I stało się. W debiucie, w eliminacjach Combate Global w Miami Alana McLaughlin pokonała Celine Provost. W drugiej rundzie wykonała skuteczne duszenie, po czym sędzia musiał przerwać pojedynek. „Moment, w którym ideologia spotkała się z zimną, twardą rzeczywistością" – tak określił walkę Provost z McLaughlin dziennikarz Piers Morgan. Jego zdaniem „gorsze rzeczy dopiero nadejdą".

Dla Scotta Smitha z hrabstwa Loudoun w Wirginii i jego córki już nadeszły. Mężczyzna ujawnił, że jego 15-letnia córka została zgwałcona w szkolnej toalecie. Twierdził, że szkoła chciała to wyciszyć, bo sprawcą był transpłciowy uczeń. O Smicie zrobiło się głośno, gdy wdał się w awanturę na spotkaniu z przedstawicielami okręgu szkolnego Loudoun, a następnie został obezwładniony i wyprowadzony w kajdankach przez policję. O tych spotkaniach mówiło się w USA, gdyż wielu rodziców i nauczycieli protestowało w ich trakcie przeciwko lewackiej indoktrynacji uczniów i wprowadzaniu do szkół gender. Z ojca zgwałconej dziewczyny lewica i sympatyzujące z nią media zrobiły homofoba.

Gdy trafiam w mediach na podobne historie, często zastanawiam się, czy lewica wciąż walczy o prawa kobiet i równouprawnienie oraz kiedy działaczki lewicy zaczną wreszcie krzyczeć: „Rewolucja tak, wypaczenia nie!".

Dorota Łosiewicz

Głodówka byłego prezydenta

Gruzja

Micheil Saakaszwili od ponad półtora miesiąca prowadzi głodówkę. Były prezydent Gruzji znajduje się w więzieniu w Tbilisi, po tym jak został aresztowany przez władze po nieoczekiwanym powrocie do kraju. Zdaniem rodziny i przedstawicieli gruzińskiej opozycji jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Saakaszwili jest już tak osłabiony, że nie jest w stanie samodzielnie podnieść się z łóżka, a sytuacja pogarsza się z każdą chwilą, tym bardziej że odmawia on również przyjmowania płynów.

Władze z kolei twierdzą, że Saakaszwili jedynie pozoruje i je mniej, bo przed przybyciem do Gruzji przeszedł operację resekcji części żołądka i generalnie czuje się dobrze. Mało kto jednak w to wierzy, tym bardziej że nie tak dawno premier Irakli Garibaszwili oznajmił, że w świetle obowiązującego w Gruzji prawa każdy może popełnić samobójstwo. Niepokój opinii publicznej wzbudza też to, że w ostatnim czasie służby penitencjarne znacznie ograniczyły dostęp do byłego prezydenta. Nie mogą się z nim spotkać członkowie niezależnej grupy medycznej, która została zawiązana, aby czuwać nad stanem jego zdrowia. Spotkanie z Saakaszwilim uniemożliwiono też gruzińskiemu rzecznikowi praw człowieka oraz polskiej eurodeputowanej Annie Fotydze, która specjalnie przyleciała do Gruzji, aby sprawdzić, w jakiej kondycji znajduje się były prezydent.

Władze odmawiają przeniesienia głodującego polityka ze szpitala więziennego do normalnej kliniki, co wywołuje protesty środowisk medycznych w Gruzji, na Ukrainie, której Saakaszwili jest dziś obywatelem, a także na Zachodzie. David J. Kramer, były doradca sekretarza stanu USA ds. demokracji i praw człowieka, wezwał do wprowadzenia przez Kongres sankcji personalnych, którymi mieliby zostać objęci zarówno premier Gruzji, jak i nieformalny lider tego kraju, oligarcha Bidzina Iwaniszwili. Ze specjalną petycją do Kongresu z apelem o ochronę życia Micheila Saakaszwilego zwróciła się też grupa 100 przedstawicieli amerykańskiego środowiska medycznego.

Opozycja walcząca z rządami Gruzińskiego Marzenia przegrała wprawdzie ostatnie wybory parlamentarne i municypalne, ale – mimo to – zapowiada uliczne protesty, które chce prowadzić aż „do zwycięstwa", czyli do ustąpienia obecnego rządu, który zdaniem opozycjonistów „wpycha Gruzję w objęcia Putina". Z punktu widzenia rządzącej formacji sytuacja jest patowa – ustąpienie wobec żądań opozycji może zostać uznane za oznakę słabości i wzmocnić siłę protestów, z kolei uparte traktowanie byłego prezydenta w kategoriach „zwykłego więźnia" może doprowadzić do tragicznego finału. W najbliższym czasie Gruzję znów więc, jak się wydaje, czekają wstrząsy polityczne.

Marek Budzisz

Fot. paparazzza/Shutterstock.com

Więcej tęczowych dzieci

W lipcu uchwalono w Hiszpanii ustawę, na mocy której osoby powyżej 14. roku życia mogą łatwo zmienić płeć. Nie jest już potrzebna – tak jak wcześniej – przynajmniej dwuletnia terapia hormonalna, zamiast niej wystarczy po prostu zwykła deklaracja o zmianie płci. Na jej podstawie urzędy są zobowiązane do skorygowania danych osobowych w dokumentach wnioskodawcy (np. do zmiany imienia). „To historyczna ustawa, dzięki której robimy wielki krok w stronę praw osób LGBT+" – skomentowała wówczas minister równouprawnienia Irene Montero. Ustawa, wraz towarzyszącymi jej innymi udogodnieniami dla środowisk LGBT+, wypełnia część umowy koalicyjnej zawartej między Hiszpańską Socjalistyczną Partią Robotniczą (PSOE) oraz lewicowym blokiem Unidas Podemos (UP). Premier Hiszpanii Pedro Sánchez, który sam siebie określa feministą (jego gabinet składa się w 60 proc. z kobiet), otwarcie popiera większość „postępowych" regulacji prawnych.

Nic więc dziwnego, że zmiany idą jeszcze dalej. Minister zdrowia Hiszpanii Carolina Darias podpisała właśnie nową regulację gwarantującą darmową terapię płodności dla lesbijek, biseksualistów oraz transseksualistów. Podatnicy w Hiszpanii będą więc składać się na terapię, która była dotąd refundowana jedynie dla heteroseksualnych kobiet mających problem z zajściem w ciążę. „Nie miejmy wątpliwości, że poszerzanie praw reprodukcyjnych, to po prostu poszerzenie praw człowieka" – cieszył się, po przyjęciu nowych przepisów, szef hiszpańskiej federacji LGBT+.

Hiszpania to niejedyny kraj, w którym refunduje się terapię umożliwiającą posiadanie dzieci wśród mniejszości seksualnych. W lipcu we Francji przyjęto ustawę, dzięki której dostęp do metod leczenia niepłodności, takich jak zapłodnienie in vitro, uzyskały lesbijki. Wcześniej refundacja obejmowała wyłącznie kobiety heteroseksualne. Należy się spodziewać, że zapewne kolejne kraje wkrótce pójdą drogą tych dwóch niegdyś katolickich państw.

Łukasz Adamski

Hiszpania

Fot. shutterstock

Afrykańska ekspansja

Turcja

Do grona krajów zaangażowanych w Afryce i aktywnie zabiegających o kontrolę nad bogactwami tego kontynentu, takich jak Chiny, Rosja i Francja, dołączyła ostatnio Turcja. Turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan odwiedził niedawno Angolę, Nigerię i Togo, gdzie zaprezentował się jako alternatywny sojusznik państw afrykańskich. W stolicy Angoli Luandzie Erdoğan ogłosił, że „Turcja odrzuca zachodniocentryczne, orientalistyczne podejście do kontynentu afrykańskiego. Przyjmujemy ludy kontynentu afrykańskiego bez dyskryminacji". Ten komunikat został przychylnie odczytany przez przywódców afrykańskich, którzy obawiają się zbyt silnego uzależnienia gospodarczego jak w przypadku Chin i odrzucają postulaty demokratyzacji będące zazwyczaj warunkiem współpracy z państwami zachodnimi.

Erdoğan, który od dawna określa Turcję mianem państwa „afroeuroazjatyckiego",, odwiedził już jako prezydent i premier 30 krajów afrykańskich, a więc więcej niż którykolwiek inny przywódca spoza Afryki. W Angoli i Nigerii był zainteresowany przede wszystkim współpracą z tamtejszym sektorem surowcowym, zwłaszcza naftowym.

W ciągu niespełna 20 lat obroty handlowe Ankary z Afryką wzrosły aż pięciokrotnie, z 3,5 mld euro w 2003 r. do 20 mld euro w 2020 r. To nic dziwnego, zważywszy, że produkty tureckie są uważane za tańsze niż europejskie i zarazem lepszej jakości niż chińskie. Od 2009 r. Turcja otworzyła w Afryce 31 nowych ambasad, zwiększając ich liczbę do 43, linie lotnicze Turkish Airlines są zaś jednym z najważniejszych przewoźników w Afryce, obsługując ponad 60 portów na Czarnym Kontynencie.

Rosnące wpływy Turcji są widoczne w wielu rejonach Afryki. W Algierii Turcja jest – obok Chin – jednym z największych inwestorów zagranicznych. Podobnie jest w Etiopii. Uwikłany w wojnę domową rząd etiopski rozważa właśnie zakup tureckich dronów. Turecka broń pomaga również wojskom rebelianckim w Libii, których dowódca Chalifa Haftar kontroluje sporą część tamtejszych złóż naftowych. Współpracą militarną z Turcją zainteresowane są też Maroko i Niger. Z tym ostatnim państwem Ankara podpisała już umowę pozwalającą na stacjonowanie wojsk tureckich.

O dynamice zaangażowania Turcji wiele mówi też przykład Senegalu, z którym obroty w ciągu ostatniej dekady wzrosły aż 16-krotnie. Tureckie firmy zmieniły pejzaż Dakaru dzięki budowie lotniska w stolicy Senegalu oraz nowego stadionu. Dla odmiany w uboższych Nigrze, Burkina Faso i Mali pieniądze z Turcji przeznaczane są na meczety, szkoły i szpitale. To wszystko buduje pozytywny wizerunek Ankary w Afryce i uderza w interesy jej rywali, zwłaszcza Francji, która jest mocno zaniepokojona aktywnością Turcji w jej byłych koloniach. Afryka znowu staje się więc polem rywalizacji.

Konrad Kołodziejski

Fot. sefay/idrim/Shutterstock.com

Honduras

Miasto przyszłości?

Na archipelagu Islas de la Bahía u wybrzeży Atlantyku ma powstać nowe miasto o nazwie Próspera. Będzie ono kusić bogaczy z całego świata nie tylko przepięknym widokiem na rafę koralową czy futurystycznymi budynkami zaprojektowanymi przez znaną pracownię Zaha Hadid Architects, lecz przede wszystkim możliwościami, jakie otwierają się przed jego przyszłymi mieszkańcami. Otóż Próspera ma być czymś w rodzaju autonomicznego bytu pozapaństwowego dla nowoczesnych i postępowych milionerów z całego świata, którzy będą mogli stworzyć tam własną społeczność żyjącą w sposób ekologiczny. Będą mogli mieszkać na co dzień na malowniczym atolu, a jednocześnie – dzięki superszybkim łączom i sztucznej inteligencji – prowadzić swoje interesy na odległość w różnych częściach świata.

Miasto ma być rządzone przez prywatnych inwestorów, którzy będą mogli zaprojektować własny system sądowniczy i stworzyć swoją policję. Docelowo enklawa ma zyskać nawet odrębny status podmiotu prawa międzynarodowego.

Przedsięwzięcie jest możliwe dzięki polityce władz Hondurasu, który na liście najbogatszych państw świata zajmuje odległe 106. miejsce. Żeby wyciągnąć z biedy najuboższe regiony kraju, rząd w Tegucigalpie gotów jest przyznać inwestorom olbrzymie przywileje, łącznie z prawem do autonomii. W zamian liczy na wymierne korzyści: wygenerowanie do 2025 r. 10 tys. miejsc pracy.

Nikt tak naprawdę nie wie, czym będzie Próspera. W zamyśle inicjatorów ma być miastem przyszłości, zbudowanym z ekologicznych materiałów, zasilanym energią odnawialną oraz pozbawionym biurokracji, która ma zostać przeniesiona do cyberprzestrzeni. Ma stanowić doskonałe wcielenie idei zrównoważonego rozwoju. Krytycy uważają z kolei, że to kolejna próba zrealizowania szczęśliwej utopii, tym razem przez współczesnych iluminatów z wieloma zerami na kontach. Czas pokaże, czy będziemy mieli do czynienia z nową jakością, czy jeszcze jednym straconym złudzeniem.

Grzegorz Górny

Fot. shutterstock

eprasa.pl 693012e7cd

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kamuflaż terminologiczny

Jan Pietrzak

Należy zadbać o terminologię. Na przykład to, co się dzieje na naszej wschodniej granicy, jest inwazją, napaścią, agresją. Kto i jak tej inwazji dokonuje: czy hybrydowo, czy rutynowo, to jego decyzja. Napastnik ma być nazywany precyzyjnie, by można precyzyjnie określić, kto jest ofiarą. Jeżeli nawet po straszliwej napaści Niemiec i Rosji na Polskę w 1939 r. udało się ukryć nazwy agresorów, to mamy w podręcznikach sytuację, że w 1939 r. od wschodu napadli na nas „wyzwoliciele", od zachodu nieznane plemię „nazistów". Obozy śmierci były polskie! Katyń i „Łączki" były polskie. Niemców i Rosjan przy tym nie było (!). W związku z tym nie ma kto płacić reparacji i odszkodowań.

Ostatnio bezkarni bandyci znowu sobie o nas przypomnieli, ponieważ słabo im się wiedzie, a Polsce zupełnie nieźle. To jest doprawdy nieznośna sytuacja dla imperialnych władców. Pamiętamy, że kiedy w 2014 r. Putin rabował Ukrainie Donbas i Krym, na początek wysłał im konwój z pomocą humanitarną. Przemalowane na biało wojskowe ciężarówki... Taki żartowniś.

Właśnie hasło humanitaryzmu odgrywa szczególną rolę w obecnej agresji na Polskę. Polski rząd według „Liswika" i Omletu jest niehumanitarny, ponieważ broni naszej granicy. A Wojsko Polskie jakie jest niehumanitarne! Słucha swojego narodu, a nie wielce wrażliwej „Gagagazety" i szalejących celebrytów. Dla tuskoidów humanitarni są agresorzy, którzy lubią Polską zarządzać, bo się przyzwyczaili. II Rzeczpospolitą tolerowali przez 20 lat, aż musieli ją napaść, wymordować i okraść, żeby się humanitarnie zrelaksować.

Mają w Polsce swoje partie polityczne, tuby propagandowe, sprawdzonych agentów, lecz to za mało, za mało! Z obrzydzeniem patrzą na jakieś niepodległościowe marsze, zamiast fetować parady równości. Jak to powiedział Trzaskowski? Po co w Warszawie Marsz Niepodległości? Przecież mamy niepodległość w Berlinie. A jego szef Tusk, likwidując stocznie przed laty, wyjaśniał, że stocznie w Hamburgu nam wystarczą. Tak im się wszystko pokićkało w (bardzo) szarych komórkach. Typowi mieszańcy, znaczy hybrydy. Prowadziłem przez siedem lat Studencki Teatr Hybrydy. Na hybrydach się znam!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Efekt wegeburgera

Dominik Zdort

Co w naszym życiu jest przyrodzone, a co możemy zmienić, wybrać? Kiedyś – niewiele. Kolor włosów i paznokci. Ale też narodowość. Mickiewicz mógł po polsku deklarować: „Litwo, ojczyzno moja", i nikt nie miał pretensji, że nie pisze tego w języku litewskich elit – czyli po białorusku. I tak dalej, nie kończąc na Karlu Ernście Heinrichu Wedlu/Vedlu, który się spolszczył, robiąc majątek nad Wisłą.

Dziś narodowe konwersje modne są wśród sportowców. No bo przecież wiadomo, że skoro Matty'ego Casha selekcjoner Anglii nie powołał nigdy dotąd do reprezentacji, to zawodnik szybko sobie przypomniał, że jego mama miała polskie korzenie i już zaśpiewał na Stadionie Narodowym „Jeszcze Polska nie zginęła", co – nie ukrywajmy – cieszy polskie serca.

Akurat w przypadku Casha jego wybór narodu był prawomocny i uzasadniony. Bardziej śmieszne były przypadki, kiedy w latach 90. młodzi lewicowcy spod znaku „Gazety Wyborczej" przypisywali sobie – całkiem bezpodstawnie – korzenie żydowskie, posyłali dzieci do lauderowskich szkół i konwertowali na judaizm (na krótko zazwyczaj, bo szybko się orientowali, że trendy jest żydostwo, ale ateistyczne).

I na tym chyba możliwości zmiany tożsamości się kończą. Wszystko, co dalej, jest już oszukiwaniem natury. Na przykład próba wybrania innej przynależności rasowej. Znana jest historia pewnej całkiem białej obywatelki USA, która poszła do solarium, zakręciła sobie włosy i podając się za Afroamerykankę, zaangażowała się w ruch broniący Murzynów. Szybko się okazało, że ściemnia (dosłownie) i musiała ze wstydem się wycofać. Odwrotny przypadek to Michael Jackson, który – dla odmiany – zapragnął być białasem i stać go było na to, żeby to swoje marzenie (oraz parę innych, równie perwersyjnych) zrealizować.

Najnowsza fanaberia dotyczy wyboru płci. W wielki metropoliach – takich jak Nowy Jork – ta moda zaczyna już zarażać całe roczniki uczennic koledżów. To prawda: zawsze jakiś – niewielki – odsetek młodych ludzi uważał, że urodził się nie w tym ciele, w jakim chciałby żyć, ale do niedawna uważano to za chorobę psychiczną i leczono, skutecznie zresztą.

Dziś zamiast kuracji psychiatrycznej przeprowadza się operacje organów płciowych. Efekt brutalnie, choć celnie opisał czarnoskóry komik Dave Chapelle, stwierdzając, że nowe genitalia przypominają oryginalne tak samo, jak wegeburger przypomina zwykłego hamburgera.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 693012e7cd

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wielka Orkiestra Putinowi Pomocy

Wzruszać można się wszystkim. Np. ciężkimi losami przestępców. Każdy z nich miał/ma kochającą matkę ewentualnie ojca, córkę, ciotkę, kobietę/mężczyznę, przyjaciela, psa, kotka, istotę, która jest do niego przywiązana i ciężko przeżywa nawet najbardziej uzasadnioną karę, jaką ponosi on za swoje postępki. Każde zło ma swoją genezę: jego niewinny jeszcze sprawca niechybnie wcześniej też odczuł jakąś krzywdę, wszystko jedno prawdziwą czy wyimaginowaną, gdyż jego cierpienie było autentyczne i powinno budzić nasze współczucie. W tym samym czasie ciężkie chwile przeżywają osoby po dwóch stronach barykady: dręczeni i dręczący. Strażnicy i więźniowie siedzą w tym samym więzieniu i chociaż sytuacja tych pierwszych jest lepsza, trzeba być bez serca, aby nie dostrzegać dyskomfortu, jaki związany jest z ich pracą.

Rok temu Onet wzruszał się dolą żołnierzy Wehrmachtu, którzy w święta Bożego Narodzenia daleko od swoich domów przeżywali smutek oddzielenia od bliskich. Czy nie powinny poruszyć nas dzieje tych chłopców, których nikt nie pytał, powołując do wojska, a potem skazani byli na wykonywanie strasznych rozkazów? To ich nieszczęściu poświęcony był serial „Nasze matki, nasi ojcowie". Czy Niemcy nie mają prawa do robienia tego typu filmów, a moje szyderstwa nie są wyłącznie świadectwem gruboskórności i braku empatii?

Wszystko zależy od proporcji. Jeśli rocznica ogłoszenia stanu wojennego w III RP sprowadzona była do wzruszeń duchowymi cierpieniami Wojciecha Jaruzelskiego, to odpowiedzią na nie powinna być tylko drwina. Jeśli agresja na Polskę powoduje wyłącznie moralne potępienie PiS i funkcjonariuszy broniących naszej granicy, to uznać należy to w najlepszym wypadku za krańcową głupotę, która jest wyjątkowo poręcznym narzędziem dla naszych wrogów.

Czy nie należy współczuć ludziom, którzy w poszukiwaniu lepszej przyszłości korzystają z propozycji Łukaszenki? Do pewnego stopnia tak, zwłaszcza tym, którzy dali się nabrać na oszustwa gangów handlarzy ludźmi i ich mocodawcy, białoruskiego satrapy. Duża część młodych mężczyzn, która przybywa nad polską granicę, świadomie jednak podejmuje ryzyko z tym związane. Ci, którzy usiłują przepływać Morze Śródziemne, ryzykują więcej. Owszem, niektórzy z nich zabierają swoje rodziny, ale wtedy należy zapytać o ich odpowiedzialność. W Polsce spora część elit i opozycji korzysta z propagandy Putina i Łukaszenki oraz powtarza ich wersję. Czy ich „dobra wola" służyć może za usprawiedliwienie?

Koncert w Warszawie pod groteskowym szyldem „Chopin też był uchodźcą", który odnotował spektakularną klapę, to idealny przykład tego typu działania. Jego organizatorzy chcieli m.in.: „utworzenia korytarzy humanitarnych" i zapewnienia azylu osobom, które „chcą się o niego ubiegać na terytorium RP" oraz „dopuszczenia organizacji międzynarodowych na tereny przygraniczne objęte kryzysem humanitarnym". Innymi słowy kazali nam ogłosić, że jesteśmy państwem upadłym i należy nas tak traktować. Dlaczego? Bo wzruszyli się iluś fotkami spreparowanymi na ich użytek przez Łukaszenkę?

Jeden z uczestników tej inicjatywy, Jacek Kleyff, śpiewał 50 lat temu: „Świeże groby zawsze wzruszą, niezależnie gdzie kopane,/ Jak porosną wyjdzie na jaw, kto szczuł i co było grane". Wychodzi na jaw, że był wtedy o pół wieku mądrzejszy. Zwłaszcza że dziś nie trzeba na nic czekać. Wszystko widać jak na dłoni.

Naturalnie główni organizatorzy „Chopina uchodźcy" kierowali się innym sentymentem, czyli nienawiścią do PiS. Dla odsunięcia go od władzy gotowi są na wszystko. Ich frustracja wyrasta z oburzenia faktem, że przedstawiciele innego środowiska ośmielili się wygrać wybory. Czy powinniśmy im współczuć? Aby odzyskać rządy w wymiarze politycznym, bo w innych nadal dominują, gotowi są na wszystko. Można odnieść wrażenie, że obok paliwa, jakiego dostarcza im ideologia, zgodnie z literą, której władzę sprawować mogą jedynie jej rzecznicy, odzywa się w nich polski gen warcholstwa – rewers naszej wolnościowej postawy. Tak jak w XVII czy XVIII w. rzecznicy przegranej „fakcji" gotowi byli sprzymierzyć się z każdym, aby odsunąć króla od władzy, tak samo dzieje się dziś. W głosowaniu nad umacnianiem granicy na Łotwie nie było żadnego głosu sprzeciwu, a na Litwie jeden. W Polsce przeciw głosowało 174 posłów.

Ten stan rzeczy powoduje, że to nasze państwo zostało wybrane na obiekt ataku, pomimo że Litwa jest słabsza i ma dłuższą niż nasz kraj granicę z Białorusią. Ale Litwa nie ma V kolumny. Jest więc silniejsza.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 693012e7cd

Walizka Barbary i Jarosława Kłaputów

projektantów ekspozycji muzealnych

Podróżujemy dużo i często. Oczywiście podczas każdego wyjazdu odwiedzamy wszystkie muzea, także te najbardziej niszowe. Tyle tylko, że oprócz eksponatów oglądamy w nich także detale, na które nikt inny nie zwraca uwagi – oświetlenie, uchwyty, mocowania etc., czym często wprawiamy w zdumienie obsługę. To zwiedzanie trochę „od tyłu" udziela nam się także na innych polach. Uwielbiamy zaglądać w miejsca zakryte przed turystami, do bocznych uliczek, warsztatów lokalnych artystów, zapomnianych sklepów ze starociami...

Gdy wyruszamy na wyprawę, nie jest dla nas najważniejsze, co z sobą zabieramy, ale co z niej przywieziemy. A że jak to muzealnicy mamy naturę zbieraczy, najlepiej gdy nasza walizka w dniu wyjazdu jest prawie pusta. Musi przecież pomieścić nowe zdobycze...

KAPELUSZ

Jest jedną z niewielu rzeczy, które obowiązkowo znajdują się w naszym bagażu. Ironią losu jest to, że nigdy z nami nie wraca. Już w pierwszy dzień podróży Jarek gubi go i później przez cały urlop próbuje kupić następny.

BUKŁAK NA WINO

Kupiony w Hiszpanii, u podnóży Sierra Nevada. Może się w nim zmieścić zawartość dwóch butelek wina. A konia z rzędem temu, komu uda się wypić zawartość bukłaka strumieniem prosto w gardło, bez dotykania ustnika.

INSTRUMENTY

Zbieranie dętych instrumentów ludowych to pasja Jarka i pokłosie jego grania w młodości na saksofonie. Mamy w swoich zbiorach i beskidzką trombitę (na Kaszubach nazwaliby ją bazuną, a w Polsce wschodniej ligawką), i góralski róg pasterski. Tu – przywieziona z Popradu słowacka fujara i żydowski szofar z Jerozolimy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 693012e7cd

KSIĄŻKI

Must have każdej podróży. Nie jesteśmy oryginalni i często zabieramy po prostu przewodniki. Lubimy jednak te nietypowe, wpisujące nasz cel podróży w zupełnie inny kontekst historyczny. Na zdjęciu przewodnik towarzyszący nam w wyprawie do Ziemi Świętej z opisami pielgrzymek sprzed ponad tysiąca lat...

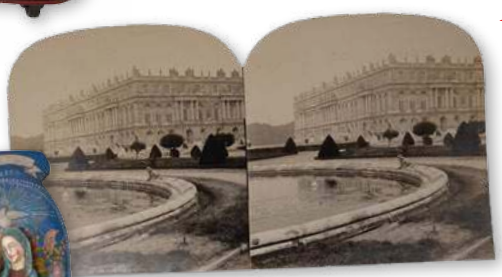

FOTOGRAFIE STEREOSKOPOWE

Ślady bardzo popularnej rozrywki z przełomu XIX i XX w., przedsmak efektów 3D. Te – z konferencji w Wersalu w 1919 r. – nabyliśmy na pchlim targu.

FIGURKI MARYJNE

Podczas naszych podróży zebraliśmy ich całkiem pokaźną kolekcję – z Guadalupe, Montserrat, klasztoru w Fontgombault, z Austrii i Czech. Wzruszające jest, w jak wielu zakątkach świata nadal kwitnie ludowa pobożność maryjna.

AMONITY

Skamieliny znalezione przed laty w pobliżu Ogrodzieńca. Ich zbieranie szczególną frajdę przynosiło naszym dzieciom, które marzyły o odkryciu szkieletu dinozaura.

PROTEST

Afisz protestacyjny przeciwników pochowania Juliusza Słowackiego na Wawelu z 1908 r. to antykwaryczny nabytek z rodzaju nietuzinkowych.

RYCERZ

Lubimy kupować stare zabawki, bo są dla nas inspiracją do pracy. To one podsuwają zaskakująco proste pomysły do wykorzystania w projektach scenografii muzeum. Ten drobiazg wraz z innymi nabyliśmy w madryckim sklepie ze starociami.

MASKI

Gros naszych zbiorów to przedmioty związane z etnografią. Maski jaguara i kojota kupiliśmy w środkowym Meksyku, na targowisku w Taxco. Oszołomieni ogromem tamtejszego rękodzieła żałowaliśmy, że nie mamy całkiem pustej walizki, a najlepiej pięciu...

WINYL

Johnny'ego Casha słuchamy od lat. Ale ta płyta to coś specjalnego – pierwsze wydanie zakupione w małym sklepie muzycznym w Stanach pod Waszyngtonem. Smakuje odświętnie i zupełnie inaczej niż MP3.

KOMIKS

Ten komiks Marvela z 1982 r. to prawdziwy unikat. Poświęcony jest bowiem szczególnemu superbohaterowi – papieżowi Janowi Pawłowi II.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 693012e7cd

OGNIEM NA WPROST

Specsłużby Łukaszenki

Kim są białoruskie „zielone ludziki"? Choć po drugiej stronie granicy widać wiele umundurowanych osób, to jednak ich identyfikacja nastręcza problemów. Nie noszą odznak formacji, które reprezentują, ani dystynkcji. Ich twarze często zasłaniają kominiarki. Portal Defence24 podjął próbę rozpoznania, jakie oddziały mogą wchodzić w skład ekipy angażującej się w pomoc w przekraczaniu granicy przez nielegalnych migrantów. Białoruś ma wiele różnych służb mundurowych. Formacje te wywodzą się w prostej linii ze swoich radzieckich poprzedników, kultywują ich tradycje i przejęły po nich wiele istotnych cech organizacyjnych. Nawet duża część jednostek wojskowych ma nadal niezmienione numery od czasów ZSRS. Wszystkimi tajnymi i specjalnymi operacjami w Białorusi zarządza Komitet Bezpieczeństwa Państwowego (ros. Комитет государственной безопасности), czyli KGB. Pracę siedmiu zarządów w większych miastach koordynuje komitet w Mińsku. Wszystkie informacje dotyczące struktur, stanów liczebnych, a przede wszystkim działania KGB na terenie Białorusi są okryte tajemnicą. Dokładnie nie wiadomo, w jakiej strukturze organizacyjnej KGB znajduje się jej Pododdział Antyterrorystyczny „Alfa", który to może być obecny na granicy z Polską. Z kolei Państwowy Komitet Pogranicza zajmuje się m.in. wysyłką imigrantów z lotniska w Mińsku na zachodnie rubieże kraju. W jego skład wchodzi również 11 oddziałów i grup jednostek ochrony pogranicza, w tym specgrupa zwana Oddzielną Służbą Aktywnych Działań (OSAM). Z całą pewnością jest wykorzystywana do akcji na polsko-białoruskiej granicy. Warto odnotować również jednostki specnazu. Nie są wyposażone w ciężką broń, ale posiadają np. lekkie pojazdy. Przerzut małych grup specjalnych i ich desant powietrzny jest nadal w zasięgu wykonania przez białoruskie lotnictwo. Oddzielną siłę stanowią Wojska Wewnętrzne MSW, w tym Brygady Milicyjne 1-7, a wśród nich Specjalny Oddział Natychmiastowego Reagowania (SOBR) (JW nr 3032) w Mińsku. Wojska Wewnętrzne również odgrywają swoją rolę w wydarzeniach nadgranicznych oraz w kierowaniu i zabezpieczaniu przerzutu emigrantów do przejść granicznych i w rejony, w których próbują przełamać polskie zabezpieczenia. Jak do tej pory, na szczęście, z mizernym skutkiem.

Aktywność militarna Rosji widoczna jest także, a może przede wszystkim, na Ukrainie. Skoncentrowano tam ok. 100 tys. żołnierzy, setki czołgów i innego diabelstwa. Według analityków Ukrainie grozi inwazja na południową część kraju. Prezydent USA Joe Biden zwiększył tegoroczny pakiet pomocy wojskowej dla tego kraju o 60 mln dol., co skutkowało trzema dużymi dostawami broni i sprzętu w październiku oraz jedną w listopadzie. Zawierały one amunicję, sprzęt łączności, środki opatrunkowe i ochrony osobistej i wiele innych przydatnych rzeczy. Największe zainteresowanie wzbudziły jednak kontenery z pociskami przeciwpancernymi Javelin, które mogą stanowić zagrożenie nawet dla najnowszych rosyjskich czołgów. Wielka Brytania zapowiedziała, że nie pozostanie obojętna w przypadku wybuchu konfliktu na Ukrainie. Do podróży i akcji w tym kraju, jak donoszą brytyjskie media, ma być gotowych 600 żołnierzy elitarnej jednostki SAS. Oby nadchodząca w tym roku zima, zamiast mroźnej, nie okazała się gorąca.

Ruscy są tak rozgrzani, że trzy fronty, na których robią zadymy (gruziński, białoruski i ukraiński), im nie wystarczą. Teraz skaczą do gardła Szwedom. Kiedy na antenie radia tamtejszy szef resortu obrony Peter Hultqvist stwierdził, że jego kraj „może wziąć udział w misji szkoleniowej UE na Ukrainie", natychmiast odezwała się rosyjska ambasada w Sztokholmie. „Chcielibyśmy przypomnieć panu Hultqvistowi, że nie jest pierwszym szefem wojska, który próbował zastraszyć Rosję potęgą swojej bohaterskiej armii, planując wysłanie wojska na Ukrainę. Ostatni tego rodzaju atak miał miejsce pod Połtawą". Ale to nie koniec dyplomatycznej odpowiedzi. „Wydaje się jednak, że potomkowie Połtawy nie wyciągnęli właściwych wniosków z przeszłych bitew z Rosją, która już obaliła Szwecję ze szczytów jej potęgi, a współczesny Sztokholm wydaje się w każdej chwili gryźć kciuk" – dodaje ambasada. Chodzi o bitwę pod Połtawą na terenie dzisiejszej Ukrainy w 1709 r., kiedy król Szwecji i wielki wódz Karol XII poniósł klęskę z wojskami cara Piotra Wielkiego. Zwycięstwo to otworzyło drogę Rosji do stania się imperium, niczym w pieśni-hymnie (nieoficjalny hymn Rosji w latach 1721–1815) Preobrażeńskiego Regimentu Gwardii Przybocznej Cara: „Sławni byli nasi dziadowie/ Pamięta ich Szwed i Lach/ Kiedy wzleciał orzeł wiktorii/ na połtawskich, na polach". I dalej: „Sam car z nami dzieli trudy/ on z nami na czele w bojach/ szczęściem każdy z nas sobie poczytuje/ umierać w jego oczach". Rosjanie zawsze umieli umierać i nie potrafili żyć.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 693012e7cd

Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa 2.0

Marta Kaczyńska-Zielińska

Z ostatniego raportu o stanie polskiego czytelnictwa wynika, że w 2020 r. 42 proc. respondentów przeczytało co najmniej jedną książkę. To najwyższy wskaźnik od sześciu lat. Liczba osób sięgających po książki wzrosła, ale aż jedna trzecia ankietowanych poinformowała, że nie posiada w domu książek. Do tej grupy zalicza się w szczególności jedna piąta rodzin wychowujących dzieci. Mało kto odwiedza biblioteki, a książki w wersji elektronicznej nie wypełniają luki wśród polskich czytelników.

Nawyk sięgania po książki powinien się zacząć kształtować od pierwszych dni życia dziecka. Dobra literatura z odpowiednio harmonizującymi z nią nienachalnymi ilustracjami od najmłodszych lat rozwija zarówno umysł, jak i inteligencję emocjonalną, wzbogaca kompetencje językowe i kształtuje wrażliwość na piękno. Literatura pobudza wyobraźnię, wspiera najmłodszych w poznawaniu świata i identyfikowaniu systemu wartości. Najmłodsi czytelnicy, podążając za historiami swoich literackich bohaterów, doświadczają emocji i uczuć, które będą im towarzyszyć w rzeczywistości, a identyfikując się z nimi, są w stanie stawić czoła dylematom, z którymi przyjdzie im się zmagać w przyszłości. Śledząc losy książkowych postaci, uczą się logicznego myślenia i nabywają zdolności przewidywania konsekwencji podejmowanych decyzji. Czytanie wpływa na kształtowanie osobowości i charakteru. Sięganie po dobre książki sprzyja rozwojowi wrażliwości i empatii.

W pierwszych latach życia dziecka rytuał codziennego wspólnego czytania zbliża rodziców i dzieci poprzez budowanie relacji nacechowanej bliskością, spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Trzeba też przyznać, że powracanie dzięki dziecku do klasyki literatury, to dla nas, rodziców, po prostu przyjemność. Podobnie jak radością jest poznawanie współczesnych opowieści czy odkrywanie w książkach tajników przyrody i obserwowanie u najmłodszych tej najbardziej autentycznej fascynacji pięknem świata zwierząt i roślin czy też wspólne podróżowanie w czasie i meandrowanie w przeszłości. Małe dzieci otoczone książkami z dala od natłoku bodźców, na które są narażone, przede wszystkim surfując w internecie, są znacznie bardziej pogodne, spokojne i kreatywne niż ich rówieśnicy, często tak naprawdę pozostawieni sami sobie przed ekranem telefonów lub komputerów.

Wychodząc naprzeciw wyzwaniu, którym jest popularyzacja czytelnictwa i zapewnienie dostępu do książek, począwszy od najmniejszych miejscowości oraz placówek zajmujących się opieką nad najmłodszymi dziećmi, rząd Zjednoczonej Prawicy przygotował Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa 2.0. Celem inicjatywy jest wzmacnianie roli bibliotek publicznych, szkolnych i pedagogicznych jako centrów dostępu do kultury i wiedzy. Planowany budżet programu na lata 2021–2025 wynosi blisko 1,1 mld zł. Program składa się z czterech priorytetów. Pierwszy z nich, pilotowany przez Bibliotekę Narodową, ma się koncentrować m.in. na zwiększeniu zasobów bibliotek poprzez przeznaczenie środków na zakup nowości wydawniczych, dostępu do e-booków, audiobooków, synchrobooków.

W ramach drugiego priorytetu gminy wiejskie i miejsko-wiejskie bez ograniczenia liczby mieszkańców oraz gminy miejskie do 100 tys. mieszkańców mogą się zwracać do Instytutu Książki o dofinansowanie budowy, przebudowy, rekonstrukcji, adaptacji lub modernizacji bibliotek wraz z ich wyposażeniem. Narodowe Centrum Kultury udzieli zaś wsparcia bibliotekom założonym przez wyżej wymienione podmioty w zakresie m.in. realizacji projektów edukacyjno-animacyjnych, podnoszenia kompetencji pracowników bibliotek. Placówki wychowania przedszkolnego, szkoły podstawowe i ponadpodstawowe, szkoły działające w ramach Ośrodka Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą oraz biblioteki pedagogiczne mogą się ubiegać w MEiN o dofinansowanie zakupów nowości wydawniczych, wyposażenia do bibliotek szkolnych i pedagogicznych, sprzętu komputerowego i oprogramowania, a także na realizację działań promujących czytelnictwo.

Zastępcy Szefa ABW

Panu Pułkownikowi

BERNARDOWI BOGUSŁAWSKIEMU

wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci

Taty

Minister Koordynator Służb Specjalnych

Mariusz Kamiński

52/1121/F

eprasa.pl 693012e7cd

Już nie klaszczą

Samuel Pereira

Gdy zaczęła się pandemia koronawirusa i społecznemu przerażeniu towarzyszyła admiracja wobec lekarzy, którzy stanęli do walki „na froncie", w całej Europie modne było publiczne oklaskiwanie lekarzy w miejscach publicznych, na billboardach i w internecie. Miły ludzki gest. W Polsce okazywali go ludzie z prawa, lewa i ze środka.

Dziś, gdy na innym froncie, w zimnie, ciemności i stresie, naszej granicy chronią policjanci, wojsko, straż graniczna i wojska obrony terytorialnej – jedna strona, reprezentująca tzw. totalną opozycję, klaskać czy wspierać nie zamierza. Co więcej, zamiast tego mamy wiadro pomyj, wyzywanie od morderców torturujących biedne dzieci, sukinsynów, bezdusznych maszyn itd., itp. To wszystko są inwektywy, które naprawdę padły w przestrzeni publicznej i których autorami są politycy opozycji, celebryci i dziennikarze wiodących mediów liberalno-lewicowych. Gdy nielegalni imigranci przypuścili szturm na polską granicę, a w kierunku policjantów i żołnierzy poleciały kamienie, kije, metalowe rury, granaty hukowe i łzawiące, europosłanka wybrana z list PO wylewała krokodyle łzy nad tym, że agresorzy zostali oblani wodą z armatek.

W tym samym czasie inna deputowana do Parlamentu Europejskiego z tej samej listy z dumą ogłosiła, że partia Donalda Tuska (EPP) oraz cztery inne frakcje w PE skierowały do szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen „list wzywający ją do powstrzymania się od zatwierdzenia polskiego KPO", czyli środków unijnych dla Polski. Innymi słowy – Polacy mają z narażeniem zdrowia i życia chronić granicy UE, a w ramach „podziękowań" w Brukseli szykują im de facto sankcje. To wszystko przy czynnym udziale polityków polskich, którzy już totalnie stracili umiar, polityczne wyczucie i zrozumienie polskiej racji stanu. Wszystko zgodnie z zasadą „im gorzej, tym lepiej".

Do tego dochodzi kolportowanie wrzutek białoruskich służb z rzekomą treścią maili polskiego ministra, ciągła próba zohydzenia polskich służb mundurowych, obniżenia morale i zaufania obywateli do instytucji państwa polskiego oraz powielanie białoruskiej propagandy w mediach. Jak stwierdził Donald Tusk na okładce „Newsweeka" rok temu: „Zdrada albo głupota".

Autor jest szefem portalu tvp.info

Eufonie pełne odkryć

Z Januszem Wawrowskim, skrzypkiem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Za sprawą III Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej Eufonie Warszawa stała się stolicą muzyki wielu kultur. Pana usłyszymy w wyjątkowym utworze.

Janusz Wawrowski: „Koncert skrzypcowy" Ludomira Różyckiego – który 22 listopada wykonam w Filharmonii Narodowej z towarzyszeniem Sinfonii Varsovii pod dyr. Moniki Wolińskiej – to, można powiedzieć, moje odkrycie. Na przełomie 2008/2009 r. udało się odnaleźć wszystkie materiały (orkiestrowe i skrzypcowe) utworu znanego przez lata jedynie jako wyciąg fortepianowy. Na podstawie oryginalnej orkiestracji można było zrekonstruować całość. Cieszę się, że historia zwycięstwa tego dzieła nad okropnościami czasu, w jakich powstawało, trafiła do szerokiej publiczności – za sprawą wcześniejszych wykonań, a teraz na Festiwalu Eufonie.

Przypomnijmy okoliczności napisania koncertu.

Był rok 1944, kiedy Różycki – wbrew temu, co działo się wokół – zaczął tworzyć dzieło niezwykle pozytywne. Choć chwilami słychać w nim wojenną grozę, nawet serie karabinów [pracę przerwało powstanie warszawskie – przyp. red.], jasne przesłanie ewidentnie wygrywa. W tym późnoromantycznym w charakterze utworze pobrzmiewa muzyka filmowa – niczym z Korngolda czy Gershwina, jak i słowiański nurt przywołujący Rachmaninowa czy Szymanowskiego.

Zagra pan na słynnym stradivariusie Polonii?

Bardzo się z tego cieszę, bo to instrument idealnie współgrający z wirtuozowską muzyką Różyckiego.

Pełny program Eufonii (również online) – na stronach Narodowego Centrum Kultury

eprasa.pl 693012e7cd

35 251

kwietniowy dzienny rekord zakażeń koronawirusem w Polsce. Niebezpiecznie zbliżamy się do tej liczby

31500

tyle średnio wydaje się w Polsce książek rocznie

5,5

tyle metrów wysokości będzie liczył mur na granicy polsko-białoruskiej

Fot. Shutterstock x2, Andrzej Wiktor x2

Jestem dość zaskoczony, słysząc, że byli bezbronni, kiedy właśnie zobaczyliśmy materiał, w którym rzucali kamieniami w naszych żołnierzy

– wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński w telewizji CNN

Jeśli nie zdołamy zatrzymać w tej chwili tysięcy imigrantów, wkrótce do Europy przybędą setki tysięcy, a nawet miliony

– premier Mateusz Morawiecki dla niemieckiego dziennika „Bild"

To bardzo zły scenariusz dla narodu białoruskiego, dla sił demokratycznych

– białoruski opozycjonista Paweł Łatuszka o rozmowie Merkel i Łukaszenki

Zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32 PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x6, EMICA ELVEDJ/CROPIX, ALEXANDROS MICHAILIDI/SHUTTERSTOCK

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

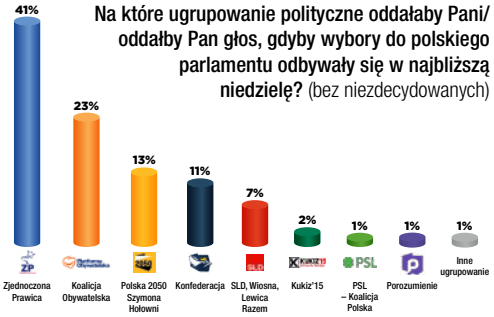

Jak ocena Pani/Pan pracę Straży Granicznej na granicy polsko-białoruskiej?

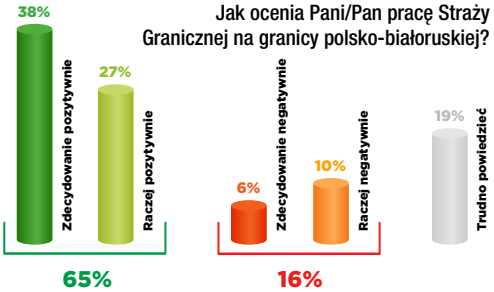

Czy popiera Pani/Pan budowę muru na granicy Polski i Białorusi, aby zapobiec działaniom Aleksandra Łukaszenki?

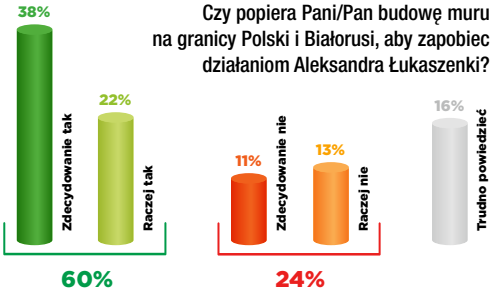

W jaki sposób według Pani/Pana powinna zachować się polska opozycja w sprawie sytuacji na granicy Polski i Białorusi?

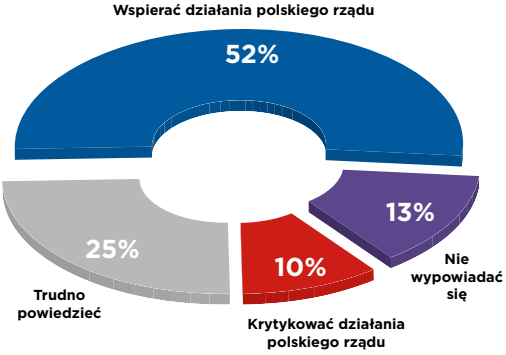

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1069.

Zakres czasowy badania 12–15 listopada 2021 r.

eprasa.pl 693012e7cd

Wytrzymamy i nie pękniemy

To jest atak białoruskiego reżimu na odcinek granicy wspólnoty, którym zarządza Polska i za którego ochronę odpowiadają polskie władze. I Polska, jako państwo członkowskie, swoje obowiązki realizuje

Z prezydentem RP Andrzejem Dudą rozmawiają Jacek Karnowski i Marcin Wikło

Panie prezydencie dużo jest retoryki wojennej wokół tego, co się dzieje na polsko-białoruskiej granicy. Czy to nie przesada? Czy to jest wojna?

Andrzej Duda: Rzeczywiście mamy do czynienia z wydarzeniami bez precedensu, ale to nie jest wojna. Patrząc nawet w kategoriach kryzysu migracyjnego, to na ten moment należy otwarcie powiedzieć, że jego dzisiejsza skala jest zdecydowanie mniejsza niż w 2015 r. Pamiętamy wszyscy te nieprzebrane tłumy, setki tysięcy migrantów, które przemieszczały się przez Europę. Domagano się od nas, byśmy w systemie kwotowym przyjmowali migrantów do siebie. Wówczas w ten sam sposób, jak my dzisiaj, Węgrzy bronili swojej granicy.

Co odróżnia obecną sytuację od tej z 2015 r., poza oczywistymi naszymi emocjami, bo mamy te osoby na swojej granicy?

To, że dzisiejszy proceder jest wynikiem zaplanowanego działania władz państwa białoruskiego. Oczywiście my uznajemy, że wybrano je w nieuczciwych wyborach, ale to zupełnie inna kwestia. Formalnie Aleksander Łukaszenka zarządza państwem i w ramach tego państwa organizuje presję na naszą granicę, z premedytacją przemieszczając na nią migrantów. I to jest coś niezwyczajnego.

> Mamy do czynienia z wydarzeniami bez precedensu, ale to nie jest wojna. Ja bym to nazwał poważnym impasem w relacjach, nie pomiędzy Polską a Białorusią, lecz pomiędzy Białorusią a UE

Jeśli mamy nie nazywać tego wojną, to z czym mamy do czynienia choćby w Kuźnicy, gdzie polscy funkcjonariusze są fizycznie atakowani?

Ja bym to nazwał poważnym impasem w relacjach, nie pomiędzy Polską a Białorusią, ale pomiędzy Białorusią a Unią Europejską. Musimy to podkreślać za każdym razem, to jest atak białoruskiego reżimu na odcinek granicy wspólnoty, którym zarządza Polska i za którego ochronę odpowiadają polskie władze. I Polska, jako państwo członkowskie, swoje obowiązki realizuje. Równie dobrze ten atak mógłby następować na granicę litewską, tak zresztą początkowo było, czy na odcinek łotewski.

Czy nazywanie tego konfliktem białorusko-unijnym jest tylko zabiegiem retorycznym, by wynieść sprawę na forum międzynarodowe?

Proszę pamiętać, skąd wzięła się dzisiejsza sytuacja. Najpierw było wymuszenie przez Mińsk lądowania samolotu Ryanair na Białorusi i aresztowanie opozycjonistów, którzy nim podróżowali. Wtedy Unia zastosowała sankcje wobec białoruskich linii lotniczych i Białorusi. Łukaszenka postanowił odpowiedzieć i zorganizował przerzut ludzi, najpierw w kierunku Litwy, a teraz na odcinek granicy UE strzeżony przez Polskę. Białoruś atakuje więc Unię Europejską.

Dlaczego Łukaszenka skupił się właśnie na Polsce?

Być może dlatego, że twardo bronimy granicy, a reżimowi w Mińsku

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 693012e7cd

Egzemplarz bezpłatny

chodzi o pokazanie fizycznego starcia z Zachodem. A może atakując nas, ma poczucie, że próbuje się głębiej wdzierać w terytorium Unii Europejskiej. Te próby są nieudane, realizujemy swoje obowiązki, stoimy na straży Polski, UE, ale także strefy Schengen. Jestem ogromnie wdzięczny funkcjonariuszom Straży Granicznej, policjantom, żołnierzom Wojska Polskiego za to, że tam są, że w trudnych warunkach późnej jesieni pełnią tę odpowiedzialną i ważną służbę. Należą im się od Polaków głębokie wyrazy szacunku, gdyż strzegą oni nie tylko linii granicznej, lecz bezpieczeństwa nas wszystkich.

Pan był z wizytą na granicy, rozmawiał pan z jej obrońcami. Co zwróciło pana uwagę, jakie są nastroje?

Jestem spokojniejszy, bo są bardzo zmotywowani. Mają tam godziwe warunki pobytu, ale i tak od razu zwróciłem się do ministra obrony, by jeszcze je poprawić. Żołnierze, z którymi się spotkałem, mieszkali po sześć osób w namiotach dziesięcioosobowych. Ogrzewanych, ale jednak namiotach, więc poprosiłem, by zamieniono je na kontenery mieszkalne. By były to warunki takie same jak dla naszych żołnierzy, którzy służą w ramach misji zagranicznych w Afganistanie czy Iraku. Wiem, że ten proces wymiany miejsc noclegowych już się rozpoczął. To ważne, bo nie wiemy tak naprawdę, ile ten impas będzie trwał i jak długo będzie potrzebna nasza wzmocniona obecność na granicy. Jako zwierzchnik sił zbrojnych za tę służbę odpowiadam.

Czego dotyczyły pana rozmowy z żołnierzami tam na granicy?

Ich motywacja jest jednoznaczna, oni służą Rzeczypospolitej Polskiej. Nasza granica jest atakowana, rozkaz jest czytelny, strzec jej i wspomagać Straż Graniczną. Każdy zna swoje obowiązki, jest przygotowany. Tyle można było usłyszeć od żołnierzy.

Czy my dzisiaj wygrywamy to starcie?

W znaczeniu obrony granicy oczywiście, że wygrywamy. Dzięki odpowiedzialności i męstwu polskich funkcjonariuszy Policji, Służby Granicznej, dzięki żołnierzom Wojska Polskiego wytrzymamy i nie pękniemy. Naszej granicy nie udało się fizycznie przełamać. A mówimy przecież o długim odcinku, kilkusetkilometrowym. Oczywiście pojedyncze przypadki przedarcia się nie są wykluczone, ale szlaku nie ma. Tam, gdzie następują ataki kilkuset czy nawet kilku tysięcy osób, powstrzymujemy je.

> Zagraniczni liberalno-lewicowi politycy ze skwaszonymi minami ogłaszają dzisiaj, że Polska realizuje swoje zobowiązania członkowskie. Muszą tak mówić, bo tego domagają się ich społeczeństwa. Ludzie mają dosyć presji migracyjnej

Ma pan poczucie, że zdajemy właśnie ważny egzamin? Że znajdujemy adekwatną odpowiedź na każdą jak dotąd modyfikację konfliktu ze strony Łukaszenki?

Tak. Jesteśmy poważnym państwem, które poważnie podchodzi do swoich zobowiązań międzynarodowych. Chronimy przecież zewnętrzną granicę UE. Nasi strażnicy czy żołnierze kontaktujący się z migrantami, którzy już zdołają się przedrzeć na polskie terytorium, relacjonują jednoznacznie: ci ludzie nie idą do Polski. Choć sytuacja dzieje się na naszym terenie, to w tym samym stopniu dotyczy naszych partnerów wewnątrz Unii.

Dzisiaj słychać z Europy Zachodniej, że wszyscy trzymają kciuki za Polskę. To chyba miłe słyszeć takie słowa z tej strony?

Patrzmy na wszystko szerzej. Liberalno-lewicowi politycy pięknymi słowami, ale ze skwaszonymi minami ogłaszają dzisiaj, że Polska realizuje swoje zobowiązania członkowskie. Muszą tak mówić, bo tego domagają się ich społeczeństwa. Ludzie widzą nasze zaangażowanie, a jednocześnie mają dosyć presji migracyjnej. Nic dziwnego, że gdy w swoich telewizjach słyszą, że ci wszyscy ludzie wybierają się do ich krajów, to mówią: Polacy, brońcie granicy!

Mówi pan, że nie jesteśmy w stanie oszacować horyzontu czasowego tego konfliktu, ale jakiś plan na nadchodzącą zimę musimy mieć. Czy śnieg i mróz, z którymi już niebawem będziemy mieli do czynienia, zatrzymają falę migracyjną?

To rzeczywiście jest problem. Jeśli reżim białoruski okaże się nadal tak bezwzględny i bezlitosny, to będziemy mieli kryzys humanitarny tuż przy naszej granicy. Wysłaliśmy już kilka konwojów, które miały dostarczyć pomoc migrantom po stronie białoruskiej, niestety, żaden z nich nie został wpuszczony. Nasza pomoc jest blokowana. Mam świadomość, że w związku z nadejściem mrozów mogą się zdarzyć przypadki tragiczne.

Słychać apele: „Jesteście katolikami, więc pomóżcie tym ludziom, nie zostawiajcie ich w lesie". To głosy przede wszystkim ze strony lewicy, ale i postawa polskiego Kościoła jest niejednoznaczna. Czy to nie jest forma szantażu emocjonalnego? Co by pan odpowiedział na takie apele? Dlaczego nie można tym ludziom pomóc?

Bo oni nie chcą być naszymi gośćmi. Chcą iść dalej, a nas traktują tylko jako teren, który trzeba przejść. Nie możemy na to pozwolić, bo wiążą nas umowy międzynarodowe i uwarunkowania polityczne. Jeśli migrant obrałby Polskę za miejsce docelowe, to możemy mu pomóc, nie łamiąc swoich zobowiązań. Możemy go przyjąć, udzielić schronienia, zaopiekować się, pomóc zbudować nowe życie. Jeśli jednak chce tylko transferu przez Polskę, nie możemy na

eprasa.pl 693012e7cd

to pozwolić. Jestem katolikiem, osobą wierzącą, rozumiem zasady moralne, o których jest tutaj mowa, ale jestem także prezydentem RP wybranym przez moich rodaków i przede wszystkim muszę pilnować interesów polskiego państwa i przestrzegania przez nasz kraj prawa międzynarodowego.

Łukaszenka atakuje nas obrazami cierpiących ludzi. Czy nie ma pan obawy, że ta propaganda się wzmocni wraz z nadejściem zimy?

Ci ludzie przybywają do kraju pana Łukaszenki legalnie. Są przez niego zapraszani, mają wizy turystyczne. Są turystami, jego gośćmi.

Zaraz więc usłyszymy, że jesteśmy tacy sami jak Łukaszenka, nie boi się pan tego?

My nikogo nie zapraszaliśmy do nas po to, by potem wpychać go na granicę sąsiada. Opowieść o biednych uchodźcach też jest oczywiście uogólnieniem i manipulacją. Komendantka oddziału Straży Granicznej, z którą rozmawiałem, relacjonowała mi swoje rozmowy z migrantami. To często dosyć zamożni ludzie, w markowych ubraniach, ze złotą biżuterią, którzy w smartfonach pokazywali jej zdjęcia ze swoich posiadłości w krajach ojczystych. Zapytani, dlaczego idą na Zachód, mówią wprost, że „kuzyn dzwonił i mówił, że w Niemczech żyje się jeszcze lepiej".

Końca konfliktu nie widać, ale są pierwsze reakcje na niego. Choćby zawieszanie połączeń lotniczych, które dowoziły migrantów do Mińska, czy zamykanie konsulatów, a więc uniemożliwianie wystawiania wiz. Może jest jednak światełko w tunelu, które zwiastuje osłabienie naporu na naszą granicę?

Musiało minąć trochę czasu, by prawdziwe informacje dotarły tam, skąd migranci przybywają. Do tej pory byli, i pewnie w jakimś stopniu wciąż są, oszukiwani, że wylądują na Białorusi, a potem trzeba już tylko przejść czy przejechać kawałek i tam jest lepsze życie. Teraz już w znacznie większym stopniu widoczny jest przekaz, że to nie jest tak, że czekają na nich tutaj autobusy, które zawiozą ich do Niemiec. Szlaku tędy nie ma.

Panie prezydencie, spotyka się pan często w gronie premiera i ministrów odpowiedzialnych za służby mundurowe, także z dowódcami wojskowymi. Ale nie chce pan zwołać posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego, czego domaga się opozycja. Czy to świadoma decyzja?

Tak, byłem w tej sprawie sceptyczny. Trudno o poważnych sprawach rozmawiać z ludźmi, którzy jeszcze niedawno biegali po granicy i przeszkadzali polskim funkcjonariuszom w wykonywaniu ich obowiązków, którzy atakowali w mediach oraz w polskim parlamencie żołnierzy służących na granicy.

> Byłem sceptyczny w sprawie zwołania Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Trudno o poważnych sprawach rozmawiać z ludźmi, którzy jeszcze niedawno biegali po granicy i przeszkadzali polskim funkcjonariuszom w wykonywaniu ich obowiązków

Jednak ostatnia debata sejmowa na temat budowy stałej zapory pokazała, że jest jakaś refleksja po tamtej stronie.

Zauważyłem to. Postawa opozycji podczas tej debaty to pierwszy sygnał, że w jakimś stopniu zaczęła ona rozumieć sytuację, w jakiej znalazła się Polska. Do ewentualnej decyzji o zwołaniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego potrzebna jest jednak dalsza obserwacja zachowania polityków opozycji. Muszą oni zrozumieć, że sprawa ta to nie pole do politycznej gry, że po takim spotkaniu nie można wyjść i się popisywać. Proszę pamiętać, że spotykamy się za zamkniętymi drzwiami, w formule niejawnej. To poważna rozmowa o poważnych sprawach. I ja takiego poważnego i odpowiedzialnego podejścia oczekuję. Nic więcej. Dotychczas spotkania, które odbyłem z przedstawicielami rządu, dowódcami wojska i szefami służb, pokazały, że mam do czynienia z gronem ludzi poważnych, piastujących poważne stanowiska, którzy dzierżą w swoich rękach odpowiedzialność za Rzeczpospolitą, i mam pewność, że z tymi ludźmi mogę pewne ustalenia przyjąć i one będą realizowane najlepiej jak tylko to możliwe. Chciałbym jako prezydent zobaczyć też takie oblicze opozycji parlamentarnej. Mam nadzieję, że mimo wszystko je posiada.

Donald Tusk napisał list do przywódców europejskich, to nie byłby partner do rozmowy?

Proszę wziąć pod uwagę, że pan Tusk dzisiaj nie ponosi żadnej odpowiedzialności za polskie sprawy. Żadnej funkcji w Polsce nie pełni. Może więc mówić i pisać, co chce. Obserwując jednak jego poczynania w ciągu ostatnich miesięcy, te daremne próby wstrząsania polską sceną polityczną i tzw. przewracania stolika, ma się nieodparte wrażenie, że w czasie długiego pobytu za granicą pan Tusk stracił zdolność rozumienia polskiej rzeczywistości. Polacy roku 2021 to nie jest to samo społeczeństwo co w roku 2007. Nie wystarczy krzyczeć, że się odsunie Prawo i Sprawiedliwość od władzy. Trzeba umieć coś konstruktywnego zaproponować. W 2015 r. wprowadziliśmy, ja jako wówczas kandydat na prezydenta i Zjednoczona Prawica jako obóz polityczny idący do wyborów parlamentarnych, do polskiej polityki nową jakość: składamy społeczeństwu w kampanii wyborczej obietnice programowe, a następnie rozliczamy się z ich wykonania. To jest może od 2015 r. nowy standard, ale po sześciu latach i kolejnych kampaniach już standard. Donald Tusk i obecna opozycja chyba nie są na to gotowi albo tego nie rozumieją. Polska demokracja dojrzewa, a społeczeństwo staje się coraz bardziej wymagające. Uważam, że to bardzo dobrze.

eprasa.pl 693012e7cd

Decyzja w wpuszczeniu polskich mediów w okolice granicy, w ściśle określonych ramach, w zasadzie zapadła. Czy konieczne było wykluczenie dziennikarzy z tego pasa przygranicznego?

Przede wszystkim chodziło o to, by uporządkować tam sytuację. Obecność kamer i aparatów powodowała, że natychmiast zaczęli ciągnąć tam kompletnie nieodpowiedzialni ludzie. Poseł galopujący z torbą zakupów po granicy pewnie by się na taki gest nie zdecydował, nie mając pewności, że pokażą go w telewizji. Mieliśmy nawet do czynienia z niszczeniem tymczasowej infrastruktury granicznej przez osoby związane z szeroko pojętą opozycją, i to także działo się w asyście dziennikarzy. Chodziło więc o to, by takim sytuacjom zapobiec, ale też o to, by spokój i stabilność zapewnić ludziom, którzy tam mieszkają. Stan wyjątkowy oczywiście utrudnia im codzienność, ale ich reakcja na pracę naszych funkcjonariuszy i żołnierzy w zdecydowanej większości jest bardzo pozytywna. Czują, że Polska jest, że reaguje, że o nich dba. I przynoszą wojsku ciasta, herbatę, pytają, jak przebiega służba. Zwykła ludzka serdeczność. W mediach pokazywano natomiast obraz wypaczający rzeczywistość, dominowały obrazki oburzonych mieszkańców strefy. Tacy też są, ale skala jest zupełnie inna, niż widzieliśmy to w niektórych mediach.

> Ze społecznego punktu widzenia decyzja o budowie stałej bariery jest decyzją dramatyczną. Są przecież ludzie, którzy mają rodziny po obu stronach granicy. Ale jak realnie uszczelnić granicę, jeśli nie właśnie w ten sposób?

Czego pan oczekuje od mediów, gdy już się na granicy znajdą?

Rzetelnego i uczciwego przekazu. Mam nadzieję, że tak będzie. Specjalna ustawa ma kwestię bezpieczeństwa, także dziennikarzy, na tym terenie uporządkować. Warunki do pracy więc będą, a ja chciałbym w polskich mediach słyszeć prawdę, kto tutaj jest napastnikiem, a kto swojej ziemi broni.

Stan wyjątkowy był koniecznością?

Tak uważam, chociaż nie jestem wielkim jego entuzjastą. Mam świadomość wszelkich niedogodności, które on za sobą niesie. Chciałbym, żeby było normalnie, a nie wyjątkowo, ale przede

eprasa.pl 693012e7cd

wszystkim muszą być warunki, w których nasi funkcjonariusze będą bezpiecznie wykonywać swoje obowiązki.

A stała bariera, którą niebawem zbudujemy? To także rozwiązanie nadzwyczajne, ale chyba konieczne?

Jest mi przykro, że reżim białoruski doprowadził do tego , że jesteśmy zdecydowani budować mur. W ten sposób odgradzamy się przecież od naszych sąsiadów, od naszych braci Białorusinów, którzy nie są winni szaleństwom władzy w Mińsku. Ze społecznego punktu widzenia decyzja o budowie stałej bariery jest decyzją dramatyczną. Są przecież ludzie, którzy mają rodziny po obu stronach granicy. Ale jak realnie uszczelnić granicę, jeśli nie właśnie w ten sposób? Przecież nie możemy trzymać tam stale tysięcy naszych żołnierzy.

Podczas spotkania z żołnierzami na granicy powiedział pan, że stawką jest tutaj być może wyjęcie Polski ze strefy Schengen. Ta bariera nas przed tym obroni?

Z dwojga złego wolę rzeczywiście mur na wschodniej granicy niż na zachodniej. Wpuszczając do Polski migrantów, sprawilibyśmy, że ochrona systemu Schengen stałaby się fikcją. I Niemcy mogliby postawić mur na swojej granicy, mieliby do tego powód. Urodziłem się w Polsce zamkniętej właściwie ze wszystkich stron, gdzie nawet uzyskanie paszportu na wyjazd do krajów komunistycznych nie było oczywistością, a za możliwość wyjazdu na Zachód ludzie robili czasem rzeczy podłe. Ponowne zamknięcie byłoby szokiem, nie można do tego dopuścić.

Pan mówi o konflikcie białorusko-unijnym, ale z oczywistych powodów dotyczy on przede wszystkim krajów bałtyckich. Jak wyglądają dzisiaj pana rozmowy z przywódcami Litwy, Łotwy czy Estonii?

Nie ma wątpliwości, że dzisiaj stoimy wszyscy w jednym szeregu. Rzeczywiście rozmawiałem ze wszystkim prezydentami w regionie, i to kilkakrotnie, organizujemy też często telekonferencje w szerszym gronie. Deklaracje są niezmienne, wspieramy się nawzajem. Zarówno Litwini, jak i Łotysze mają pełną świadomość, że w każdej chwili ten atak może się przenieść na nich. Od Litwy zresztą to się kilka miesięcy temu zaczęło, wtedy to my wysyłaliśmy tam pomoc. Nadal taką pomoc deklarujemy, gdyby była konieczna.

> Jeśli ktoś chce sobie rozmawiać, niech rozmawia. Natomiast my nie uznamy wyników żadnych rozmów ani nie dostosujemy się do oczekiwań sformułowanych podczas dyskusji, w której nie uczestniczymy. To jest moje bardzo jednoznaczne stanowisko

Czy jest jakaś droga do deeskalacji konfliktu na granicy poprzez rozmowy z Aleksandrem Łukaszenką? Czy my prowadzimy jakiekolwiek rozmowy z Mińskiem?

Nikt poważny od czasu, gdy reżim Łukaszenki sfałszował wybory na Białorusi, nie traktował go jako demokratycznie wybranego prezydenta. Był traktowany jako uzurpator, i to w dodatku taki, który prześladuje własny naród. Teraz pojawiły się informacje, że pani kanclerz Merkel z nim rozmawiała. Przyznam, że wywołało to nasze głębokie zdumienie.

Czy wiedzieliśmy o tych rozmowach? Czy toczą się jakieś negocjacje ponad naszymi głowami?

Te rozmowy były nam zasygnalizowane. Milcząco wzruszyliśmy ramionami. Jeśli ktoś chce sobie rozmawiać, niech rozmawia. Natomiast my nie uznamy wyników żadnych rozmów ani nie dostosujemy się do oczekiwań sformułowanych podczas dyskusji, w której nie uczestniczymy. To jest moje bardzo jednoznaczne stanowisko. Dla mnie jako prezydenta format, w którym nie uczestniczymy, nie może dotyczyć polskich spraw.

Ile jest w tym konflikcie Rosji?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Natomiast informacją pewną jest to, że spora część migrantów, którzy znaleźli się w Polsce i których przesłuchiwała nasza Straż Graniczna, miała w swoich telefonach zdjęcia zrobione w Rosji. Niektórzy po parę lat mieszkali w Moskwie. Przyszli po prostu z Rosji.

Na jaką realną pomoc międzynarodową liczymy? Czy przyjmiemy pieniądze na budowę bariery? Może rozlokujemy wojska sojusznicze na granicy? Poprosimy o pomoc Frontex?

Od 2015 r. naprawdę skutecznie zmodernizowaliśmy naszą Straż Graniczną, jest ona dobrze wyposażona, jest bardzo sprawną formacją, służą tam

eprasa.pl 693012e7cd

świetni ludzie. I to z ich pomocy korzystał Frontex, gdy potrzebował wysłać ludzi do różnych krajów. Zresztą nasi funkcjonariusze w wielu misjach wciąż biorą udział. Fizycznego wsparcia więc nie potrzebujemy, politycznego zdecydowanie tak. Potrzebujemy, by UE jako jedność i NATO jako instytucja złożona z poszczególnych państw stały twardo za nami, bo my dzisiaj bronimy nas wszystkich.

Słyszymy często, że należy używać środków adekwatnych do sytuacji. Negocjacje między państwami sojuszniczymi i tak się toczą, ale może to moment, by nazwać je po imieniu i skorzystać z art. 4 traktatu NATO?

Rozmawiamy o tym, zdajemy sobie oczywiście sprawę z tego, że art. 4 istnieje, ale miejmy świadomość, że Sojusz Północnoatlantycki, który jest sojuszem obronnym, jest też sojuszem militarnym. Podkreślam to, dzisiaj nie obserwujemy zagrożenia militarnego. Ostatni raz Polska skorzystała z art. 4 w 2014 r., gdy był atak na Ukrainę – Donieck, Ługańsk, Krym. Atak zbrojny, militarny. Później kilkakrotnie korzystała z niego Turcja, przy której granicach toczyła się wojna. Na naszej granicy są dzisiaj zamieszki, ale problem militarny to nie jest. Mamy natomiast porozumienie w gronie państw bałtyckich, że jeśli nadejdzie moment, gdy z art. 4 trzeba będzie skorzystać, to zrobimy to razem.

Coraz więcej mówi się także, że być może trzeba będzie zamknąć przejścia graniczne z Białorusią, to realny scenariusz?

Jedno przejście już zostało zamknięte, mówimy o Kuźnicy, tam dochodzi bowiem do zamieszek. Rozmawiamy o tym bardzo poważnie, to niewątpliwie miałoby skutki dla Białorusi, natomiast miałoby także skutki dla naszych przedsiębiorców i naszych partnerów z Unii. To potężna broń, którą mamy w odwodzie, ale o jej użyciu można zadecydować tylko po uzgodnieniu tego z sąsiadami. Proszę pamiętać, że istnieje możliwość dostarczenia towarów na Białoruś także innymi, nieco bardziej odległymi granicami. Musimy działać kolegialnie, by się nie okazało, że ucierpią na tym tylko polscy przedsiębiorcy.

Toczy się też taka dyskusja, czy Polska powinna mieć armię małą czy dużą. Jakie jest pana zdanie na ten temat, szczególnie biorąc pod uwagę to, czego dzisiaj doświadczamy?

Potrzebujemy armii nowoczesnej i myślę tutaj o dwóch znaczeniach tego słowa. Po pierwsze, bardzo nowocześnie wyposażonej. By żołnierz mógł służyć sprawnie, bezpiecznie i wydajnie. To oczywiście wymaga pieniędzy i już widzimy, że nakłady w wysokości ok. 2 proc. PKB to jest za mało jak na duży kraj, jakim jesteśmy. Stąd nowe propozycje ustawowe, o których rozmawialiśmy przez dłuższy czas, nowy program zasilenia finansowego modernizacji polskiej armii. Po drugie, nowoczesna armia to taka, która wykorzystuje potencjał społeczny. Z jednej strony profesjonaliści, zawodowcy w pełnym tego słowa znaczeniu, którzy chcą się szkolić i służyć. A z drugiej strony są ludzie, którzy chcą coś zrobić dla Polski, dając jej swój czas, swoje serce, niekoniecznie będąc zawodowcami. Dokładnie temu służyło zbudowanie Wojsk Obrony Terytorialnej.

A jeszcze jakaś „lżejsza" odmiana WOT byłaby możliwa?

Uważam, że każda osoba, zarówno mężczyzna, jak i kobieta, która chce nauczyć się posługiwania bronią wojskową, powinna mieć taką możliwość. Pod okiem fachowców, instruktorów, powinno się móc nabyć podstawową umiejętność. WOT to zaangażowanie nieco większe, ale także o charakterze ochotniczym, niezwykle cennym, bo płynącym z serca. To jest wielki skarb, to są ludzie, którzy niosą pomoc, gdy jest niebezpieczeństwo lub klęska żywiołowa, oni są pierwsi do pomocy. Wspierają wojska operacyjne, gdy te znajdują się na nowym terenie, mogą być ich przewodnikami, bo są stamtąd. Wielu dowódców Wojska Polskiego, którzy sceptycznie podchodzili do WOT, gdy powstawały, dzisiaj przyznaje, że to służba bardzo pożyteczna. Szkolmy więc ochotników. A jeśli ktoś zapyta, po co to robić, to odpowiem, że napastnik zastanowi się dwa razy, gdy będzie chciał wysłać oddziały tam, gdzie każdy potrafi posługiwać się bronią. To musi budzić respekt.

Uważam, że każda osoba, zarówno mężczyzna, jak i kobieta, która chce się nauczyć posługiwania bronią wojskową, powinna mieć taką możliwość. Pod okiem fachowców, instruktorów powinno się móc nabyć taką podstawową umiejętność

Panie prezydencie, a jak pan zagranicznym przywódcom tłumaczy postawę polskiej opozycji, która sprzeciwiła się najpierw wprowadzeniu stanu wyjątkowego, a potem budowie zapory na unijnej granicy?

Nikt na szczęście wprost o to nie pyta, każdy wie, że może się trafić opozycja, która działa wbrew interesowi własnego państwa. Szkoda tylko, że nasza opozycja nie chce tego dostrzec. Więcej odebrałem natomiast podziękowań za naszą jednoznaczną postawę. Mimo wszystkich szykan ze strony instytucji unijnych wciąż jesteśmy poważnym i odpowiedzialnym partnerem we wspólnocie. Jesteśmy, co tu kryć, traktowani brutalnie, ale do naszego zobowiązania obrony granicy UE podchodzimy poważnie. Nigdy nie było w nas nawet pokusy, żeby tą kartą zagrać, właśnie dlatego, że jesteśmy poważnym państwem.

Czy nie uważa pan, że właśnie z powodu naszej dzisiejszej postawy Komisja Europejska powinna zacząć traktować nas w końcu po partner-

eprasa.pl 693012e7cd

sku i zaprzestać łamania traktatów, bo w istocie tak należy nazwać blokowanie pieniędzy z funduszu odbudowy dla Polski?

Tak naprawdę instytucje europejskie nigdy nie powinny tej nieuczciwej gry z Polską rozpoczynać. To jest konflikt ideologiczny. Oni po prostu nie godzą się z wynikiem demokratycznych wyborów w Polsce. Chcą tutaj innej władzy. Za naszych poprzedników, gdy napadano na redakcję „Wprost", by zabrać taśmy z nagranymi politykami rządzącej partii, nie było międzynarodowego poruszenia ani alarmów o naruszeniu demokracji czy zagrożeniu wolności słowa. Kiedy aresztowano dziennikarzy w siedzibie Państwowej Komisji Wyborczej, gdy protestowali w związku z podejrzanym wynikiem wyborów samorządowych, czy wtedy zachodnioeuropejscy politycy krzyczeli o zamykaniu mediom ust?

Dlaczego?

Bo rządził wygodny dla eurokratów i liberalnej lewicy rząd PO-PSL. Upadały polskie stocznie, niemieckie były w tym czasie dotowane. Działo się to, czego życzyli sobie wielcy europejscy politycy. Odwracali się więc plecami od złych zjawisk i ich nie widzieli. Taka była cena. Natomiast gdy po 2015 r. zaczęliśmy robić to, na co pozwalają nam traktaty europejskie, czyli np. dokonywać reformy ustrojowej wymiaru sprawiedliwości, co należy do wyłącznej kompetencji państw członkowskich, to zostaliśmy zaatakowani w kwestii praworządności. To jest kompletnie niezrozumiałe i samo w sobie jest naruszeniem traktatów.

Mamy coraz to nowsze odsłony konfliktu z UE. Czy wyrok Trybunału Konstytucyjnego uznający prymat konstytucji nad prawem unijnym jest krokiem, który finalnie Polsce się opłaci? Na ten moment wywołał coś w rodzaju paniki na Zachodzie.

Zależy u kogo. Proszę popatrzeć chłodno, jakie te oceny z Zachodu tak naprawdę płyną. Jakie są głosy bardzo poważnych konstytucjonalistów w Niemczech, we Francji. Większość z nich uważa tak samo: oczywiście, że najpierw nasza konstytucja. Zastanówmy się, dlaczego swego czasu Francuzi czy Irlandczycy nie przyjęli europejskiej konstytucji, odrzucili ją w referendum. Bo z założenia taka konstytucja byłaby ponad ich konstytucją. Niemiecki trybunał w Karlsruhe w szczegółowych sprawach wypowiadał się dokładnie tak samo jak nasz, tylko że rzeczywiście nigdy nie wydano tak jednoznacznego i wyraźnego wyroku jak w Polsce. Polski TK powiedział zaś coś, co dla mnie jest oczywiste, że polska konstytucja jest ponad wszelkimi regulacjami, natomiast prawo podkonstytucyjne musi być zgodne z regulacjami europejskimi.

Minister Zbigniew Ziobro zaprezentował szkic kompleksowej reformy wymiaru sprawiedliwości. Najważniejsze zmiany dotyczyłyby struktury sądów, dwa poziomy zamiast trzech, oraz znaczne ograniczenie składu Sądu Najwyższego. Czy jest pan skłonny poprzeć takie zmiany?

Trwa proces konsultacyjny w tej sprawie, rzeczywiście docierają do mnie różne propozycje. Niektóre są ciekawe, wnoszą pewne novum do ustroju polskiego wymiaru sprawiedliwości, ale mam też wiele wątpliwości. Nie ukrywam, że powiedziałem od razu, iż części z nich nie akceptuję. Podczas spotkań konsultacyjnych wyraziłem wprost, na jakie rozwiązania mojej zgody nie będzie.

Czego dotyczą największe rozbieżności?

Chodzi o obszary związane z przekształceniami sądów, ze statusem sędziego. Ale także ze ścieżką powołań do pełnienia urzędu, tutaj są największe zastrzeżenia. Co do istotnych zmian w Sądzie Najwyższym, musiałbym zobaczyć szczegóły tej ustawy. Chciałbym, aby SN zachował swoją konstytucyjną funkcję, to jest podstawa, w której ramach można rozważać różne rozwiązania.

Co jakiś czas rozmawiamy o kondycji Zjednoczonej Prawicy. Dzisiaj ta większość w Sejmie jest trochę połatana, ale ustawy przechodzą. Wydawało się, że będzie to trudne, szczególnie po odejściu Jarosława Gowina, którego akurat pan podczas ostatniej uroczystości potraktował bardzo chłodno.

Nie ukrywam, że moja postawa wówczas była spowodowana wcześniejszymi medialnymi wypowiedziami pana premiera Gowina na temat spotkania ze mną. Sugerował, że będzie prowadził tutaj jakieś negocjacje. Ja tak nie działam. Dla mnie sprawy są klarowne, mnie zależy na tym, by była większość parlamentarna, którą Polacy wybrali w wyborach, i to jest także kwestia odpowiedzialności za polskie sprawy.

Czy w związku z tym widmo przyspieszonych wyborów, o których jeszcze niedawno się mówiło, to już przeszłość?

Chciałbym, aby Zjednoczona Prawica, która wygrała wybory parlamentarne w 2019 r., rządziła zgodnie z regułami konstytucyjnymi przez całą kadencję, czyli do roku 2023.

A kto mógłby wygrać trzecią kadencję prezydencką dla Zjednoczonej Prawicy? Widzi pan kogoś na horyzoncie, kto mógłby być pana następcą?

Często jestem o to pytany, zawsze mam taką samą odpowiedź. Do końca mojej kadencji zostały ponad trzy lata. Czy ktokolwiek w roku 2011 wyobrażał sobie, że kandydatem w roku 2015, i to takim, który zwycięży, będzie Andrzej Duda? Być może kandydatem w 2025 r. będzie ktoś, kto jeszcze dzisiaj jest na obrzeżach polityki albo jeszcze go w polityce nie ma wcale.

Rozpędza się kolejna fala koronawirusa, czy według pana należy rozważać pomysł obowiązkowych szczepień?

Uważam, że Polacy by tego nie przyjęli, tacy po prostu jesteśmy. Lepiej jest do szczepień racjonalnie namawiać i ja to robię przy każdej okazji. W ostatnim czasie w moim otoczeniu w Pałacu Prezydenckim było kilka przypadków zachorowań. Dotknęło to osób, które były w pełni zaszczepione, przechodzą chorobę albo bardzo lekko, albo bez żadnych symptomów. Żadnych ciężkich przypadków.

eprasa.pl 693012e7cd

Frontex nie pomoże

Udział Frontexu w procedurze azylowej mógłby mieć dla Polski fatalne konsekwencje. Obcy urzędnicy mogliby bowiem skłaniać imigrantów do przyjęcia azylu w naszym kraju. Tyle tylko, że żaden z nich nie ponosiłby odpowiedzialności za dalsze losy azylantów. A ci zgodnie z prawem, które mówi, że imigrant nie może się powtórnie starać o azyl w innym kraju Unii, musieliby pozostać na terytorium Polski. I tak, boczną furtką, mogliby wejść do nas ludzie, przed którymi w tej chwili twardo się bronimy

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na początku poprzedniego tygodnia Komisja Europejska (KE) zaproponowała Polsce układ. Na jego mocy KE była gotowa pokryć 2 proc. kosztów budowy muru na granicy z Białorusią, jednak w zamian oczekiwała udziału agencji Frontex w procedurze udzielania azylu imigrantom próbującym się przedrzeć do Polski. Polska – słusznie – odmówiła.

Dlaczego słusznie? Przede wszystkim dlatego, że byłoby to faktyczne oddanie kontroli nad granicą międzynarodowej instytucji, czyli – mówiąc wprost – scedowanie na rzecz Unii kolejnego atrybutu naszej suwerenności. W dodatku za ochłapy, bo czymże jest równowartość 30 mln zł wobec planowanego przez rząd 1,5 mld na budowę nowoczesnego ogrodzenia?

I nie ma tu nic do rzeczy, że wschodnia granica Polski jest zarazem wschodnią granicą Unii, zgodnie z traktatami (które, to prawda, są coraz częściej łamane i naciągane) to państwa członkowskie odpowiadają bowiem za ochronę swoich granic. Zatem nie ma żadnego obowiązku, aby poddawać granicę unijnemu nadzorowi. Zwłaszcza że Unia – poza ogłoszeniem dość mikrych sankcji oraz negocjacjami z Łukaszenką i Putinem, które tylko zachęciły ich do eskalacji kryzysu – niewiele dotąd zrobiła, aby nam realnie pomóc w odparciu hybrydowej agresji ze strony białoruskiego reżimu.

Co więcej udział Frontexu w procedurze azylowej mógłby mieć dla Polski fatalne konsekwencje. Obcy urzędnicy mogliby bowiem skłaniać imigrantów do przyjęcia azylu w naszym kraju. Tyle tylko, że żaden z nich nie ponosiłby odpowiedzialności za dalsze losy azylantów. A ci zgodnie z prawem, które mówi, że imigrant nie może się powtórnie starać o azyl w innym kraju Unii, musieliby pozostać na terytorium Polski. I tak, boczną furtką, mogliby wejść do nas ludzie, przed którymi w tej chwili twardo się bronimy. Co więcej, nie byliby oni zainteresowani pobytem w naszym kraju, co mogłoby wywołać dalsze problemy, tym razem na granicy z Niemcami. Gdyby zaczęli oni na większą skalę uciekać do Niemiec, to nie sposób byłoby wykluczyć

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 693012e7cd

zawieszenia przez Berlin układu Schengen na naszej zachodniej granicy. Jakie mielibyśmy z tego korzyści? Przyznam, że ja nie widzę żadnych. Wręcz przeciwnie. Lepiej więc trzymać się dotychczasowej strategii i w żadnym wypadku nie oddawać nikomu kontroli nad własną granicą.

BEZ KOMPLEKSÓW

Warto przy tym pamiętać, że Frontex to nie jest – wbrew temu, co sugerują swoim wyznawcom liberalne media – żadna superjednostka, która przyjedzie na naszą granicę i rozpuści tam komandosów, na których widok Białorusini natychmiast czmychną do Mińska, a imigranci z powrotem do Syrii i Iraku. Przeciwnie to licząca 1,3 tys. urzędników agencja, której podstawowym zadaniem jest koordynacja polityki granicznej, wymiana i analiza informacji oraz pomoc w nagłych wypadkach.

Oczywiście hybrydowa agresja na polską granicę jest takim nagłym wypadkiem. Tyle że w takich sytuacjach Frontex może jedynie poprosić inne państwa członkowskie o przysłanie nam do pomocy swoich strażników. Czy oni są nam dziś potrzebni? Polsce, która ma teraz na białoruskiej granicy 16 tys. strażników granicznych, policjantów i żołnierzy, w niczym nie pomoże podesłanie co najwyżej kilkuset funkcjonariuszy z innych krajów Unii. Zwłaszcza że sami przecież udzielamy takiej pomocy zagrożonej Litwie i delegowaliśmy swoich strażników na południe Włoch do walki z nielegalną imigracją z Afryki.

Ktoś może jednak uznać, że nawet kilkuset funkcjonariuszy z państw Unii się przyda, zwłaszcza że są – jak można domniemywać – dobrze wyszkoleni. Owszem, są wyszkoleni, bo ich instruktorami byli Polacy. Jak zwrócił niedawno uwagę w wywiadzie dla naszego tygodnika dowódca Straży Granicznej gen dyw. Tomasz Praga, to polscy strażnicy dzięki wygraniu konkursu ogłoszonego przez Frontex szkolą dziś funkcjonariuszy z innych państw. Zatem mając do dyspozycji tysiące własnych profesjonalnych strażników, naprawdę nie musimy mieć kompleksów i spoglądać na innych.

PRAWDA EKRANU

Oczywiście nie należy być naiwnym i sądzić, że apele o pomoc Frontexu są wyłącznie wynikiem braku wiedzy. Opozycja, bo to głównie od niej wypływają te apele, domaga się obcych funkcjonariuszy, aby upiec przy tej okazji dwie pieczenie na jednym ogniu. Zatwardziali antypisowcy chcą udowodnić w Polsce i poza jej granicami, że „reżim" sobie nie radzi i musi korzystać z pomocy Unii. A skoro tak, to powinien się teraz przed tą Unią ugiąć, także w innych sprawach i zdać się na jej wytyczne. Z kolei co bardziej nawiedzeni lewicowcy i ci, którzy kierują się zasadą „im gorzej, tym lepiej", liczą na to, że dzięki obecności Frontexu uda się nieco uchylić granicę i przemycić do Polski imigrantów.

> Jeżeli nasi unijni partnerzy będą nadal prowadzić własną grę, licząc przy tym na jakieś korzyści polityczne w Polsce, to wówczas sprowadzą na wszystkich poważne niebezpieczeństwo

Warto zauważyć, że są to zwykle ci sami ludzie, którzy sprzeciwiają się znowelizowaniu ustawy o ochronie granicy oraz budowie tam muru. I głośno domagają się powrotu mediów na granicę, aby poznać „prawdę" o tym, co się tam dzieje. Jak wygląda ta „prawda", widzieliśmy już wcześniej, przy okazji kotka rzekomo przyniesionego z Afganistanu, dzieci z Michałowa i – przede wszystkim – agresywnych medialnych ataków na żołnierzy i strażników granicznych. Taką „prawdę" cały czas sączą białoruskie i rosyjskie media propagandowe. Nie ma więc sensu podsyłać za plecy polskich żołnierzy epigonów wschodniej propagandy, którzy nawet w takiej sytuacji nie potrafią się powstrzymać od dowalania „reżimowi".

Byłoby inaczej, gdyby w Polsce media nie żywiły się w takim stopniu wojną polityczną i nie były stronami sporu. Wówczas ta dyskusja o ich obecności na granicy zapewne miałaby sens. Teraz jednak, gdy media stały się narzędziem manipulacji i amunicją w wojnie propagandowej, ich swobodny dostęp do granicy może zagrażać bezpieczeństwu państwa. Tracą na tym, niestety, uczciwi dziennikarze.

Problemem jest także brak spójnej narracji w walce z zewnętrznym zagrożeniem. Bo jeśli część mediów uważa za głównego wroga własny rząd, to siłą rzeczy wspiera przeciwko Polsce – niekoniecznie intencjonalnie – białoruskiego satrapę i jego patrona z Kremla. To są rzeczy niedopuszczalne, ale ciągle nie wszyscy dostrzegają w tym zagrożenie. Bo na razie – na szczęście – konflikt ma ograniczony zasięg, a przy tym nienawiść do PiS odbiera niektórym rozum i pozbawia ich instynktu samozachowawczego.

Łukaszenka zręcznie to wykorzystuje, a nawet inicjuje, o czym świadczy ujawniona w zeszłym tygodniu przez Amerykanów informacja o tym, że źródłem wycieku domniemanych maili ministra Michała Dworczyka byli hakerzy sponsorowani przez reżim w Mińsku. Podobne działania prowadzono także wobec władz litewskich, co wprost dowodzi, że autorytarne reżimy za naszą wschodnią granicą czerpią siłę z naszych wewnętrznych sporów.

PODWÓJNE STANDARDY

KE, jak już wspomniałem, chciałaby wykorzystać Frontex do poszerzenia swojej władzy. Tym razem nad granicami państw członkowskich i ich polityką azylową. Gdyby to się powiodło, to – znając dotychczasową politykę Unii – zapewne wkrótce zalałaby nas fala imigrantów, z których potem bogatsze kraje wyłuskiwałyby nielicznych, którzy mogliby zasilić tamtejsze rynki pracy. Pozostała większość koczowałaby w obozach na terenie Polski, ciągle próbując z nich uciec. A odpowiedzialność za ich ucieczki ponosiłaby Polska. W ten sposób mielibyśmy u nas coś na kształt planowanej

eprasa.pl 693012e7cd

w 2015 r. i szczęśliwie zablokowanej relokacji imigrantów, która zakładała, że Niemcy i inne państwa Unii, które wpuściły do siebie wówczas setki tysięcy przyjezdnych z Azji i Afryki, podzielą się ich nadwyżką z Polską i innymi państwami naszego regionu.

Podejrzenia co do intencji KE są o tyle uzasadnione, że dopiero co głównym tematem w jej relacjach z Polską były przepychanki, groźby i kary w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości i rzekomych antydemokratycznych działań rządu PiS. Zatem nie ma żadnych powodów, aby sądzić, iż zdominowana przez ideologicznych wrogów prawicy KE zamierza ułatwiać życie obecnym polskim władzom i poważnie traktować nasz kraj. Coraz bardziej prawdopodobna wydaje mi się więc hipoteza, że uderzenie Łukaszenki (i Putina) w Polskę było nieprzypadkowe, bo jako obiekt walk wewnętrznych i sporów z Unią wydawała się łatwym, osamotnionym celem.

Dodatkowo unijne instytucje – o czym mogliśmy się już niejednokrotnie przekonać, ostatnio choćby w sprawie wymiaru sprawiedliwości – stosują różne standardy wobec różnych państw. Dotyczy to także kwestii związanych z tzw. push-backiem, czyli odsyłaniem nielegalnych imigrantów, którzy przedostali się na drugą stronę granicy. Skądinąd przyjmuje się, że imigrant, który wdarł się nielegalnie na terytorium państwa Unii, powinien – o ile poprosi o azyl – taki azyl otrzymać. Problem w tym, że imigranci, którzy szturmują nas zza wschodniej granicy, takiego azylu się nie domagają, bo chcieliby go złożyć dopiero w kraju docelowym, a więc np. w Niemczech. Z tego powodu są odsyłani przez nasze służby z powrotem na granicę.

Unia chciałaby jednak – i pewnie w tym miałaby pomóc obecność Frontexu – aby ich nie odsyłano i przyjmowano w Polsce. Na jakiej podstawie mielibyśmy kogoś siłą trzymać w naszym kraju? Tego nie wiadomo. Wiadomo za to, że ta sama Unia nie ma podobnych skrupułów w sprawie imigrantów afrykańskich szturmujących hiszpańskie enklawy na marokańskim wybrzeżu Ceutę i Melillę. Tam push-back jest dozwolony. No ale w Hiszpanii rządzi przecież miła KE lewica.

PONAD NASZYMI GŁOWAMI?

O tym, że najważniejsi przywódcy Unii nie traktują Polski ani innych państw naszego regionu podmiotowo i najchętniej – ku radości naszej antypisowskiej opozycji – wzięliby sprawy dotyczące naszego życia i naszego bezpieczeństwa w swoje ręce, świadczą choćby podjęte w zeszłym tygodniu próby negocjowania ponad naszymi głowami z Łukaszenką i Putinem.

Nie wiem, jakie dokładnie intencje przyświecały Angeli Merkel, że wzięła do rąk słuchawkę i zadzwoniła do Putina, który poinstruował ją, aby rozmawiała bezpośrednio z Łukaszenką, co też wkrótce uczyniła. Wiem za to, że Łukaszenka, który był bojkotowany przez Zachód od czasu sfałszowanych wyborów prezydenckich w 2020 r., tylko czekał na taką sposobność. I że białoruski satrapa wspólnie z Putinem się przekonał, że presja na polską granicę przynosi efekty. W tym samym czasie własne debaty z Putinem podjął też, tradycyjnie zazdrosny o własną pozycję w Europie, Emmanuel Macron.

> Co bardziej nawiedzeni lewicowcy i ci, którzy kierują się zasadą „im gorzej, tym lepiej", liczą na to, że dzięki obecności Frontexu uda się nieco uchylić granicę i przemycić do Polski imigrantów

Skutek tego był taki, że napór na polską granicę jeszcze bardziej wzrósł. Koczujących przy granicy imigrantów podburzyli funkcjonariusze białoruskich służb, którzy – jak wszystko na to wskazuje – wzięli czynny udział w napaści na polskie przejście graniczne w Kuźnicy. W chwili gdy piszę te słowa, Komenda Główna Policji poinformowała o dziewięciu rannych policjantach, którzy zostali poszkodowani podczas wtorkowego najazdu (w tym jeden ciężko, z pękniętą wskutek uderzenia kamieniem czaszką). Była też mowa o rannym żołnierzu i strażniczce granicznej.

Nie o taką pomoc ani o takie umiędzynarodowienie konfliktu chodzi Polsce. Przekonali się już o tym wcześniej Ukraińcy, których wystawiono do wiatru, gdy się okazało, że zainicjowane przez Zachód rozmowy w tzw. formacie normandzkim niczego nie dały, a Rosjanie znów mocno zagrażają bezpieczeństwu i integralności Ukrainy.

Unia, chcąc pomóc Polsce, powinna ją jednoznacznie wesprzeć i zaostrzyć sankcje. Także we własnym interesie. Bo wszelkie ukłony i ustępstwa wobec Łukaszenki jedynie go zachęcają do dalszej agresji. Być może nadszedł już czas, aby całkowicie zamknąć granicę z Białorusią.

Jeżeli jednak nasi unijni partnerzy nadal będą prowadzić własną grę, licząc przy tym na jakieś korzyści polityczne w Polsce, to wówczas sprowadzą na wszystkich poważne niebezpieczeństwo. Bo Mińsk i Moskwa stawiają przecież na wewnętrzne podziały w Unii, nie przypadkiem Putin – wypowiadając się na temat kryzysu granicznego – wspomniał o możliwości negocjacji jedynie z „głównymi" państwami Unii. Nasze (i nie tylko nasze) doświadczenie historyczne uczy tymczasem, że w ten sposób nie kupi się spokoju. Czeka nas więc najpoważniejszy chyba do tej pory test z europejskiej solidarności.

Na razie kanclerz Merkel uspokaja, że – pomimo dwóch rozmów telefonicznych z Łukaszenką – jest w pełni solidarna z Polską. Solidarni są też zwykli mieszkańcy Europy Zachodniej, którzy – tak jak w niedawnym sondażu zamieszczonym w „Le Figaro" – przytłaczającą większością poparli polską decyzję o budowie muru na granicy (85 proc. spośród ponad 100 tys. głosujących). Zobaczymy, czy to przełoży się na konkretne działania.

eprasa.pl 693012e7cd

650 ton asfaltu LOTOSU na litewskim lotnisku

Pod koniec października br. zakończyła się realizowana przez A.C.B. Latvia przebudowa dróg startowych na lotnisku Palanga w zachodniej części Litwy. Modernizacja miała na celu zwiększenie nośności i poprawę bezpieczeństwa pasa startowego portu lotniczego. W ramach prac budowlanych ułożono 83 tys. ton mieszanek mineralno-asfaltowych. Prace nawierzchniowe na lotnisku wymagały szybkiego tempa, mobilizacji wykonawcy i niezawodności dostaw. Wysokiej jakości asfalty dostarczyła spółka LOTOS Asfalt

Nasza firma jest profesjonalnym i sprawdzonym producentem, a także dostawcą asfaltów do budowy nawierzchni o najwyższych wymaganiach eksploatacyjnych, takich jak budowa czy remont lotnisk w kraju i za granicą – podkreśla Krzysztof Rodzik, członek zarządu spółki LOTOS Asfalt. – Zawdzięczamy to bardzo wysokiej jakości produktów oraz doskonałej logistyce dostaw, które są priorytetem naszej działalności. Lotnisko w Palandze jest kolejnym projektem lotniczym, na którym zastosowano nasze nowoczesne asfalty. W swoim portfolio mamy między innymi lotniska w Wilnie, Warszawie, Gdańsku, we Wrocławiu, Rzeszowie, Dęblinie, Radomiu, Bydgoszczy czy Pyrzowicach, gdzie inwestorzy i wykonawcy obdarzyli nas zaufaniem, a my dołożyliśmy wszelkich starań, aby sprostać ich wysokim wymaganiom i odnieślismy sukces – dodaje Krzysztof Rodzik.

Lotnisko w Palandze, które w 2019 r. obsłużyło 338 tys., a w 2020 r. 120 tys. pasażerów, jest istotnym punktem komunikacyjnym w połączeniu z dużym, niezamarzającym portem morskim w Kłajpedzie. Wokół lotniska istnieje doskonale rozwinięta sieć dróg, umożliwiająca połączenie z głównymi miastami regionu i sąsiednimi krajami. W ramach przebudowy portu lotniczego zmodernizowany został pas startowy długości 2,3 km i szerokości 45 m. Wymienione zostały wszystkie asfaltowe warstwy konstrukcyjne nawierzchni pasa startowego oraz leżące poniżej warstwy podbudowy z kruszyw. Ponad 90 proc. materiałów z rozbiórki starej nawierzchni zostało poddanych recyklingowi i ponownie wykorzystanych do budowy nowych nawierzchni.

Charakter i zakres prac oraz wysokie standardy nawierzchni lotniskowych wymagają asfaltów o szczególnej jakości i parametrach. Zastosowanie asfaltów modyfikowanych polimerami zapewnia drogom kołowania wysoką trwałość i odporność na deformacje oraz działanie wody, mrozu i soli odladzających. Nawierzchnie asfaltowe to również nawierzchnie bezpieczne posiadające odpowiednią szorstkość – parametr niezwykle istotny na drogach lotniskowych, dlatego tego typu rozwiązania stosuje się zarówno w Polsce, jak i za granicą.

Na przebudowę lotniska w Palandze firma LOTOS Asfalt dostarczyła 650 ton asfaltów modyfikowanych. – W roku 2021 blisko 30 proc. sprzedaży LOTOS Asfalt trafiło na rynki zagraniczne. Jesteśmy ważnym dostawcą w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Nasze asfalty trafiają m.in. do krajów bałtyckich, a także do Czech, Słowacji, Rumunii i na Ukrainę. Ważnym rynkiem eksportowym jest Skandynawia – podkreśla Krzysztof Rodzik.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 68/0821/F

eprasa.pl 693012e7cd

STANISŁAW JANECKI

Klęska sukcesu Platformy

Największym osiągnięciem Donalda Tuska jest przekonanie Polaków, że Platforma Obywatelska jest partią antypaństwową

Fot. Andrzej Wiktor

Tego się nie spodziewali ani Donald Tusk, ani Platforma Obywatelska. Plan był taki, że Tusk jest zbawieniem nie tylko dla Platformy, lecz także dla Polski. Dlatego deklarował przywrócenie „normalności", czyli tego, co już było za jego rządów. I deklarował, że ma tak duże wpływy, iż zakulisowymi rozmowami z szefami unijnych instytucji oraz przywódcami państw doprowadzi do zatwierdzenia polskiego Krajowego Planu Odbudowy oraz do tego, że żadne pieniądze dla Polski nie będą blokowane: ani zaliczki z funduszu odbudowy, ani środki z wieloletniego budżetu. To miało jemu i PO przysporzyć poparcia w sondażach oraz podbudować wizerunek polityka skutecznego, mającego wpływy oraz dbającego o polskie interesy. To ostatnie było przecież jego najsłabszą stroną, szczególnie po tym, jak został przewodniczącym Rady Europejskiej.

Zaskoczenie ostatnich tygodni (październik i listopad 2021 r.) polega na tym, że konfrontując się z Prawem i Sprawiedliwością, czyli pokazując, że jest twardo antypisowski i totalnie opozycyjny, wpadł w pułapkę. Tusk odpowiada za jednoznacznie negatywne nastawienie do inicjatyw obozu rządzącego, tyle że akurat dla rządu i państwa najważniejsza była obecnie sprawa bezpieczeństwa Polski i Polaków, czyli twarda reakcja na atak na naszą wschodnią granicę ze strony Białorusi i pośrednio Rosji. I PO, i Tusk głosowali zgodnie z zasadami: „nie, bo nie" oraz „nie można popierać niczego, co proponuje wróg". Dlatego Platforma nie poparła ustawy o budowie trwałej zapory na newralgicznym odcinku polsko-białoruskiej granicy. Dlatego partia Tuska była najpierw przeciw przedłużeniu stanu wyjątkowego w pasie przygranicznym, a potem przeciwko ustawie o ochronie granicy państwowej. Na to nałożyła się decyzja o poparciu szkalującej Polskę rezolucji Parlamentu Europejskiego, nawet sami politycy PO eskalowali zarzuty i domagali się sankcji dla Polski. Potem przyszła inicjatywa pięciu frakcji w Parlamencie Europejskim (w tym Europejskiej Partii Ludowej, której Tusk jest wciąż przewodniczącym), żeby nie przyjmować polskiego KPO ani nie odblokowywać środków dla Polski.

Z jednej strony mieliśmy więc bajki Donalda Tuska o jego możliwościach załatwienia dla Polski tego, czego rząd nie był ponoć w stanie załatwić, a z drugiej fakty dowodzące tego, że albo nikt poważny się z nim nie liczy, albo że kłamie, czyli nie tylko Polsce nie pomaga, lecz jej szkodzi, bo o to chodzi w inicjatywie pięciu frakcji. Zamiast odbudować wizerunek PO jako partii skutecznie dbającej o polskie interesy, udało się Tuskowi przekonać wielu Polaków, że Platforma jest partią antypaństwową. A to o wiele gorzej niż bycie totalną opozycją.

GROMOWŁADNY BEZRADNY

O ile za czasów, gdy Borys Budka był przewodniczącym PO, partia ta miała problem z wyrażaniem jasnego stanowiska w jakiejkolwiek sprawie, o tyle od powrotu Donalda Tuska tego problemu nie ma. Tyle że te decyzje są dla partii wyjątkowo szkodliwe, szczególnie długofalowo i w kontekście wyborczym. Najgorsze w skutkach może być głosowanie przeciwko budowie zapory na granicy z Białorusią, i to w czasie, gdy na Litwie (jeden głos przeciw) i Łotwie (zero głosów przeciw) opozycja poparła rząd. I gdy instytucje UE oraz NATO też poparły tę inicjatywę, podobnie jak rządy zwykle

eprasa.pl 693012e7cd

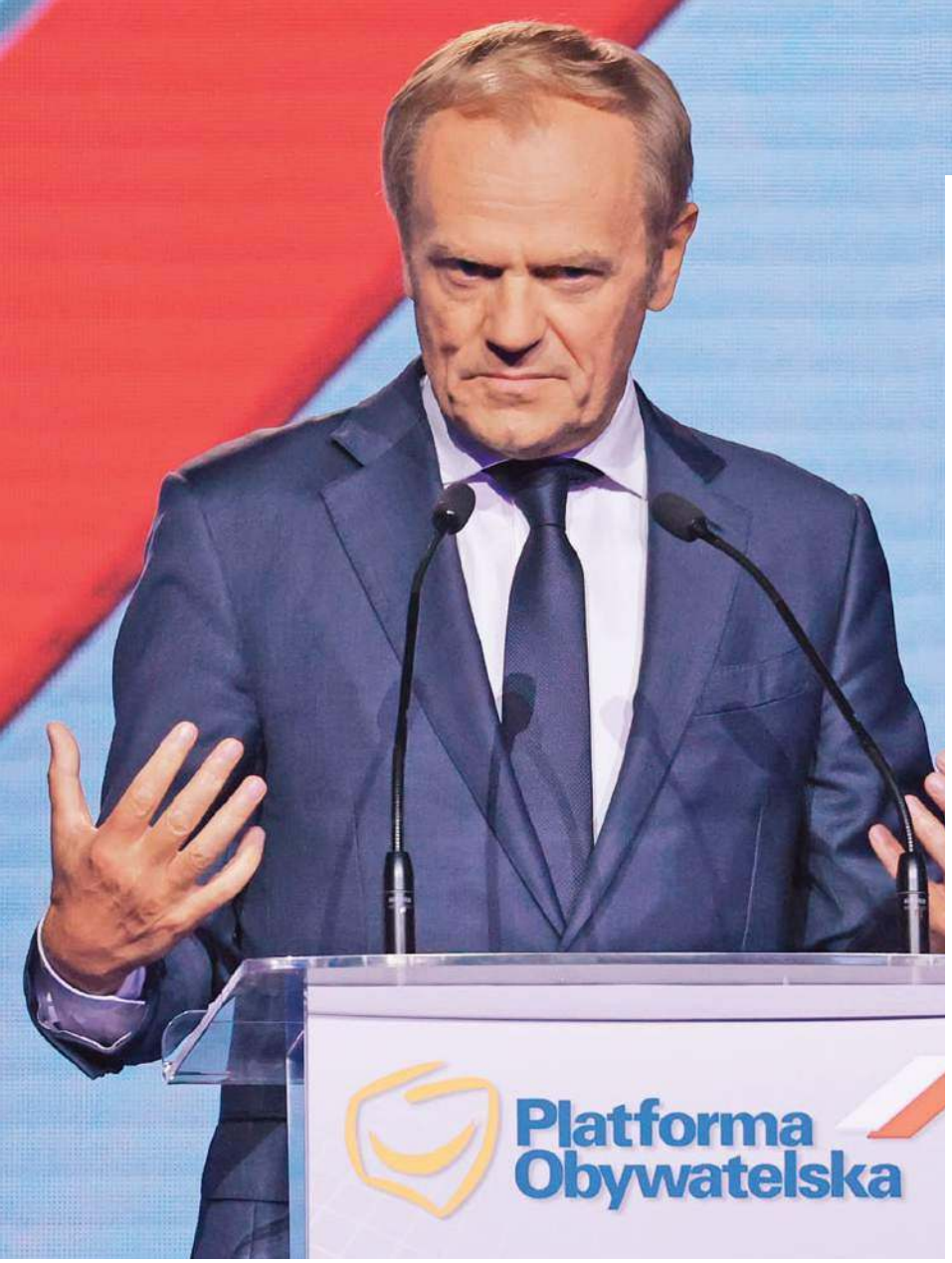

Polsce nieprzychylne, np. francuski. Przeciw budowie muru głosowały także Lewica i Polska 2050, ale dla nich skutki tej decyzji nie będą tak dotkliwe jak dla PO, gdyż nie stoi za tym lider partii o długim państwowym i międzynarodowym doświadczeniu, jakie ma Donald Tusk. I lider deklarujący działania dla dobra Polski, a nie przeciw niej.

Kolejną złą w skutkach decyzją PO i Tuska był sprzeciw wobec przedłużenia stanu wyjątkowego przy granicy z Białorusią, co zostało odebrane jako lekceważenie zagrożenia, szczególnie na poziomie lokalnym. Potem pojawił się jeszcze sprzeciw wobec ustawy o ochronie granicy. To ważne, skoro stan wyjątkowy obowiązuje tylko do 30 listopada, a potem nie można go przedłużyć, więc konieczne są inne środki, gdyż sytuacja na granicy jest dużo bardziej napięta niż wtedy, gdy stan wyjątkowy na 60 dni przedłużano.

Te wszystkie decyzje Donalda Tuska i jego partii wzmacniają poczucie zagrożenia w całym kraju i pokazują Platformę jako partię egoistyczną, dla której liczy się tylko własny interes polityczny, a nie bezpieczeństwo Polaków. W dodatku wielu Polaków jest przekonanych, że gdyby rząd PO (nawet w wersji z Tuskiem jako premierem) odpowiadał obecnie za bezpieczeństwo wschodniej granicy, to albo wpuściłby tysiące imigrantów, albo nie byłby w stanie ich zatrzymać, co na jedno wychodzi.

Platformie i Tuskowi bardzo szkodzi przyzwolenie na obrażanie i atakowanie żołnierzy oraz funkcjonariuszy Straży Granicznej i policji przez wielu jej działaczy, a jeszcze bardziej przez zdeklarowanych sympatyków. W demokratycznej Polsce nigdy nie było to dobrze przyjmowane, a szczególnie w czasie zagrożenia, gdy wojsko i służby jeszcze mocniej funkcjonują jako obrońcy Polski, gdy każdego dnia ryzykują zdrowie i życie, a przy tym pokazują oddanie dla Polski i wyjątkowe poświęcenie oraz odpowiedzialność.

Na poczet PO zapisywane są nie tylko ataki europosła Janusza Lewandowskiego, lecz również ludzi przez PO wylansowanych, np. europosłanki Janiny Ochojskiej. To wszystko tworzy obraz partii niebezpiecznej dla Polaków i państwa polskiego, gdyby odzyskała ona władzę. A przecież Donaldowi Tuskowi najbardziej zależało na odzyskaniu przez Platformę wizerunku partii odpowiedzialnej oraz przewidywalnego lidera, w którym można mieć oparcie, przy którym ryzyko się redukuje, a nie zwiększa. Do tego dochodzą kompromitujące dla partii Tuska wygłupy na granicy (i poza nią) posłanki Klaudii Jachiry czy posła Franciszka Sterczewskiego. Tusk nawet próbował ich pohamować, przewidując negatywne skutki ich wyskoków, ale został kompletnie zignorowany, bo te osoby nie są nawet członkami PO i wysłały lidera partii „na drzewo". Wizerunek Tuska gromowładnego, który, gdy się „wścieknie", jest w stanie każdego przywołać do porządku albo zniszczyć w razie oporu, legł w gruzach.

AUTODEMSKACJA

Tusk wrócił do polskiej polityki w czasie, gdy pojawiły się różne zagrożenia, w tym przede wszystkim zewnętrzne. I nieprzypadkowo powrót zbiegł się z tymi zagrożeniami. Po prostu kalkulowano, że uda się to wykorzystać do osłabienia Prawa i Sprawiedliwości, a może nawet Tusk mógłby koordynować te wszystkie ataki i trudne sytuacje. A potem jako najbardziej zasłużony, tym bardziej gdyby doszło do wcześniejszych wyborów, mógł wybierać, czy prowadzi opozycję jako kandydat na prezydenta, czy na premiera. Nie przewidział jednak, że tym razem nie będzie chodziło o rutynowe niejako „czołganie" Polski przez instytucje UE, czyli permanentny kryzys, ale atak mający wszelkie cechy wojny:

eprasa.pl 693012e7cd

informacyjnej (dezinformacyjnej), propagandowej, hybrydowej, a ostatecznie nawet klasycznej. A w takim momencie nie tylko wzrasta poparcie dla rządzących (tym bardziej, im lepiej sobie radzą), lecz wszelkie działania przeciw rządowi (Polsce) są traktowane jako w najlepszym razie piąta kolumna, a właściwie jako zdrada. I wtedy jest bardzo trudno przekonać kogokolwiek, że zmiana władzy, a już szczególnie jej oddanie w ręce tych, którzy przeciw Polsce działali, ma jakiś sens. Raczej wtedy dominuje przekonanie, że to wielkie ryzyko, a atakujących powinno się trzymać z dala od wpływu na państwo. I Donald Tusk, i PO odbierani są obecnie jako zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski. I może to nie być tylko czasowe, lecz będzie pamiętane jeszcze długo po zakończeniu kryzysu na polsko-białoruskiej granicy.

Na początku był więc plan przejęcia władzy z wykorzystaniem różnych zagrożeń i sytuacji kryzysowych, w finale zaś (ewentualnie półfinale) autodemaskacja. Opinia publiczna (przynajmniej ta trzeźwo patrząca na rzeczywistość) przekonała się, że chodziło o bezwzględne wykorzystanie kłopotów Polski, a nawet współdziałanie w ich eskalacji (szczególnie w instytucjach Unii Europejskiej). A wszystko po to, żeby zdobyć władzę. I także ta gotowość do współdziałania (a przynajmniej wykorzystywania ich działań) z wrogami Polski będzie Donaldowi Tuskowi i Platformie zapamiętana na długo. Właśnie dlatego, że wszystko to działo się w okresie szczególnego zagrożenia bezpieczeństwa państwa, a nawet jego suwerenności.

Nie jest zatem przypadkiem, że wcześniej bardzo aktywny Donald Tusk praktycznie zniknął po 11 listopada 2021 r. Po prostu zrozumiał, że uczestniczy w grze, która jest dla niego zabójcza, bo to czas próby i lojalności wobec państwa, a nie kombinowania, jak wykorzystać jego trudne położenie.

Z perspektywy czasu samobójcze okazały się zapewnienia i przechwałki Donalda Tuska, że już właściwie załatwił odblokowanie polskiego Krajowego Planu Odbudowy oraz nieblokowanie środków z funduszu odbudowy. Okazało się, że Tusk albo już nie ma tego typu wpływów, albo nigdy ich nie miał. Rzucając słowa na wiatr, tylko udowodnił, że nikt poważny się z nim nie liczy. A w polityce krajowej właściwie zaczął kompromitować PO jako alternatywę dla PiS. Przy okazji zapewnień Tuska o tym, że odblokuje środki dla Polski, opinia publiczna przypomniała sobie, że to PO najmocniej sprzeciwiała się przyjęciu Krajowego Planu Odbudowy oraz wstrzymała się od głosu przy ratyfikacji funduszu odbudowy UE. Gdy dodać do tego antyrządowe działania i słowa przedstawicieli PO w Parlamencie Europejskim oraz negatywne nastawienie do Polski Europejskiej Partii Ludowej, której Tusk przewodniczy, wszystko to układa się w ciąg przyczynowo-skutkowy, w którym Tusk i Platforma szkodzą Polsce, nawet gdy przedstawiają to jako naprowadzanie Polski pod rządami Prawa i Sprawiedliwości na demokratyczne tory. Gdyby to się działo w czasie, kiedy nie ma zewnętrznego zagrożenia, może przeszłoby bez echa i konsekwencji. Ale dzieje się w stanie zagrożenia, więc przez dużą część opinii publicznej jest postrzegane jako sprzyjanie wrogom Polski, a przynajmniej cyniczne wykorzystywanie takich wrogich działań. Donald Tusk i inni liderzy Platformy chyba wciąż nie zdają sobie sprawy, jak ryzykowną grę podjęli i że może być ona dla nich bardzo kosztowna, nie tylko politycznie.

> Wszystkie decyzje Donalda Tuska i jego partii wzmacniają poczucie zagrożenia w całym kraju i pokazują Platformę jako partię egoistyczną, dla której liczy się tylko własny interes polityczny, a nie bezpieczeństwo Polaków

UJEMNY EFEKT TUSKA

Powrót Donalda Tuska do polskiej polityki pomógł się wzmocnić PO w sondażach, szczególnie odrobić straty poniesione na rzecz Polski 2050 Szymona Hołowni. Ale też wzmocnił w Platformie wszystkie te siły i tendencje, które można uznawać nie tylko za antyrządowe, lecz i antypaństwowe. Choćby dlatego, że Tusk zaprezentował jeszcze bardziej totalną wersję opozycji, niż była ona za czasów Grzegorza Schetyny i Borysa Budki. Wielu Tusk ośmielił do działań antyrządowych i antypaństwowych, łudząc, że skoro to wszystko jest skoordynowane z „zagranicą", to ma szybko przynieść efekt. I skoro ma szerszy wymiar, to nie będzie kompromitujące ani nie będzie budzić podejrzeń o niskie pobudki, nawet takie jak wykorzystywanie zewnętrznych zagrożeń. Dlatego działacze i sympatycy PO się upewniali, że im bardziej Platforma będzie „jechać po bandzie", tym szybciej odzyska władzę. Ale sposób postrzegania działań Platformy i jej lidera zmienił faktyczny atak na Polskę i brak odwagi, żeby stanąć po stronie rządu. Tego błędu nie popełnili polscy politycy i partie opozycyjne w 1920 r. (jak zawsze z wyjątkiem komunistów).

W efekcie wizerunek Platformy jako partii antypaństwowej, skłonnej do rozumienia i popierania interesów obcych państw się utrwalił, co paradoksalnie jest największym „osiągnięciem" Donalda Tuska. PO więcej traci w związku z tym, niż traciła pod wodzą niedecyzyjnego i słabego Borysa Budki oraz mocnego „w gębie" Grzegorza Schetyny. W czasie zagrożenia, czyli w czasie próby, totalna opozycyjność i postawienie na zagranicę (ulica jednak zawiodła) okazały się samobójcze. I gdyby Tusk miał te wszystkie przymioty i kwalifikacje, o jakich mówią jego apologeci, powinien to przewidzieć. Najwyraźniej nie potrafił. Można więc mówić o ujemnym efekcie Tuska. Zapewne dlatego jedyną reakcją, na jaką się zdobył po 11 listopada 2021 r. (przynajmniej do czasu powstania tego tekstu), było zaszycie się w mysiej dziurze. Może to i lepiej, bo obiektywnie to mniej szkodliwe niż wcześniejsza aktywność.

Autopromocja

eprasa.pl 693012e7cd

Zielone forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do obejrzenia na żywo transmisji z **Zielonego Forum wGopodarce.pl**, specjalnej edycji Forum poświęconej tematyce sprawiedliwej transformacji energetycznej dla dobra gospodarki.

Oglądaj na żywo 22-23 listopada godz. 11:00 na profilu FB wGospodarce.pl

PARTNER STRATEGICZNY:

ORLEN

PARTNERZY:

Energa GRUPA ORLEN

KGHM POLSKA MIEDŹ

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

LOTOS

Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie

PGNiG

PFR Polski Fundusz Rozwoju

PZU

TAURON

GAZETA BANKOWA

SIECI

wPolityce.pl

W POLSCE PL

wGospodarce.pl

eprasa.pl 693012e7cd

Strażnicy myślozbrodni ze społecznościówek

Trwa walka o ucywilizowanie i uregulowanie platform. Jest szansa, że to się uda. A jeżeli się uda, to zasady gry znów się wyrównają lub zbliżą się do wyrównania, bo jakiś przechył lewicowy zawsze będzie. To jest w istocie walka o wolność. O prawdziwą wolność, tak by Wielki Brat nie był w stanie wpływać na nasze decyzje i nie wskazywał jednego, „właściwego" sposobu myślenia

Z dr. Patrykiem Jakim, europosłem Solidarnej Polski, byłym wiceministrem sprawiedliwości, wykładowcą akademickim, rozmawia Dorota Łosiewicz

Czy Zjednoczona Prawica może powtórzyć sukces w internecie z 2015 r.?

Patryk Jaki: Nie jest to wykluczone, ale musiałyby zostać spełnione dwa warunki. Po pierwsze, trzeba całkiem zmienić strategię w sieci. W tej chwili przegrywamy w internecie m.in. dlatego, że brakuje mobilizacji i nie przestawiono maszyny na nowe trendy. Media społecznościowe zmieniły się przez ostatnich sześć lat znacząco i ewoluują cały czas. Inaczej dziś wygląda mapa wpływów mediów społecznościowych. Np. rośnie TikTok, a partii rządzącej prawie tam nie ma. Trzeba by więc całkiem od początku napisać strategię obecności w internecie, a następnie konsekwentnie ją realizować, zmieniając swój sposób działania. Po drugie, należałoby prawnie uregulować działalność platform. Bez spełnienia drugiego warunku, nawet przy wypełnieniu pierwszego, nic się nie uda.

Co ma pan na myśli? Już słyszę krzyk, że PiS chce ludziom zabrać Facebooka...

Jak powiedziałem, dziś media społecznościowe są zupełnie inne niż sześć lat temu. Obecnie mają totalną kontrolę nad osobami, które korzystają z tych platform. W Polsce dotyczy to ponad 30 mln osób. Niemal każdy korzysta w jakiejś formie z mediów społecznościowych. Facebook i inne platformy stworzyły liczne algorytmy, które dokładnie profilują każdego użytkownika. To system 220 kliknięć. Po tylu kliknięciach Facebook automatycznie tworzy profil danej osoby: kim jest, co lubi, czego nie lubi, co jej podpowiadać, a czego jej nie podpowiadać. Dość szeroki obraz tego, jak to działa, dają zeznania byłej menedżer Facebooka Frances Haugen przed komisją ds. handlu Senatu USA.

To było mocne oskarżenie. Pytanie tylko, czy prawdziwe, czy to rodzaj gry, zasłony dymnej?

Mocne i sądzę, że wiarygodne. Haugen, która w Facebooku pełniła funkcję product managera i zajmowała się m.in. walką z dezinformacją, odeszła z serwisu na początku roku. Przedtem jednak skopiowała firmowe dokumenty, które prasa za oceanem nazwała już „Facebook Files". Dowiedzieliśmy się od niej, że Facebook przedkłada zyski nad dobro ludzi. Że celowo podsuwa użytkownikom treści, które mają w nich wzbudzić skrajne emocje, najlepiej negatywne – złość, strach czy irytację. Takie treści najbardziej angażują i przyciągają do serwisu. A im dłużej użytkownicy są do niego zalogowani, tym więcej Facebook zarabia na wyświetlanych im reklamach. Według Haugen Facebook zdał sobie sprawę, że jeśli zmieni algorytm na bezpieczniejszy, to ludzie spędzą mniej czasu w witrynie, będą mniej klikać w reklamy, a to oznacza mniej pieniędzy. Wiemy, jak to się odbija na młodych ludziach. Płacą za to frustracją, depresją, a to wiąże się w wielu państwach z ogromnymi środkami na leczenie. My więc możemy robić, co chcemy, a platforma i tak ma siłę, by skroić sobie wyborców pod konkretny profil.

eprasa.pl 693012e7cd

A tu chodzi o aksjologię, myślenie o rodzinie, państwie. Platformy mogą algorytmami modyfikować myślenie odbiorców. Niejeden powie teraz: „Ja się nie dam zmanipulować, na mnie to nie działa". To proszę sobie prześledzić historię firmy Cambridge Analytica. Okazało się, że poprzez aplikację My Digital Life (którą na Facebooka ściągnęło 270 tys. osób) brytyjska firma zyskała dostęp do danych użytkowników.

Dlaczego to takie ważne?

Kupiona przez firmę Cambridge Analytica aplikacja zapewniła dostęp do danych nie tylko ludzi, którzy ją ściągnęli, lecz także wszystkich ich znajomych. I to mimo tego, że nikt nie wyraził na to zgody. Jednym słowem – CA uzyskała dostęp do danych niemal całej facebookowej populacji – i to za pomocą zwykłej aplikacji! Na podstawie tych danych udało się tak wytworzyć algorytm profilowania wyborcy, by wygrywała konkretna oferta polityczna. W ten sposób osobom wahającym się były podsuwane takie treści, które naprowadzały, jak się potem okazało skutecznie, na konkretną decyzję polityczną. Mamy więc do czynienia z grupą firm, które mają większą władzę niż jakakolwiek firma kiedykolwiek. Gdyby ktoś miał wątpliwości co do ich możliwości, to proszę zauważyć, że te firmy blokują do tej pory konta Donalda Trumpa, a zaczęły je blokować, gdy jeszcze był urzędującym prezydentem USA. Skoro więc czują się tak silne, że mogą zrobić, co im się podoba z prezydentem Stanów Zjednoczonych, to cóż dopiero mówić o zwykłym Kowalskim, który wobec tych firm jest całkiem bezradny. Jesteśmy w takim punkcie, w którym państwa powinny uznać Facebooka i te duże platformy społecznościowe, mające powyżej 40 mln użytkowników, za infrastrukturę krytyczną. Informacja jest bowiem zaliczana do przestrzeni infrastruktury krytycznej, czyli strategicznej i ważnej dla ludzkości. Bez wglądu z zewnątrz nie da się zrównoważyć tego negatywnego procesu, o którym mówiłem.

Wróćmy więc do tego, jak na drodze prawnej ograniczyć wszechmoc platform?

Trzeba odwagi, siły, sprytu, determinacji. Przedstawiliśmy w Polsce taki projekt. On wzbudził zainteresowanie i entuzjazm w różnych częściach światach, gdzie jest podobny problem z cenzurą, profilowaniem pod konkretną liberalno-lewicową wizję świata, promowaniem negatywnych treści. Jednak Facebook, Twitter i TikTok razem wzięte to potęga. Potrzeba więc odwagi, by takie przepisy uchwalić. Do podobnych refleksji doszli politycy w całej UE. Uznano, że tak być nie może i trzeba coś z tym zrobić. Pracujemy w Parlamencie Europejskim nad dwoma rozporządzeniami: DSA i DNA. Oba mają regulować funkcjonowanie największych platform, określać, kto będzie uznany za taką platformę. Tu będzie prawdopodobnie obowiązywało kryterium 40 mln użytkowników właśnie. Ponadto toczy się bitwa o dostęp do algorytmów, żeby można je było objąć kontrolą prawną. Walczymy o dostęp do silników. Chodzi o to, by platformy nie narzucały użytkownikowi konkretnej wizji świata lub żeby nie profilowano

Fot. Andrzej Wiktor

jej w określony sposób. Domagam się krajowej jurysdykcji w zakresie procesu odwołań od decyzji cenzorskich lub takich, z którymi się nie zgadzamy. Przypominam historię z blokowaniem zagranicznego konta IPN, które pokazywało bohaterską historię Polaków, a zostało zakwalifikowane jako promowanie nazizmu. Walczymy o to, by takie sytuacje się nie zdarzały i podlegały krajowym przepisom. Dziś nie ma transparentnej możliwości odwołania się od decyzji Facebooka w Polsce. Trzeba zmusić Facebooka, by miał swoich przedstawicieli w każdym kraju UE, tak by można było się do nich zwracać z konkretnymi wnioskami, reklamacjami itp. Dziś mamy taką sytuację, że konto zostaje zablokowane i nie wiadomo, do kogo się zwrócić. Działa jakiś automat, ale kryteria podejmowania decyzji są niejasne.

Chodzi więc o uszczuplenie wszechwładzy platform?

Działa tu niestety stara zasada, że władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie. Facebook i inni giganci czują, że mają władzę absolutną i mogą dowolnie manipulować ludźmi. Większą niż każdy polityk z osobna. I te firmy bezwzględnie z tego korzystają. Ich władza nie ogranicza się wyłącznie do zysku. Chodzi o wpływanie na poglądy i kształtowanie społeczeństw. Stąd mówię o odwadze rządzących, by wpływać na te firmy ustanowionym prawem i traktować jak infrastrukturę krytyczną, ale również groźny rodzaj monopolu.

Władza absolutna służy konkretnym interesom politycznym czy w grę wchodzi wyłącznie widzimisię właściciela Facebooka?

Właściciel Facebooka ma swoją wizję świata i angażuje się we wpływanie na decyzje polityczne. Im mniej aktywności państw, tym bardziej te narzędzia są wykorzystywane. Mnie na przykład zablokowano konto na TikToku, ponieważ umieściłem tam fragment wywiadu, w którym powiedziałem, że są tylko dwie płcie biologiczne, a nie 256. Uznano to za mowę nienawiści, choć ten fakt opisany jest we wszystkich podręcznikach do biologii. Mówiłem więc o naukowym fakcie, a uznano mnie za człowieka, który szerzy mowę nienawiści. Jeśli nie będziemy na takie sytuacje reagować, zgodzimy się na to, to kłania się „Rok 1984" George'a Orwella, a platformy będą same stały na straży myślozbrodni. Analitycy zwracają jednak uwagę, że państwa działają wobec tego typu platform ex post zamiast ex ante, czyli reagują na sytuację zamiast wyprzedzać fakty. Często, zanim państwo zareaguje, Facebook już zmienia algorytm lub strategię. Potrzebna jest mądrość i odwaga, by działać ex ante. By to robić, trzeba mieć świadomość, na czym polega demokracja i kto jest suwerenem oraz do kogo powinien należeć głos. Jeśli liderzy polityczni mają to przekonanie, powinni uregulować działanie platform.

> Facebook i inni giganci czują, że mają władzę absolutną i mogą dowolnie manipulować ludźmi. Większą niż każdy polityk z osobna. I te firmy bezwzględnie z tego korzystają. Ich władza nie ogranicza się wyłącznie do zysku. Chodzi o wpływanie na poglądy i kształtowanie społeczeństw

Myśli pan, że Facebook panuje nad algorytmami czy jednak wymyka mu się to spod kontroli?

Panuje w stu procentach. To wynika z przesłuchań byłych pracowników Facebooka. Mamy dwa kryteria: ideologiczno-polityczne i zysk. A że największe emocje budzą treści negatywne, to tak się ludzi ustawia. I nikt nie bierze żadnej odpowiedzialności za społeczne skutki.

Czyli możliwe jest wyeliminowanie jednej strony dyskursu?

Możliwe i tak to wygląda w praktyce. Możemy mieć treści skrajne i po stronie lewicowej, i prawicowej. Można jednak jedne treści tolerować, a drugie blokować i wtedy zysk oraz efekt polityczny udaje się osiągnąć. Przed zeznaniami pani Haugen każdy wiedział, że te algorytmy istnieją, ale nikt dokładnie nie wiedział, jak to działa. Jej opis jest dokładny i szczegółowy, tak że nie pozostawia wątpliwości co do intencji.

Jak więc docierać do młodych, jak z nimi rozmawiać, skoro oni głównie korzystają z tych platform i podlegają manipulacji, o której pan mówi? A może bitwa o młodych już jest przegrana?

Nie jest przegrana. Trwa walka o ucywilizowanie i uregulowanie platform. Jest szansa, że to się uda. I w Parlamencie Europejskim, i – jak liczę – w polskim Sejmie wystarczy odwagi. Wiele państw podjęło własne regulacje, rozumiejąc swój obowiązek. Jeżeli to się uda, to zasady gry znów się wyrównają lub zbliżą się do wyrównania, bo jakiś przechył lewicowy zawsze będzie. Jeśli te zasady się wyrównają, to potrzebne będzie przemyślenie i ułożenie nowej strategii w mediach społecznościowych. Potrzeba dużej mobilizacji, organizacji, by móc walczyć w internecie i pokazywać, że nowy wspaniały świat jednak ma alternatywę. To jest w istocie walka o wolność. O prawdziwą wolność, tak by Wielki Brat nie był w stanie wpływać na nasze decyzje i nie wskazywał jednego, „właściwego" sposobu myślenia. Jeśli zgodzimy się na jego działanie, sprzeniewierzymy się najważniejszej wartości, której powinniśmy bronić, czyli pełnej wolności. Chciałbym, by politycy Zjednoczonej Prawicy przywiązywali szczególną uwagę do tej wartości, bo ona może uciekać za zasłoną algorytmów. A politycy mają szczególną odpowiedzialność, by bronić rodziny, dzieci przed zakusami takiego ideologicznego potwora relatywizmu i indyferentyzmu moralnego.

eprasa.pl 693012e7cd

Pułk bez winy

Po dekadzie umorzono „okołosmoleńskie" śledztwo przeciwko dowódcom z 36. specpułku. To słuszna decyzja, która jeszcze wyraźniej pokazuje, że bezkarni pozostaną rzeczywiści decydenci odpowiadający za dramatyczną sytuację w tej jednostce wożącej najważniejsze osoby w państwie

MAREK PYZA

W sierpniu 2011 r. wojskowa prokuratura postawiła dwóm oficerom zarzuty niedopełnienia obowiązków – niezgodnego z przepisami wyznaczenia i przygotowania do lotu 10 kwietnia 2010 r. załogi Tu-154M. Była to konsekwencja opublikowania kilka tygodni wcześniej raportu końcowego rządowej komisji pod przewodnictwem Jerzego Millera, która winy w doprowadzeniu do katastrofy szukała przede wszystkim po stronie polskiej. Z dzisiejszej perspektywy wiemy doskonale, jak wiele kłamstw, przemilczeń i błędów zawierał ten dokument. Wiemy też, że zarzuty sformułowane przez prokuratorów w mundurach wobec lotników po dekadzie okazały się tylko próbą osłonięcia polityków, którzy ignorowali kwestie bezpieczeństwa lotów polskich VIP-ów.

KULĄ W PŁOT

Departament ds. Wojskowych Prokuratury Krajowej umorzył postępowanie 29 września. Tym samym oczyścił byłego dowódcę pułku płk. Ryszarda Raczyńskiego i byłego dowódcę eskadry lotniczej w jednostce ppłk. Bartosza Stroińskiego. To Stroiński był dowódcą załogi, w której na prawym fotelu siedział kpt. Protasiuk, gdy ten sam tupolew trzy dni przed tragiczną sobotą wiózł do Smoleńska delegację z premierem Tuskiem na czele. To również on uczestniczył w Moskwie w rozpoznawaniu głosów na nagraniu z czarnej skrzynki Tu-154M.

Zarzuty dotyczyły wyznaczenia załogi na feralny lot, w której mieli się znaleźć piloci bez aktualnych uprawnień i wymaganych przepisami szkoleń, jeden z nich miał zaś nie odpoczywać przed lotem z prezydentem wystarczająco długo.

Gdy 10 lat temu wojskowa prokuratura obarczyła winą pułkowników, na łamach „Naszego Dziennika" tak komentował to jeden z byłych pilotów pułku: „To jest tylko rzucenie w eter informacji, bo jeżeli nie ma konkretów, co można powiedzieć więcej. Może być tak jak z mjr. Markiem Miłoszem (pilotem oskarżonym po katastrofie śmigłowca Mi-8), czyli osiem lat w zawieszeniu. Będą ciągani na prawo, na lewo, a potem okaże się, że są niewinni".

Fot. Łaski Diffusion/East News

eprasa.pl 693012e7cd

Lotnik miał rację. Tyle że wojskowi dowódcy musieli czekać aż dekadę, nim podejrzenie zostanie z nich zdjęte.

Ostatecznie wszystkie zarzuty wobec nich rozsypały się w pył. Nie okazało się prawdą, że podejrzani wysłali załogę na misję w złych warunkach atmosferycznych, bo przed lotem nie było prognoz wskazujących na gwałtowne pogorszenie się pogody.

Wbrew twierdzeniom wojskowych prokuratorów trzech z czterech członków załogi miało wszelkie uprawnienia do pilotowania tupolewa, ewentualne nieprawidłowości występowały zaś tylko „na papierze", a dokładnie w osobistych dziennikach lotników, które prowadził każdy pilot z pułku. Przed laty sporo słyszeliśmy o „fałszowaniu dzienniczków". Z uzasadnienia umorzenia postępowania dowiadujemy się natomiast o tym, że nie istniały przepisy, jak te dzienniczki należy prowadzić! Niewpisanie do nich np. informacji o odbyciu lotu treningowego w warunkach ograniczonej widoczności wcale zaś nie oznaczało, że takie zdarzenie nie miało miejsca. Wielu świadków pracujących w specpułku zgodnie zeznało, że wielokrotnie odbywały się loty szkoleniowe, po których zdarzało się nieprecyzyjne uzupełnianie tabelek w dokumentach. Nagminne było również wpisywanie jako lotów szkoleniowych tych wykonywanych w ramach zapotrzebowania „z góry" (z wyjątkiem lotów VIP), o czym szerzej za chwilę.

Czy tak powinno być w elitarnym pułku? Nie. Ale też nie można powiedzieć, że ktokolwiek złamał tu prawo. Co więcej, wszystkie niedostatki występujące w jednostce wydają się mieć wspólny mianownik – to zaniedbania nadzorujących wojsko: cięcie kosztów i ignorowanie przez rząd, a zwłaszcza szefostwo resortu obrony, alarmów podnoszonych przez dowódców.

OSZCZĘDZANIE NA PALIWIE

Śledczy przesłuchali kilkudziesięciu świadków. Ich relacje odsłaniają nieprawdopodobne wręcz igranie z bezpieczeństwem najważniejszych osób w państwie przez rządowych zwierzchników armii.

Fragment uzasadnienia umorzenia śledztwa o zeznaniach jednego z wojskowych: „Pułk posiadał tylko jeden etat nawigatora latającego o stopniu »chorąży« – młodszy nawigator, a powinien ich posiadać minimum 4, to jest po dwóch na każdy samolot, co wynikało z norm obsady personelu latającego w lotnictwie transportowym. Podkreślił, że nigdzie w kraju nie było instytucji, która zajmowałaby się ich szkoleniem, zaś obowiązujące przepisy nie wskazywały dokładnie, jak szkolić nawigatorów. Nie było możliwości szkolenia ich za granicą, gdyż nie było na to pieniędzy".

Kolejny żołnierz zeznał, że „pomimo składania wniosków nie było pieniędzy na szkolenia symulatorowe za granicą. Podał również, że zdarzały się przypadki, iż paliwo przeznaczone na szkolenie lotnicze było w rzeczywistości wykorzystywane do lotów dyspozycyjnych".

Większość przesłuchiwanych skarżyła się, że w pułku wykonywano zbyt dużo lotów dyspozycyjnych (na zamówienie polityków), by móc odbywać wszystkie szkolenia. Co więcej, wielokrotnie nie dotrzymywano wymaganego terminu zamówień – z trzydniowym wyprzedzeniem. Szczególnie istotne w tym zakresie wydają się zeznania urzędników z KPRM, którzy potwierdzili, że „z przyczyn od nich niezależnych zdarzały się sytuacje, że zamówienia na loty składane były na kilka godzin przed planowanym wylotem. Dotyczyło to zwłaszcza weekendowych wylotów Prezesa Rady Ministrów do jego miejsca zamieszkania w Gdańsku. Zgodnie z Instrukcją HEAD były wówczas zabezpieczane dwa samoloty, podstawowy i zapasowy, a zabezpieczenie obejmowało okres od piątku do poniedziałku". Dezorganizowało to zaplanowane loty szkoleniowe i jeszcze bardziej ograniczało możliwości manewrów z obsadą załóg.

Osobną kwestią jest „zabieranie" z pułku przez Donalda Tuska (znanego orędownika taniego państwa) na każdy weekend dwóch samolotów i dwóch załóg, zważywszy, że nawet w czasie oficjalnej delegacji do Katynia w 70. rocznicę zbrodni NKWD prezydent zapasowego samolotu nie miał.

Gen. dyw. Anatol Czaban (od lipca 2010 r. szef szkolenia w Siłach Powietrznych) podkreślił przed obliczem prokuratora, że „duża liczba wykonywanych lotów dyspozycyjnych w 36 splt i mała dostępność samolotów uniemożliwiała wyszkolenie nowych załóg w 2009 r.". Oficer ten wyjawił również powód zaniechania w 2007 r. szkoleń pilotów na symulatorach Tu-154M: „wybranie najtańszego wykonawcy remontów tych samolotów, który nie posiadał na swoim wyposażeniu symulatora".

Co ciekawe, o tych wszystkich kłopotach w pułku – kadrowych, finansowych, szkoleniowych – rzekomo nie miał zielonego pojęcia gen. Lech Majewski, w latach 2007–2010 asystent szefa Sztabu Generalnego WP ds. Sił Powietrznych, a po katastrofie szef Sił Powietrznych. Zeznając przed prokuratorem, nie wiedział nawet, dlaczego przestano szkolić pilotów na symulatorach, choć był najwyższym rangą wojskowym nadzorującym wówczas SP.

Kolejni dwaj generałowie – Henryk Dziewiątka i Marek Tomaszycki wskazali, że za niskie limity paliwowe przeznaczone na szkolenie w Siłach Powietrznych w 2009 r. wynikały z obcięcia budżetu MON o 5 mld zł. „[...] wprowadzone ograniczenia nie dawały możliwości wykonania chociażby minimalnego nalotu pilotom. Problem ten miał być wielokrotnie omawiany na różnych odprawach [...] Kwestię tę miał osobiście podnosić m.in. gen. Andrzej Błasik, wskazując na następującą degradację w procesach szkoleniowych i wyszkolenia pilotów. O fakcie tym był informowany również Minister Obrony Narodowej" – odnotował prokurator.

Pułk funkcjonował więc w skrajnie trudnych warunkach i ledwo wywiązywał się ze swoich zadań. Ale robił to. Czy sytuacja w jednostce mogła mieć wpływ na zaistnienie katastrofy? Nic na to nie wskazuje, bo zarówno przed lotem, jak i w jego trakcie wojskowi dobrze wypełnili swoje obowiązki.

SPISKI W „POLITYCE"

Przed dwoma tygodniami o umorzeniu śledztwa wobec pułkowników Raczyńskiego i Stroińskiego kuriozalny tekst opublikowała „Polityka", która dowodziła m.in., że drugi z wymienionych to człowiek bliski PiS, bo... konsultował kwestie lotnicze przy powstawaniu filmu „Smoleńsk" Antoniego Krauzego.

„Pisowscy" mają być też – według tropiącej spisek „Polityki" – biegli, którzy wydali opinię w tym postępowaniu:

eprasa.pl 693012e7cd

płk Krzysztof Szymaniec i płk Mieczysław Gaudyn. Kariera tego pierwszego miała rzekomo „rozkwitnąć za rządów PiS", bo w 2019 r. został szefem bazy lotniczej w Powidzu. Tyle że oficer ten już od kilkunastu lat systematycznie awansował, właśnie w tej jednostce, pełniąc w czasie rządów PO kolejno funkcje: szefa szkolenia, zastępcy dowódcy eskadry, dowódcy eskadry i dowódcy grupy. Drugi zaś dowódcą bazy w Powidzu został w... 2014 r., gdy rządziła zupełnie inna partia niż PiS.

Postkomunistyczny tygodnik przekonuje swoich czytelników, że śledztwo „zmierzało do zakończenia i postawienia obu pułkowników przed sądem". Skąd taka ocena? Ze zbyt nabożnego podejścia do opinii biegłych powołanych przez prokuraturę wojskową – byłych pilotów Ryszarda Michałowskiego i Roberta Latkowskiego. Ten ostatni stał się szerzej znany po katastrofie dzięki licznym występom medialnym, gdy na głównego winowajcę tragedii próbował kreować gen. Błasika. Zaznaczmy jedynie, że ci „eksperci" uznali, iż doświadczenie kpt. Protasiuka jako dowódcy tupolewa było „niewielkie", choć w rzeczywistości był to najbardziej doświadczony pilot tej maszyny w całym pułku, w sposób „imponujący" (jak zeznali jego przełożeni) znający tę maszynę.

O opiniach Latkowskiego i Michałowskiego (ten ostatni kolejną stworzył samodzielnie) śledczy napisali w uzasadnieniu umorzenia: „zawierała niedopuszczalne przy opiniowaniu sformułowania wskazujące na popełnienie przestępstw, takich jak fałszowanie dokumentacji czy też prowadzenia egzaminów, co jednak nie znalazło procesowego odzwierciedlenia w zgromadzonych dowodach", i dalej: „biegły nie uwzględnił treści zeznań świadków, polegał jedynie na dowodach z dokumentów, przez co nie sposób uznać jego opinii jako kompletnej i pełnej". Biegli ci zarzucali m.in., że kpt. Protasiuk nie wykonywał systematycznych lotów treningowych z imitacją jednego niepracującego silnika, podczas gdy od września 2009 r. takie loty były w Siłach Powietrznych zabronione jako niebezpieczne.

„Polityka" odnotowuje co prawda ujawnione w śledztwie skandaliczne zaniedbania resortu obrony kierowanego przez Bogdana Klicha, lecz tłumaczy je niczym rzecznik rządu Tuska: przecież był to skutek kryzysu finansowego z 2008 r.

Gazeta nie zastanawia się, dlaczego przez ponad cztery lata wojskowa prokuratura nie złożyła w sądzie aktu oskarżenia przeciwko dowódcom z pułku (a nie zrobiła tego z prostej przyczyny – braku dowodów). Nie wspomina też o tym, że Dowództwo Sił Powietrznych meldowało przełożonym o trudnej sytuacji kadrowej, sprzętowej i szkoleniowej w jednostce. Nie znajdziemy w artykule również nic o lekceważeniu przez rząd PO-PSL zakupu nowych samolotów dla VIP-ów ani np. o groteskowym skierowaniu przez MON w 2009 r. na szkolenie do Szwajcarii na okres dwóch miesięcy (w trzech turach) grupy pilotów (spośród, przypomnijmy, nielicznej kadry), którzy na co dzień wykonywali loty na samolotach Jak-40 i Tu-154M celem ich przeszkolenia na samoloty Embraer, w które miał zostać wyposażony 36. pułk. Na szkolenie wydano 2 mln zł, a z dzierżawy samolotów zrezygnowano.

> Wszystkie niedostatki występujące w jednostce wydają się mieć wspólny mianownik – to zaniedbania nadzorujących wojsko: cięcia kosztów i ignorowanie przez rząd, a zwłaszcza szefostwo MON, alarmów podnoszonych przez dowódców

Dodajmy, że wszystkie nieprawidłowości polegające na niedopełnieniu obowiązków bądź przekroczeniu uprawnień przez urzędników rządowych w związku z katastrofą przedawniły się najpóźniej w 2015 r. Skoro więc prokuratura do tego czasu nie postawiła nikomu zarzutów, winowajcy już do końca życia mogą spać spokojnie.

TEMIDA NIEMAL BEZROBOTNA

Konsekwencje prawne, jakie wyciągnięto po tragedii smoleńskiej, są nader skromne. Skazano (w zawieszeniu) byłego wiceszefa BOR Pawła Bielawnego (de facto za drobne uchybienia w dokumentacji dotyczącej przygotowania wizyt), oszczędzając jego przełożonego Mariana Janickiego, który odpowiadał za rażące zaniedbania w Biurze Ochrony Rządu ujawnione po tragedii – m.in. zgodę na lot samolotu z prezydentem na lotnisko przygodne, niesprawdzenie przez funkcjonariuszy tego lotniska czy obniżenie stopnia zabezpieczenia wizyty prezydenta.

Prawomocny wyrok (10 miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata) usłyszał także Tomasz Arabski, szef kancelarii premiera Tuska, który jako koordynator lotów VIP nie dopełnił wielu obowiązków i m.in. pozwolił na wysłanie samolotów o statusie HEAD na nieczynne lotnisko, czym działał na szkodę państwa oraz interesu publicznego (w tym procesie skazana została także inna urzędniczka z KPRM). To rodziny ofiar w 2016 r. złożyły tzw. subsydiarny akt oskarżenia i postawiły Arabskiego przed sądem. Organy państwa, a dokładnie Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga do 2014 r. trzykrotnie umarzała postępowanie w sprawie urzędników cywilnych odpowiedzialnych za nieprawidłowości przed katastrofą.

Wciąż toczy się główne śledztwo dotyczące przyczyn katastrofy, prowadzone przez Prokuraturę Krajową. Rozpoczęte niejako od nowa w 2016 r. na szeroką międzynarodową skalę powoli zbliża się do końca. Jak informowaliśmy w październiku, na ukończeniu są już prace biegłych – zagranicznych ekspertów, wybitnych specjalistów w badaniu katastrof lotniczych, przygotowujących interdyscyplinarną opinię dla prokuratorów.

Trwają także inne postępowania „okołosmoleńskie", m.in. dotyczące tzw. zdrady dyplomatycznej czy nieprawidłowości w Agencji Wywiadu.

eprasa.pl 693012e7cd

Prezydenckie dywagacje i domysły

O tym, kto stanie do wyścigu o prezydenturę w 2025 r., przesądzą zdarzenia z jesieni roku 2023

JAN ROKITA

Andrzej Duda optymalnie wpisał się w ustrojowy model polskiej prezydentury. Ani nie próbował (przynajmniej jak dotąd) wyskoczyć z dość ciasnego konstytucyjnego garnituru, uszytego swego czasu dla polskiej głowy państwa, ani też nie siedział z założonym rękami pod pałacowym żyrandolem, kiedy kraj ogarniały najpoważniejsze polityczne kryzysy. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że w wolnej Polsce to pierwszy prezydent, który z taką roztropnością i powściągliwością rozumie sens urzędu głowy państwa i swoją na nim rolę. Dzięki temu Duda nie zwykł był sypać piasku w szprychy kolejnym premierom, co robili wszyscy jego poprzednicy, z reguły z opłakanymi skutkami dla kraju. Ale też gdy np. latem 2017 r. Polskę ogarnęła największa w nowych dziejach fala antyrządowych protestów, zręcznie zagrał podwójnym wetem, aby tym sposobem zyskać jakie takie uspokojenie nastrojów.

Na co dzień zaś robił (i robi cały czas) to, co jest przecież kwintesencją roli prezydenta w warunkach polskiego semikancleryzmu: jeździ po Polsce i wygłasza setki przemówień patrio-

67/1021/F

eprasa.pl 693012e7cd

tycznych, dobranych na każdy teren, do każdej publiczności i na każdą okazję. Niewykluczone, że w tych przemówieniach może się czasem już stawać monotonny, ale konia z rzędem temu, kto przez dziesięć lat (czyli dwie kadencje) potrafi średnio dwa razy w tygodniu palnąć kolejną oryginalną i ciekawą mowę patriotyczną. W końcu nawet w przypadku Peryklesa historia odnotowała tylko jedną wielką mowę na temat sensu demokracji ateńskiej i tylko dlatego może ona od dwu i pół tysiąca lat być punktem odniesienia dla tego gatunku polityczno-literackiego.

DECYDUJĄCA BĘDZIE JESIEŃ 2023

Druga kadencja prezydencka się tak naprawdę dopiero zaczęła, a przed Dudą jeszcze szmat czasu w Pałacu Namiestnikowskim. Całkiem niewykluczone, że w ciągu ostatniego roku urzędowania zdąży nawet jeszcze powtórnie gościć zaprzyjaźnionego prezydenta Trumpa, jeśli ów faktycznie wróci do Białego Domu za trzy lata.

Dziś trudno dywagować, jak będą wyglądać dwa ostatnie lata prezydentury Dudy. A może się to okazać czas politycznie wyjątkowo ciekawy, jeśliby jesienią 2023 r. władzę w kraju przejęła centrolewicowa koalicja skonstruowana przez Tuska. Obecny prezydent musiałby bowiem w takich okolicznościach całkiem na nowo zdefiniować sens swojego sprawowania urzędu, musząc zapewne odstąpić od obecnego „nieprzeszkadzającego" schematu działania i wchodząc w rolę ostatniego obrońcy politycznej spuścizny PiS. To, jak potrafiłby się odnaleźć w tej nowej dla siebie roli oraz na ile potrafiłby ocalić dotychczasowy, dość elegancki styl prezydentury, mogłoby się okazać decydujące dla dalszego biegu zdarzeń politycznych w Polsce, w tym również dla wyniku następnej elekcji prezydenckiej.

Jednak niezależnie od tego, co w Polsce zdarzy się jesienią 2023 r., to i tak te właśnie zdarzenia przesądzą o poważnych kandydaturach prezydenckich w roku 2025 i o samym klimacie politycznym w Polsce, tak istotnym zawsze dla wyborczego rozstrzygnięcia prezydenckiego.

SZANSE TUSKA I MORAWIECKIEGO

Jeśli PiS utrzyma władzę w roku 2023, to przynajmniej jedna kluczowa kandydatura prezydencka spadnie z porządku dziennego polskiej polityki. Idzie rzecz jasna o Donalda Tuska, który złożył wprawdzie solenne zapewnienia, iż więcej na urząd głowy państwa kandydować nie zamierza, ale w przypadku tego polityka każdy rozumie, że znaczy to tyle, iż to właśnie jest jego skrywany przed opinią cel i pomysł na samego siebie. Tak stanowczo Tusk zwykł zaprzeczać wyłącznie swym najprawdziwszym intencjom. Tak zresztą jak to czynił wtedy, gdy jako premier zaręczał, iż nie wybiera się do Brukseli, a cała Polska (wraz z Platformą Obywatelską i samym zainteresowanym) była święcie przekonana, iż toczy w Unii bój o jak najwyższą posadę dla Radka Sikorskiego. Wiadomo, że jedyną legitymacją Tuska w polskiej polityce po jego powrocie do kraju jest plan odsunięcia PiS od władzy najpóźniej w roku 2023. Jeśli ten plan okaże się fiaskiem, to Tusk nie ma czego dalej szukać w polskiej polityce. A już z pewnością nie byłby nawet w własnej partii uznany za legitymizowanego kandydata prezydenckiego.

Wybory parlamentarne przyniosą też odpowiedź na pytanie o innego poważnego kandydata do prezydentury – Morawieckiego. Ów znalazł się bowiem teraz w sytuacji niemal symetrycznej względem Tuska. Dziś jest już prawie oczywiste, iż to Morawiecki ma poprowadzić prawicę w wyborach 2023 r., więc też on poniesie polityczną odpowiedzialność za utrzymanie albo utratę władzy. Tylko jakaś nadzwyczajna katastrofa polityczna mogłaby go pozbawić tej istotnej, ale i trudnej roli.

Jeśli rządy znajdą się po wyborach w rękach centrolewu, to Morawiecki ani nie utrzyma pozycji partyjnego „księcia Walii", dającej mu prawo następstwa po Jarosławie Kaczyńskim, ani tym

Fot. Shutterstock

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach Kasy Stefczyka

SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl 693012e7cd

bardziej nigdy nie otrzyma nominacji prezydenckiej. Jego kandydatura może się okazać natomiast nie tylko realna, ale i całkiem silna, jeśli uda mu się ocalić rządy prawicy w wyborach parlamentarnych. Najprawdopodobniej stanąłby wówczas po raz trzeci na czele rządu, ale całkiem możliwe, iż tylko na krótko. Zapewne silny byłby bowiem w takich warunkach nacisk pisowskich baronów, aby Morawieckiego odsunąć od partii, otwierając na nowo wolną grę o partyjną schedę po Kaczyńskim. Kandydatura zwycięskiego premiera pozwalałaby nie tylko na osiągnięcie takiego skutku, ale zarazem broniłaby się znakomicie w oczach opinii publicznej i niższego aparatu partyjnego. Niewykluczone, że rola coraz wyraźniej starzejącego się Kaczyńskiego w tych personalnych układankach mogłaby się okazać nikła, a w każdym razie już wcale niedecydująca.

W PLANIE SĄ I PANIE

W pisowskiej rezerwie pozostają dwie damy, wokół rywalizacji których tabloidy wznieciły właśnie debatę o przyszłych kandydaturach prezydenckich: Beata Szydło i Elżbieta Witek. Niegdyś ze sobą sprzymierzone, a nawet działające w ścisłym tandemie w okresie premierostwa Szydło, dziś obie, chyba także pod wpływem mediów, widzą się już oczyma duszy przy biurku w Pałacu Namiestnikowskim. Personalne przyjaźnie są w polityce skrajnie nietrwałe, a już zwłaszcza pomiędzy rywalizującym polityczkami. Dziś rozsądnie jest domniemywać, iż gdyby nadal decyzja (jak zawsze dotąd) zależała wyłącznie od dyskrecjonalnej woli Kaczyńskiego, to jego wybór raczej powinien paść na obecną marszałek Sejmu.

Raz dlatego, że Kaczyński skrajnie kiedyś upokorzył Szydło, a żelazne prawo polityki powiada, iż jeśli kogoś upokorzyłeś, to nie wolno ci dać mu drugiej szansy, z pewnością bowiem weźmie odwet. Dwa – bo Witek wygląda na obecną pupilkę szefa partii, którą wynosi on przecież ostatnio na najwyższe stanowiska, i co więcej – publicznie okazuje zadowolenie z tych wyniesień. Jeśli PiS straci władzę w roku 2023, to bardzo możliwe, iż któraś z tych dam stanie w szranki w wyborach prezydenckich, raczej nie startując w nich w roli faworytki.

Jeżeli będzie to już czas słabnięcia i wycofywania się Kaczyńskiego, to większe szanse miałaby pewnie Szydło, co prawda politycznie poobijana, ale dysponująca ciągle pewną siłą w partii, ożywianą sentymentem za „skrzywdzoną i odsuniętą niesprawiedliwie panią premier". Witek, choć inteligentniejsza, podobnej siły jednak nie ma i nie widać powodu, dla którego miałaby ją w najbliższych latach zyskać. To, co obie damy może łączyć, to wysiłek zablokowania Morawieckiego. Obecny premier najpierw zastąpił przecież deus ex machina jedną z nich na stanowisku, po czym tydzień później drugą wyrzucił z rządu. A takich rzeczy w polityce się nie zapomina.

> Już dziś nie ma wątpliwości, że Trzaskowskiemu łatwiej będzie zostać głową państwa w 2025 r., aniżeli Tuskowi zjednoczyć centrolew i obalić Kaczyńskiego dwa lata wcześniej

TRZASKOWSKI W BLOKACH STARTOWYCH

Gdyby po wyborach 2023 r. Morawiecki nie musiał oddawać rządu Tuskowi, a ów na skutek klęski swojej strategii został wykasowany z polityki, to jedynym poważnym kandydatem centrolewu do prezydentury okaże się zapewne wewnętrzny wróg Tuska – czyli Rafał Trzaskowski. Wygląda zresztą na to, iż na taki scenariusz liczy po cichu nie tylko prezydent Warszawy, ale i jego platformerscy akolici, z Nitrasem na czele. Trudno dziś przypuszczać, aby po swej kolejnej klęsce centrolewicowa opozycja miała zdolność wysunięcia dwa lata później jakiegokolwiek innego poważnego kandydata. Dotychczasowi liderzy będą bowiem w takich okolicznościach w głębokiej defensywie (Hołownia, Kosiniak etc.), a być może nawet popadną wraz z Tuskiem w polityczny niebyt. Z kolei próba wylansowania jakiejkolwiek nowej kandydatury przez przegraną partię byłaby posunięciem politycznie nonsensownym. Trzaskowski jest inteligentny, a wydarzenia tego roku nauczyły go chyba cnoty politycznej cierpliwości. A przede wszystkim jest popularny w kraju, hipotetyczna zaś klęska Tuska i Platformy tej popularności mu nie odbierze.

Już zatem dziś nie ma wątpliwości, że Trzaskowskiemu łatwiej będzie zostać głową państwa w 2025 r., aniżeli Tuskowi zjednoczyć centrolew i obalić Kaczyńskiego dwa lata wcześniej. I o ile Tuskowi grunt zaczyna się palić pod nogami, o tyle Trzaskowski może na razie dość leniwie czekać, byle tylko nie posypały mu się kompletnie jakieś poważne sprawy w Warszawie. Kpiny z zadufania i samochwalstwa Tuska, jakie ostatnio robi sobie otwarcie w sieci Hołownia, są dla lidera PO znakiem prawdziwie złowróżbnym. A też PiS, po hipotetycznym zwycięstwie o włos w 2023 r., z Kaczyńskim odchodzącym do historii, a na dodatek zmuszony do rządów z narodowcami z Konfederacji – wcale nie będzie znów tak przesadnie silny. W 2025 r. Trzaskowski może zatem nawet wystąpić w roli faworyta w starciu z Morawieckim, Witek czy Szydło.

Cztery lata przed tymi wyborami nie sposób o rozsądne dywagacje i domysły, kto z owej trójki byłby w tym czasie najsilniejszym rywalem dla Trzaskowskiego. Ale taka niejasność będzie tym bardziej skłaniać całą trójkę do odpowiednio wczesnego pozycjonowania się wewnątrz własnego obozu. Prawdę mówiąc, ogłoszone właśnie przez tabloidy współzawodnictwo pomiędzy niegdysiejszymi przyjaciółkami Witek i Szydło już jest pierwszym wezwaniem do zajmowania pozycji w blokach startowych.

Autopromocja

eprasa.pl 693012e7cd

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ PAKIETU

SIECI

wSIECI HISTORII

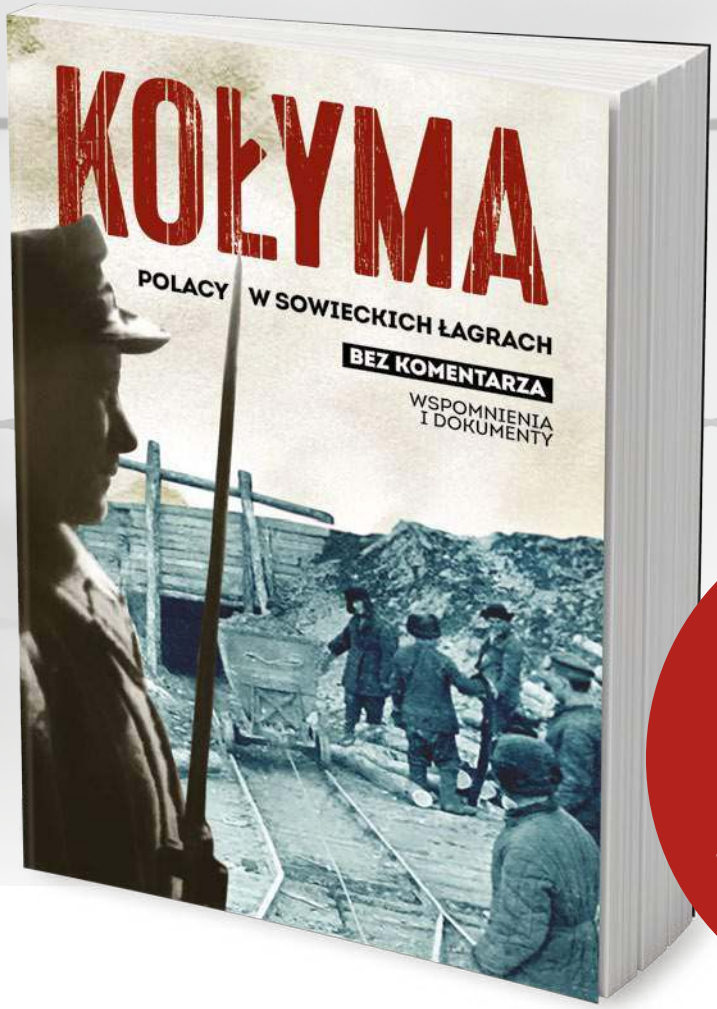

Książka zawiera relacje tych, którzy przeżyli piekło sowieckich łagrów na Dalekiej Północy. Ocaleni opowiadają o dramatach więźniów, którzy ginęli na skutek surowego klimatu i katorżniczej pracy na mrozie sięgającym -50 stopni. Śmiertelność w łagrach wynosiła nawet 80 proc.

30 książek w prezencie

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Fot. Shutterstock

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **„Kołyma. Polacy w sowieckich łagrach"**
otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 693012e7cd

Sieć powiązań kaliskiej prowokacji

Od pięciu lat organizował patostreaming – internetowe programy szokujące wulgarnością, wrzaskami, wielbiące Putina, głoszące nienawiść do Żydów i Ameryki. Wojciech Olszański spuentował swoją działalność zorganizowaniem wiecu, na którym spalono tekst statutu kaliskiego dającego przywileje średniowiecznym Żydom. Kim jest człowiek, który w czasie konfliktu z Łukaszenką podarował taki prezent rosyjskiej propagandzie?

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Według Thomasa B. Allena i Normana Polmara, historyków zajmujących się działaniem służb, prowokacja jest to „akcja mająca na celu skłonienie jednostki (instytucji, organizacji, służby wywiadowczej, państwa) do podjęcia określonych działań, zgubnych zazwyczaj w skutkach dla tej jednostki".

PROWOKACJA JAKO FINAŁ

Ludzie, którzy czasem mają dobre intencje, idą za prowokatorem i realizują scenariusz, który im ostatecznie zaszkodzi. Półtorej dekady temu w gruzińskiej Abchazji i Osetii Południowej działali prowokatorzy, którzy wzniecając nacjonalistyczne nastroje, dali pretekst rosyjskiej propagandzie do usprawiedliwienia wywołania wojny w 2008 r.

Wszystkie założenia prowokacji spełnia wiec zorganizowany 11 listopada w Kaliszu przez Wojciecha Olszańskiego i jego patostreamerów. Punktem kulminacyjnym spotkania było spalenie tekstu statutu kaliskiego, dokumentu, który w 1264 r. wydał miejscowym Żydom Bolesław Pobożny. Olszański krzyczał ze sceny o średniowiecznym przywileju: „My to unieważniamy, likwidujemy prawa żydowskie na tej ziemi! To jest wola wolnych Polaków! Nie będzie już nigdy Polak Żydowi niewolnikiem!".

Polskie władze, z prezydentem Andrzejem Dudą na czele, stanowczo potępiły incydent, a trzech organizatorów zostało zatrzymanych przez policję. Ale mleko się rozlało – w czasie gdy reżim Łukaszenki wyzywa Polaków od faszystów, prowokatorzy zorganizowali wydarzenie idealne do pokazywania w antypolskich środowiskach. Anglojęzyczny portal o Polsce Notes from Poland opisał wydarzenie jako okrzyki „Śmierć Żydom" na ulicach polskiego miasta, identycznie określiła to izraelska gazeta „The Times of Israel" oraz Jewish Telegraphic Agency. Wojciech Olszański, występujący pod szlacheckim, przybranym nazwiskiem Aleksander Jabłonowski, doczekał się więc spektaklu, który wyszedł poza filmiki agresywnych dziwolągów.

WERBUNEK

Edward Lucas, jeden z najważniejszych publicystów próbujących uświadomić światu zagrożenie ze strony Rosji, stwierdził, że tajne służby „przyciągają pewien rodzaj osób, często ze skazą lub z problemami, które służby kształtują stosownie do swoich potrzeb do tego stopnia, że oszustwo wzbudza w nich nie odrazę, lecz profesjonalną ciekawość i podziw. Olszański (ur. 1960) ukończył świetną Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie, ale w karierze aktorskiej zdecydowanie mu się nie wiodło. Zagrał kilka drugorzędnych ról w teatrach i trzeciorzędnych w polskich filmach, pojawia się np. na planie „Quo Vadis". Jego starsza dwa lata żona (zmarła w zeszłym roku) też nie miała szczęścia do wielkich filmów, można było ją zobaczyć w epizodycznych scenach polskich seriali. Oboje angażowali się w rekonstrukcje historyczne, co w przypadku aktorów dawało dodatkowy efekt, większy niż u pasjonatów historii, niemających teatralnych umiejętności. Olszański występował także w wydarzeniach patriotycznych, czytając poezję i odgrywając historyczne role. Po przejęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość dotychczasowy Wojciech Olszański odszedł w przeszłość. Narodził się „Jaszczur", jak sam siebie określił, nawiązując do konspiracyjnej organizacji Związek Jaszczurczy z czasów drugowojennej okupacji Polski. Życie rodziny Olszańskich zmieniło się zupełnie.

OSOBLIWA POPULARNOŚĆ

Olszańskiemu kilkukrotnie kasowano konta na YouTubie, ale i tak jego filmy oglądały setki tysięcy internautów. Współpracowali z nim w różnej formie Marcin Osadowski (dawny współpracownik Janusza Korwin-Mikkego), Marcin Rola (telewizja internetowa wRealu24) czy Rafał Mossakowski (Centrum Edukacyjne Powiśle). Zasłynął z groteskowych wypowiedzi, które przykuwały uwagę: potrafił życzyć wrogom śmierci,

eprasa.pl 693012e7cd

wyzywać od k...w Żydów czy homoseksualistów, mówić o bohaterstwie targowicy za sojusz z Rosją czy odwoływać się do Romana Dmowskiego. Kilka miesięcy temu okazało się, że te ekstremalne treści były nagrywane w domu syna... Janusza Korwin-Mikkego. „I tak nikt normalny tego nie słucha" – tłumaczył się Korwin. W lutym 2021 r. Tomasz Sommer przeprowadził z Olszańskim wywiad na temat polskiej historii, a jego zdjęcie dał na okładkę „Najwyższego Czasu".

Wraz ze wzrostem osobliwej popularności Olszańskiego wystrzeliła w stronę spektakularnych sukcesów kariera aktorska jego córki Michaliny. Rok po tym, jak ojciec założył stowarzyszenie Narodowy Front Polski i rozpoczął swoją prowokatorską działalność, Michalina dostała pierwszoplanową rolę w rosyjskim filmie historycznym. Olszańska zagrała w „Matyldzie" tytułową kochankę cara Mikołaja II, a fabuła wywołała, podsycany przez prawosławne duchowieństwo, skandal obyczajowy, w którego sprawie wypowiadali się nawet Władimir Putin czy Aleksiej Nawalny. Chwilę potem Olszańska dostała angaż w innym głośnym filmie rosyjskim – o obozie koncentracyjnym w Sobiborze, niewolnym od Putinowskiej propagandy. W jaki sposób córka kompletnie nieznanego aktora, zaraz po odpaleniu przez niego prowokatorskich programów, trafia na rosyjskie ekrany?

Fot. Paweł Dąbrowski/Super Express

KRYCIE

Dezinformacja i prowokacja potrafią iść od marginesu społecznego, ku górze, w stronę elit. Tak jak teorie spiskowe o AIDS czy koronawirusie pojawiały się najpierw w niszowych mediach, były potem wzmiankowane przez poważniejsze tytuły – nawet w formie krytyki i zaprzeczenia – aż trafiały do mainstreamowego dyskursu. Podobnie wrzeszczący o mordowaniu ludzi i „wielkim Stalinie" Olszański był najpierw youtube'owym dziwadłem, aż trafił pod skrzydła polityków Konfederacji. Poseł Grzegorz Braun poręczył za Olszańskiego nawet po prowokacji w Kaliszu, sąd jednak nie uznał tego poręczenia.

> Rok po tym, jak Olszański założył stowarzyszenie Narodowy Front Polski i rozpoczął swoją prowokatorską działalność, jego córka Michalina dostała pierwszoplanową rolę w rosyjskim filmie historycznym

Dodatkowym wzmocnieniem pozycji aktora jest – mniej lub bardziej jawne – grono sympatyków. Pewnie niewielu wierzy w historyczne bzdury w stylu nieustających spisków żydowskich od średniowiecza, ale wielu oglądało go jako nieszkodliwego wariata. W kostiumie wariata więcej uchodzi – zawsze można się wyłgać słowami Korwina, że „nikt normalny tego nie słucha". Jednak te absurdalne i skrajnie szkodliwe tezy trafiły na tytuły zagranicznych gazet. I to w jakim momencie?

AKTYWACJA

Powtórzmy długofalowy schemat prowokacji – człowiek, któremu nie idzie w życiu tak, jakby odpowiadało to jego aspiracjom, po przejęciu władzy przez rosyjskosceptyczne środowiska uruchamia program internetowy dla politycznych, radykalnych szaleńców. Wkrótce nawiązuje bliskie kontakty z politykami Konfederacji (kto wpuszcza takiego człowieka do domu i pozwala mu tam urządzić studio!), trafia na okładkę związanego z nimi tygodnika, a jego córka odnotowuje spektakularny skok w karierze. Gdy Putin i Łukaszenka rzucają na polską granicę imigrantów z Bliskiego Wschodu, a reżimowe media przedstawiają Polskę jako kraj faszystów, Wojciech Olszański jedzie w Narodowe Święto Niepodległości do Kalisza, by przy płomieniach palącej się kopii dokumentu krzyczeć „Śmierć Żydom!". Na koniec inny poseł wstawia się za nim w sądzie. Na koniec? Na pewno nie. Raz odpalona prowokacja odsłoniła część mechanizmów kompromitowania Polski i ośmieszania prawicy, pokazała sieć kontaktów polityków i mediów, ale na pewno się nie skończyła. Tu już nie ma miejsca na żarty czy łagodzenie oblicza sprawy. Agentura wpływu i prowokatorzy są wzmożeni jak nigdy dotąd.

eprasa.pl 693012e7cd

Nowy błogosławiony

Gdy Róża Trojan, rodzona siostra ks. Jana Machy, dowiedziała się, że we wrześniu 1941 r. został on aresztowany przez gestapo, zaczęła go intensywnie szukać. Ponieważ tej samej nocy Niemcy osadzili w Zastępczym Więzieniu Policyjnym w Mysłowicach kolegów jej brata, zaczęła przypuszczać, że spotkał go taki sam los.

Córka pani Róży Małgorzata Kozak opowiada dalszy ciąg zdarzeń: – Mama i dziadek (ojciec księdza) pojechali pod budynek tego więzienia. Przez dziurę po sęku w płocie zobaczyli więźniów wyprowadzonych akurat na spacerniak. Wśród nich dostrzegli Jana. Mama szybko wepchnęła w otwór swój charakterystyczny kolorowy szalik, który kiedyś otrzymała od brata w prezencie. Zaczęła wołać go po imieniu. Odwrócił się, zobaczył szalik. Zyskał pewność, że rodzina wie, co się z nim dzieje. Ks. Machę poddawano tam ciężkim torturom, bito, a później przewieziono go do więzienia w Mysłowicach, gdzie przetrzymywano go w głębokiej piwnicy, dzień i noc skutego kajdanami na rękach i nogach. Dalej torturowany, nie miał zezwolenia na odprawianie mszy św. Wtedy wyrzeźbił z drzazg i papieru różaniec.

W czerwcu 1942 r. stanął przed sądem w Katowicach. Na rozprawę przyjechali jego rodzice. Powiedział im po otrzymaniu wyroku: „kara śmierci". W akcie oskarżenia zapisano winę: „pomaganie polskim rodzinom", przez co „dopuścił się zdrady stanu". Hitlerowcy znaleźli zresztą przy nim listę osób, którym udzielał wsparcia. Posłużyła im jako główny dowód zbrodni.

KRYPTONIM „KONWALIA"

Jan Macha, rocznik 1914, urodził się, gdy Polska była jeszcze pod zaborami, dlatego na chrzcie zapisano jego imię w brzmieniu niemieckim: Johanes. Stąd w rodzinie nazywany był zdrobniale Hanikiem. Pochodził z Chorzowa Starego na Śląsku. Harcerz, miłośnik sportu, trenował piłkę ręczną, zdobył nawet dwa medale na mistrzostwach Polski. Grał na skrzypcach i fortepianie. Dorastał w domu patriotycznym, w którym rozmawiało się o Polsce, czytało się prasę polską, wspominało walki powstańców śląskich o niepodległość. Tymi sprawami żył. Ale najchętniej angażował się w pomoc innym, współdziałał ze swoją babcią, która należała do Akcji Katolickiej. Jako nastoletni wolontariusz organizował pomoc dla dzieci pierwszokomunijnych w parafii, jeździł z nimi na wycieczki. – To z rodziny Hanik wyniósł szacunek dla ludzi potrzebujących, starszych i chorych. Ojciec, który był autorytetem, wpajał mu od małego, jak ważne jest przykazanie miłości bliźniego – wspomina siostrzenica ks. Machy.

O takich jak on Marianna Popiełuszko mówiła: „Skoro poszedł na księdza, musiał wiedzieć, że może być męczennikiem". Wyniesiony właśnie na ołtarze ks. Jan Macha wiedział o tym aż nadto dobrze. Cztery godziny przed ścięciem na gilotynie napisał w liście do rodziców: „Umieram z czystym sumieniem, żyłem krótko, ale uważam, że cel swój osiągnąłem. Nie rozpaczajcie!". Miał 28 lat

MILENA KINDZIUK

Święcenia kapłańskie przyjął w czerwcu 1939 r. w katowickiej katedrze. Na obrazku prymicyjnym napisał: „Pan mój i Bóg mój". – To była dewiza jego życia. Wszystko, co czynił dla człowieka, czynił dla Chrystusa – przekonuje rodzina. Przed mszą prymicyjną powiedział do swej siostry: „Słuchaj Rózia, naturalną śmiercią to ja nie umrę!". W czasie samej mszy zaś dym z kadzidła owinął się wokół szyi prymicjanta i przybrał kolor czerwony. Rodzina odebrała to jako znak.

Gdy ks. Macha został wikariuszem w parafii św. Józefa w Rudzie Śląskiej i miał po raz pierwszy wygłosić kazanie po niemiecku, zemdlał zaraz potem, jak podszedł do mikrofonu. Było to wbrew niemu, nasiąknięty polskością nie mógł wewnętrznie zgodzić się na wprowadzony przez Niemców zakaz używania języka ojczystego – opowiada rodzina. W kościele śpiewał z ludźmi po polsku, dopiero gdy widział, że wchodzą Niemcy, przechodził na łacinę.

Podczas tradycyjnych wizyt kolędowych (przełom roku 1939/1940) nasłuchał się opowieści o tragicznych losach rodzin powstańców śląskich, którzy byli więzieni, skazywani na śmierć, a ich bliscy pozostawali często bez środków do życia. Zaczął tych ludzi wspierać. Najpierw sam – przekazywał im własne pieniądze na węgiel, na żywność. – A kiedy rozdał już wszystko, co miał, przyjeżdżał po pomoc materialną do rodziny, zbierał też datki wśród znajomych – opowiada Małgorzata Kozak. Do ks. Machy dołączyli później klerycy z zawieszonego przez Niemców seminarium, a później harcerze, uczniowie, dzięki czemu pomoc mogła być bardziej prężna, systematyczna. Oprócz dostarczania środków do życia organizowali

eprasa.pl 693012e7cd

razem m.in. kartki żywnościowe, których ludność polska od Niemców nie otrzymywała. Ks. Jan niósł też pomoc duchową, duszpasterską, spowiadał, błogosławił. Aktywność ta szybko przyjęła formę konspiracji i została włączona w struktury Polskiego Państwa Podziemnego. Ks. Macha stanął na czele inspektoratu rudzko-chorzowskiego Polskiej Organizacji Zbrojnej, która działała pod kryptonimem „Konwalia".

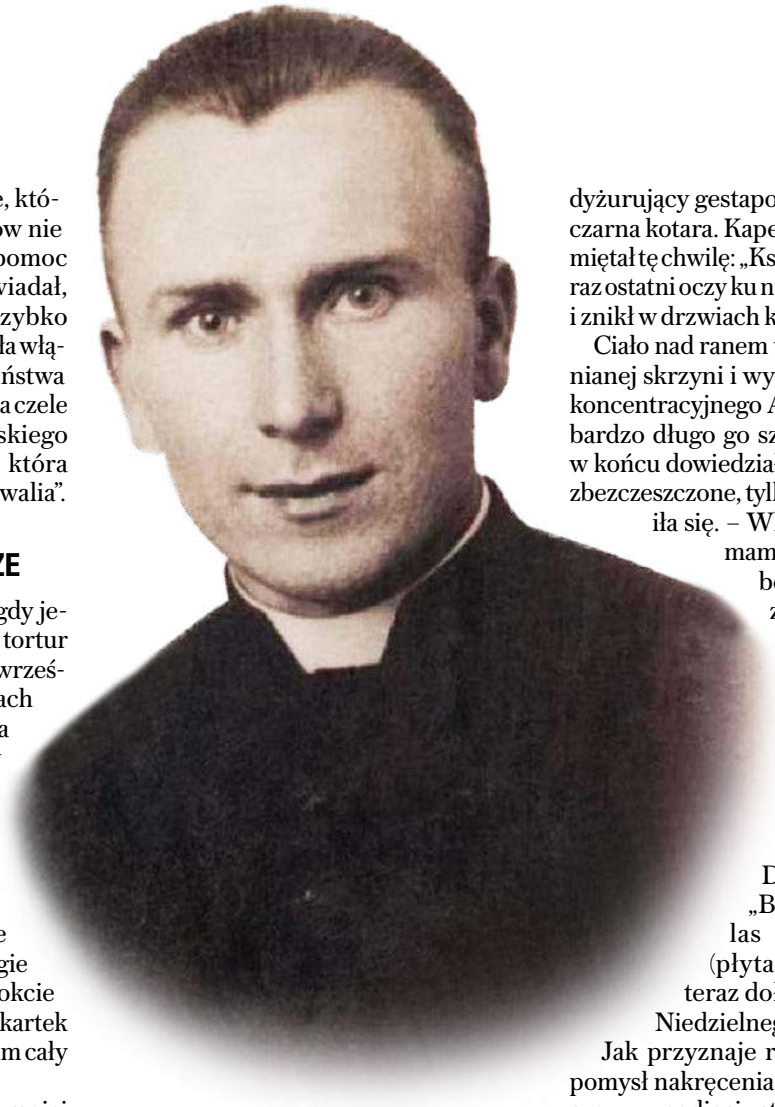

DO WIDZENIA TAM, W GÓRZE

Niemcy rozpracowali tę grupę, gdy jeden z jej członków pod wpływem tortur wyjawił nazwiska. To dlatego we wrześniu 1941 r. na dworcu w Katowicach gestapo aresztowało ks. Machę. Na wykonanie wyroku czekał cztery miesiące. Właśnie wtedy najmocniej objawiła się jego wiara. Gdy podczas ostatniego widzenia, pod koniec listopada 1941 r., siostra Róża zaproponowała mu, że następnym razem przyniesie nożyczki, by sobie obciął zbyt długie paznokcie, odparł: „Długie paznokcie są mi potrzebne do przewracania kartek brewiarza, gdy się modlę, ręce mam cały czas skute kajdanami".

– Hanik powiedział wtedy do mojej mamy: „Rózia, ja już nie wrócę!". I dodał: „Myśleli, że jak mnie zamkną, to oddzielą od Boga. A ja byłem tu bliżej Niego niż kiedykolwiek". – Dlatego do końca zachował spokój i modlił się za swych oprawców – twierdzi pani Małgorzata. Natomiast ks. prof. Damian Bednarski, postulator w procesie beatyfikacyjnym ks. Machy, przywołuje wypowiedź jednego z gestapowców, który widząc, że ks. Jan nie złorzeczy swoim oprawcom, stwierdził: „To jest albo święty, albo idiota!".

Wewnętrzna siła i heroizm wiary objawiały się też w listach, które kapłan pisał do rodziców: „Módlcie się, wierzcie i miejcie mocną nadzieję, a będzie znowu dobrze"; „Kochani Rodzice, ja się cieszę, że mogę każdą niedzielę przyjąć komunię św. Ta komunia św. jest moim pocieszeniem. To jest moja siła i nadzieja". Ostatni list zaś brzmiał: „Kochani Rodzice! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! To jest mój ostatni list. Za 4 godziny wyrok będzie wykonany. Kiedy więc ten list będziecie czytać, mnie nie będzie już między żyjącymi! Zostańcie z Bogiem! Przebaczcie mi wszystko! Idę przed Wszechmogącego Sędziego, który mnie teraz osądzi. Mam nadzieję, że mnie przyjmie. Moim życzeniem było pracować dla Niego, ale nie było mi to dane. Dziękuję za wszystko! Do widzenia tam w górze u Wszechmogącego". Korespondencja nad wyraz dojrzała jak na 28-letniego kapłana.

BEZ JEDNEGO DRZEWA LAS LASEM ZOSTANIE

Tuz przed północą 2 grudnia 1942 r. do ciemnej celi ks. Machy przybył kapelan więzienny ks. Joachim Besler, gdyż więzień poprosił przed śmiercią o spowiedź. Gdy już się wyspowiadał, strażnik wywołał skazańca na korytarz. Wziął go pod ręce, kazał się rozebrać, założyć papierową koszulę i maszerować na egzekucję. Przy dwumetrowej gilotynie czekali już prokurator, naczelnik więzienia, dyżurujący gestapowiec. Obok wisiała czarna kotara. Kapelan więzienia zapamiętał tę chwilę: „Ks. Macha podniósł po raz ostatni oczy ku niebu gwiaździstemu i znikł w drzwiach kaźni śmierci".

Ciało nad ranem wrzucono do drewnianej skrzyni i wywieziono do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Rodzina bardzo długo go szukała. Gdy siostra w końcu dowiedziała się, że nie zostało zbezczeszczone, tylko spalone, uspokoiła się. – Wkrótce potem moja mama umarła. Czuła głęboką więź duchową ze swoim bratem – wspomina Małgorzata, córka pani Róży.

Scena ścięcia na gilotynie została upamiętniona w filmie dokumentalnym Dagmary Drzazgi „Bez jednego drzewa las lasem zostanie" (płyta z filmem została teraz dołączona do „Gościa Niedzielnego"). Robi wrażenie.

Jak przyznaje rodzina ks. Machy, pomysł nakręcenia tego filmu był kluczowy w podjęciu starań o beatyfikację, ludzie zainteresowali się dzięki temu jego życiem i przesłaniem.

Ks. Jan Macha został wyniesiony na ołtarze w sobotę 20 listopada w Katowicach. Zasilił szeregi męczenników II wojny światowej, stanął w rzędzie kapłanów niezłomnych, obok bł. ks. Jerzego Popiełuszki i tych wszystkich, którzy – jak św. Jan Paweł II i prymas Wyszyński – po Bogu największą miłością darzyli Polskę.

To istotne, że ks. Macha został wyniesiony na ołtarze jako męczennik. A męczeństwo jest konsekwencją całego życia. – Podobnie jak ks. Popiełuszko oddał on życie za wiarę, ale i za wartości, które z wiary wypływają: miłość bliźniego, wierność Bogu, miłość ojczyzny – wyjaśnia ks. prof. Józef Naumowicz, notariusz w procesie kanonizacyjnym bł. ks. Popiełuszki. – Przez swój sposób życia, jak też przez swą postawę w chwilach tortur i śmierci złożył wielkie świadectwo swej wiary – dodaje ks. prof. Naumowicz.

Fot. Archiwum parafii Świętej Marii Magdaleny w Chorzowie/Wikipedia

eprasa.pl 693012e7cd

Miejski surwival

Najlepszą barierę ochronną tworzą szczypta nieufności, zdrowy rozsądek i czujność wobec otoczenia – mówi znany podróżnik ***Jacek Pałkiewicz***, który w rozmowie z Jackiem Hałasem podsuwa rady, jak sprostać pułapkom drapieżnej aglomeracji wielkomiejskiej

Wydał pan swego czasu podręcznik „Dżungla miasta", kompendium wiedzy dotyczącej bezpieczeństwa w kamiennej metropolii, które umknęło uwadze czytelników.

Jacek Pałkiewicz: Rzeczywiście, książka nie została zauważona przez szerszą publiczność. Przeróżne katastrofy wprawdzie budzą przygniatające uczucie, ale na krótko. Ludzie ignorują zagrożenia, nie dopuszczając myśli, że im też może się przytrafić coś fatalnego. Pokrętnie wmawiają sobie, że one wcale nie muszą ich dotknąć. W głowie pojawia się mechanizm zaprzeczenia, naiwne przeświadczenie, że nieszczęścia zazwyczaj imają się tylko innych. Ojciec psychoanalizy Zygmunt Freud zauważył, że gdy postrzeganie rzeczywistości wywołuje przykre uczucia, to uciekamy się do wyparcia i zaprzeczenia, krótko mówiąc – do samooszukiwania się. Nazwał to archaicznym, obecnym od najwcześniejszego dzieciństwa, mechanizmem obronnym, naturalną strategią umysłu, mającą zasłaniać przed wiedzą na temat widma opresji i wiążącymi się z nią przykrymi aspektami. Takiego wykrętu nie można zaliczyć do racjonalnych, bo statystyki są bezlitosne. Któregoś dnia dotkliwy cios może sięgnąć i nas. Wtedy poczucie krzywdy wywraca świat do góry nogami.

A jakkolwiek przecież by było, panorama zagrożeń czyhających na mieszkańca niekoniecznie dużej metropolii, ale i mniejszego miasta, jest szeroka.

To nie tylko świat bezprawia, wypadki komunikacyjne, skażenia chemiczne, przemoc, ale i klęski żywiołowe, awarie przemysłowe, uliczne zamieszki, pożary, oszustwa w internecie. Czarne chmury nie omijają zacisza domowego, gdzie podczas wykonywania

eprasa.pl 693012e7cd

codziennych czynności i używania różnego rodzaju sprzętu zdarza się najwięcej wypadków. Książka rodziła się przez długie lata, wiedzę zdobywałem u źródła, czyli u kieszonkowców neapolitańskich, wchodziłem w skórę różnych opryszków i złodziei, by poznać ich mentalność i zawodowe sztuczki. Uczyłem się u wytrawnych supergliniarzy w Komendzie Stołecznej. Bezcennym instruktażem okazał się „okrągły stół" z udziałem profesjonalistów na przymusowej izolacji w Areszcie Śledczym Warszawa-Mokotów. Tak powstała dydaktyczna i bogato ilustrowana biblia bezpieczeństwa. Uważam, że taki kompleksowy podręcznik powinien się znaleźć w każdym domu i być często konsultowany, bo będzie przypominać o realnych groźbach, co w rezultacie pozwoli zachować czujność i przyjąć trafną postawę obronną w obliczu nieoczekiwanego zagrożenia.

Jak pan sądzi, w jakim stopniu policja może liczyć na współpracę społeczeństwa?

Dzisiejsze miasta zamieszkuje mrowie anonimowej i wyalienowanej społeczności przesiąkniętej znieczulicą społeczną. Pociąga ona za sobą obojętność na naruszenia ładu publicznego i brak poczucia odpowiedzialności za dobro wspólne, a to tworzy dobry klimat do bezkarności i daje nieme przyzwolenie dla działalności przestępczej. Rzadko obserwuje się obywatelską reakcję, gdy ktoś podpali śmietnik, jedzie po pijanemu samochodem, zakłóca porządek publiczny czy dewastuje przystanek autobusowy. W sytuacji opresji w skrytości ducha liczymy na wrażliwość innych, ale w skostniałej zbiorowości trudno oczekiwać interwencji i pomocy. Mało kto dzwoni na policję, aby zgłosić naganne postępowanie, bo w powszechnym rozumieniu współpraca z nią jest jeśli nie naganna, to przynajmniej dwuznacznie moralna. Po przemianach ustrojowych jeszcze nie zdołała ona gruntownie przebudować swojego wizerunku obciążonego dziedzictwem peerelowskiego systemu. Nadal funkcjonariusz częściej postrzegany jest jako przedstawiciel władzy represyjnej niż jako ktoś, kto może mu pomóc. W innych krajach, gdzie ludzie mają świadomość, że mogą wpływać na poprawę ładu i porządku publicznego, taka reakcja uznawana jest za obywatelski obowiązek. Wiadomo, że dobra praktyka europejska dowodzi, iż strategia partnerskiej współpracy z policją i tworzenie właściwego klimatu przez budowę wzajemnego zaufania przynoszą wymierne efekty w zapobieganiu i zwalczaniu pogwałcenia prawa. Od pięciu lat istnieje narzędzie informatyczne – krajowa mapa zagrożeń bezpieczeństwa – ogólnopolski system, który pozwala każdemu obywatelowi przekazać anonimowo policji informację o wykroczeniach, pogwałceniach prawa czy jakimś niepokojącym go zjawisku.

Czy może pan wystawić swoją receptę na bezpieczne życie?

Nie znam żadnej niezawodnej podręcznikowej recepty, bo nieczystych konceptów jest tyle ile gwiazd na niebie. Dżungla miejska to organizm bardziej skomplikowany i wystawiający swoich mieszkańców na zagrożenia znacznie bardziej różnorodne niż w osławionym „zielonym piekle" tropikalnego lasu. W ub.r. liczba osób pokrzywdzonych w Polsce w wyniku różnych pozaprawnych incydentów wyniosła 728 tys., co oznacza, że dotknęły one co 37. dorosłego Polaka, czyli prawie trzy osoby na sto. W tym samym roku zginęło 9 tys. samochodów, dokonano ponad 74 tys. włamań i zarejestrowano 656 zabójstw. Nie traćmy więc z pamięci polisy ubezpieczeniowej, która zawiera tylko trzy paragrafy: miej świadomość miecza Damoklesa, wykorzystuj procedury zapobiegawcze i posłuż się stosowną reakcją. Należy żałować, bo nie nosimy jednak tych wytycznych w pamięci, gwałcimy elementarne normy defensywne, nie dostrzegamy w porę znaków ostrzegawczych, jesteśmy bezkrytyczni i niefrasobliwi. Przypomnę więc z korepetycji różnych zbirów, że najlepszą barierę ochronną tworzą szczypta nieufności, zdrowy rozsądek i czujność wobec otoczenia. Wiadomo też, że okazja czyni złodzieja, zatem nie prowokuj go, nie bądź jego wspólnikiem, nie daj mu szansy. Ustaw jak najwięcej barier, bo każda z nich oznacza dodatkową stratę czasu, a wiadomo, że rabuś musi działać szybko i bez hałasu. Zachętą do czynów występnych są miejsca, gdzie jest niedostateczne oświetlenie, są bujne krzaki, oznaki braku dbałości o czystość i porządek, niedziałający domofon. „Laluś", mój szkoleniowiec, mówi wprost: „Frajerzy sami się podkładają i wpraszają się o oskubanie". Istotne znaczenie ma oczywiście wiedza, „jak się zachować", oraz ukształtowane nawyki. Ofiarami przestępstw bywają najczęściej osoby bezradne, uległe, bojaźliwe, przygarbione, czymś zaabsorbowane albo też nietrzeźwe. „Kominiarz", warszawski zakapior z trzykrotnym stażem w zakładach karnych, twierdzi że zawsze pozostawi w spokoju osobę wyglądającą na taką, co nie sprzeda gładko swojej skóry. Wniosek: ukrywając strach za parawanem pewności siebie, powinno się unieść wysoko głowę, wyprostować sylwetkę i kroczyć sprężystym chodem.

Jak można się uchronić przed zaczepkami na ulicy?

Człowiek zazwyczaj wpada w tarapaty, bo pogwałcił normy defensywne, nie dostrzegł w porę znaków ostrzegawczych albo okazał niefrasobliwość. Ponadto powszechnie zdradza nas zbytnia wiara w sprawiedliwość, dobroć, współczucie czy wpojone zasady dobrego wychowania, które przeszkadzają w egzekwowaniu własnych praw i utrudniają przeciwstawienie się agresji. W dużym stopniu barierę ochronną stanowi zasada ograniczonego zaufania. Podczas ulicznych zaczepek różnych intruzów nie zawsze potrafimy zdobyć się na wyrażenie stanowczego „nie!". Decydująca jest asertywność, czyli umiejętność wyznaczania i egzekwowania swoich granic. Należałoby ominąć liczących na łatwy zarobek zdegradowanych naciągaczy, którzy wzbudzając współczucie błagalnym tonem, żerują na ludzkiej wrażliwości. Kiedy trzeba, należy umieć odmówić także ankieterowi czy myjącemu szyby auta na skrzyżowaniu. Osobom, które pytają o adres czy godzinę, można udzielić odpowiedzi,

eprasa.pl 693012e7cd

ale jeśli to ma miejsce z dala od ludzi bądź o późnej porze, najlepiej nie zatrzymując się, powiedzieć: „Nie wiem". Kiedy ktoś prosi o papierosa, wielu w sposób przesadnie uprzejmy usprawiedliwia się ubolewając, że niestety nie pali. Zasadę grzeczności lepiej pozostawić dla bliskich i zaufanych osób. Tu odpowiedź powinna być czytelna i konkretna: „Nie. Nie mam" lub krótko: „Nie palę", bez uciekania się do wyjaśnień.

Kiedy sytuacja wykracza poza ramy przyzwoitości, warto zapomnieć o dobrych manierach i zdobyć się na eksplozywną reakcję: „Spadaj!". Kobieta z dobrego domu potrafi powstrzymać oprycha mocną wiązanką lub niesalonowym epitetem: „Spier...!". Taka nieokiełznana riposta jest na tyle szokująca dla zdezorientowanego napastnika, którego orężem są zaskoczenie i dominacja, że traci kontrolę nad ofiarą. Oczywiście tak bojowy wybuch powinien być przedtem przećwiczony w domu, aby w odpowiedniej chwili móc podświadomie sięgnąć wyuczonego zwrotu.

A na jakie pułapki w internecie uczuliłby pan czytelników?

Pojawiły się tutaj nowe groźne i ciągle głodne zwierzęta. Te bestie to troll, hejter, cyberprzestępca, stalker. Jacek Tyburek, menedżer bezpieczeństwa organizacji, ostrzega: uważajmy na media społecznościowe. One same w sobie są doskonałym źródłem wiedzy, kontaktów, być może przeżywania głębokich emocji. Niestety żyje w nich troll, który może wywierać wpływ na struktury państwowe i społeczne. Mieszkaniec miejskiej dżungli może się stać ofiarą własnej wylewności w mediach społecznych w obliczu szumowin albo też skomplikować swoje życie zawodowe. Inny gatunek drapieżników internetowych to hejterzy, którzy wyprowadzą swojego dyskutanta na manowce, wciągną do pułapki. Uzależnienie cyfrowe prowadzi do wielowymiarowych zagrożeń bezpieczeństwa, by wymienić stalking, kradzież tożsamości i różnorakie przekręty. Ileż to poważnych ludzi zostaje wykiwanych „niespodziewanym spadkiem" zapowiedzianym przez adwokata z Nigerii czy metodą „na wnuczka" albo funduszem z Dubaju. Jak się przed tym bronić? Wypada po prostu nauczyć się funkcjonować w świecie, który jest niezwykłą zdobyczą cywilizacji, według zasad elementarnej ostrożności.

Bezpieczeństwo na ulicy?

Gwar uliczny, głowa wypełniona myślami, osobiste kłopoty, przemęczenie, problemy w pracy czy słuchawki na uszach, odwracają uwagę od tego, co dzieje się wokół, a to łatwo sprowadza do sytuacji mogącej skomplikować nam życie. Zakłócenia porządku publicznego, wandalizm czy agresja słowna stanowią naszą codzienność. Przemoc, zupełnie bez powodu, stosują młodzi „twardziele", okazując najwyższą pogardę dla zasad współżycia społecznego. Na ulicy trzeba unaocznić zdecydowanie i mieć oczy z przodu oraz z tyłu. Człowiek zagubiony zawsze będzie łatwiejszą ofiarą. W zależności od tego, jak zareaguje na zaczepkę, napastnik oceni stopień jego uległości. Do obrony na ulicy, gdzie może chodzić nawet o życie, potrzebna jest pokaźna doza zwierzęcego instynktu i dużo, bardzo dużo determinacji. Bronić się należy wszystkim, co jest pod ręką, czyli parasolką, dezodorantem w spreju, kluczami ściśniętymi w dłoni niczym kastet, szpilką od włosów, pantoflem na wysokim obcasie, butelką coca-coli, garścią piasku, puszką z piwem, popielniczką, długopisem, pilnikiem do paznokci, laską, doniczką, książką czy rozbitą szybą lub butelką.

„Kominiarz", warszawski zakapior z trzykrotnym stażem w zakładach karnych, twierdzi, że zawsze pozostawi w spokoju osobę wyglądającą na taką, co nie sprzeda gładko swojej skóry

Jacek Żakowski z „Polityki" tak podsumował moją książkę: „Pałkiewicz straszy, przestrzega i uczy, co robić, żeby mniej się bać". Czytelniku, zainwestuj w siebie. Przeczytaj dzisiaj, a unikniesz problemu jutro. Z pewnością na tym wygrasz.

Boję się, że zbytnia nieuzasadniona nieufność czy nawet psychoza może pozbawić nas codziennej pogody ducha.

Nie przesadzajmy, w niektórych sytuacjach życiowych dobrze jest posiadać sporą dozę sceptycyzmu i nieufności. Niezasłużony kredyt zaufania i naiwność mogą zostać łatwo wykorzystane przez różnej maści oszustów. Zawsze jest „lepiej zapobiegać, niż leczyć", co wiąże się ze współczesną dewizą etyki medycyny primum non nocere, po pierwsze, nie szkodzić. Ma to o tyle głęboki sens, bo zapobieganie jest dużo tańsze niż późniejsze leczenie, które bywa bardzo drogie i nie zawsze daje oczekiwany skutek.

Reklama | 36/1021/F

eprasa.pl 693012e7cd

FAKTY RMF FM

NAJBARDZIEJ WIARYGODNE ŹRÓDŁO INFORMACJI

radio nr 1 w Polsce

RMF FM

eprasa.pl 693012e7cd

Pandemia niezaszcz

Stosunek do szczepień przeciw COVID-19 czy – szerzej – polityki w obliczu pandemii może być miernikiem tego, na ile organizm społeczny jest zdrowy, w jakim stopniu obywatele czują się częścią państwa

MAREK BUDZISZ

Władze dalekowschodniego Kraju Chabarowskiego pierwsze w Rosji wprowadziły, nie oglądając się na Moskwę, paszporty covidowe w postaci specjalnych kodów QR, bez których nie wsiądzie się do samolotu na liniach wewnętrznych ani nie pojedzie pociągiem. Jewgienij Nikonow, urzędnik odpowiedzialny w regionalnej administracji za kwestie związane z ochroną zdrowia, komentując to posunięcie, powiedział agencji RIA Nowosti, że „kwestia niewygody dla pasażerów, z którą związane jest to zarządzenie, nie ma znaczenia, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę skokowy wzrost liczby zgonów na COVID-19, jakie ostatnio odnotowaliśmy".

NIECHLUBNY LIDER

Dające się odczuć zaniepokojenie, a nawet oznaki paniki urzędników różnego szczebla w związku z sytuacją epidemiologiczną łączą się z faktem, że Rosja w pierwszym tygodniu listopada odnotowała, według oficjalnych statystyk, 8311 zgonów z powodu pandemii, co oznacza, iż znalazła się według WHO na pierwszym miejscu w świecie w liczbach bezwzględnych. W Stanach Zjednoczonych, mających niemal 2,5-krotnie więcej ludności, na COVID-19 zmarło w tym czasie 8101 osób. Od początku pandemii w Rosji zmarło już z jej powodu prawie 250 tys. osób, choć demografowie są raczej skłonni zwracać uwagę nie na oficjalne statystyki, ale na liczbę „ponadprogramowych zgonów", czyli ich wzrost ponad średnią ostatnich lat. Ich zdaniem bliższa prawdy w przypadku Federacji Rosyjskiej jest liczba niemal 725 tys. ofiar pandemii. Ale to tylko szacunki i nie brak głosów wśród specjalistów, że Rosja – kraj, który pierwszy na świecie poinformował o wynalezieniu szczepionki przeciw COVID-19 – już jest światowym liderem, jeśli chodzi o liczbę osób zmarłych w wyniku pandemii i z ogólnej liczby 5,1 mln jej ofiar jedna piąta to obywatele Rosji.

W czasie październikowych dyskusji budżetowych w Dumie Państwowej przedstawiciele rosyjskiej Izby Obrachunkowej, odpowiednika naszego NIK, ujawnili, że w ciągu ostatniego roku liczba emerytów w kraju zmniejszyła się o 800 tys. Jest ich teraz ok. 39 mln, podczas gdy rok wcześniej było 39,8 mln. Oczywiście nie wszyscy zmarli na COVID-19, ale też nie jest to choroba, na którą zapadają wyłącznie ludzie w podeszłym wieku. Niezależnie jednak, jak podchodzimy do rosyjskich statystyk covidowych, jedno jest pewne – obecna fala pandemii jest w Rosji najcięższa, a podejmowane przez władze działania, takie jak choćby ogłoszone przez Putina na początku listopada tygodniowe „przedłużone wakacje", choć dają pewien efekt w postaci spowolnienia liczby nowych infekcji, nie dają podstaw, by mówić o przełomie.

Sytuacja jest na tyle poważna, że jedno z ostatnich posiedzeń rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa poświęcone było walce z pandemią. Wicepremier Tatiana Golikowa, odpowiadająca w rządzie za resorty społeczne, w tym ochronę zdrowia, powiedziała wówczas, że aby osiągnąć zakładany 80-proc. stopień odporności zbiorowej, należy niezwłocznie zaszczepić 22 mln Rosjan, a dodatkowo 9 mln musi przyjąć drugą dawkę. W przeciwnym razie „trzeba będzie zaczynać wszystko od

eprasa.pl 693012e7cd

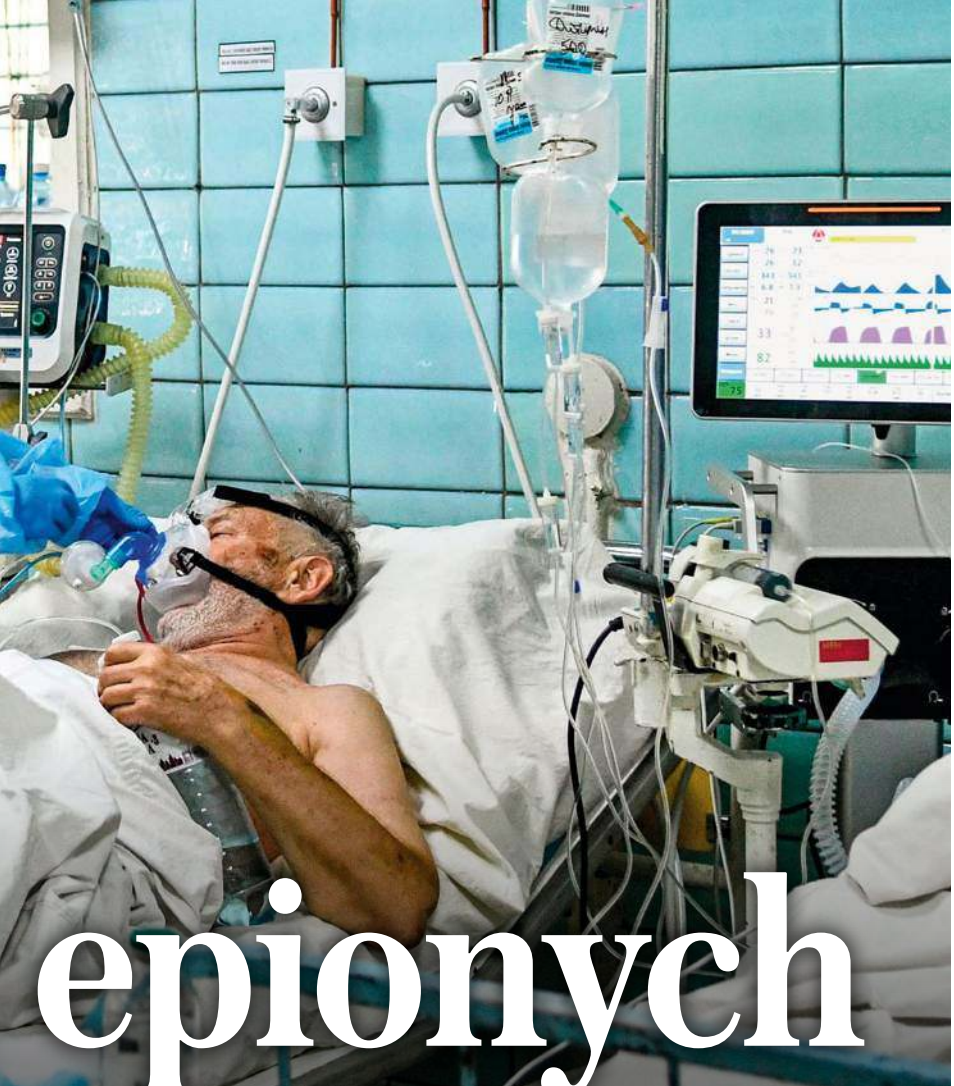

epionych

Fot. Ukrinform/East News

nowa", bo nie tylko nie osiągnie się odporności zbiorowej, lecz i obecny jej poziom spadnie. Będzie to dość trudne, bo do tej pory w Rosji obiema dawkami zaszczepiło się, według danych na 12 listopada, niemal 58 mln osób, a dodatkowo 8 mln przeszło chorobę, co oznacza, że można mówić o wskaźniku na poziomie 45 proc., którego przekroczenie nie będzie łatwe w sytuacji, kiedy połowa Rosjan, jak wskazują badania opinii publicznej, nie ma zamiaru się zaszczepić . Oznacza to, że pandemia jeszcze długo może w Rosji zbierać śmiertelne żniwo.

OPORNI NA SZCZEPIENIA

Ale nie tylko w Rosji, bo z podobnymi problemami mamy do czynienia w wielu krajach Europy Wschodniej. Na Białorusi oficjalne statystyki są optymistyczne, ale w mediach co rusz pojawiają się relacje lekarzy, którzy mówią, że każdego dnia w szpitalach, w których pracują, umiera na covid po kilkanaście osób, co oznacza, że w skali całego kraju liczba zgonów, choć nieznana, jest z pewnością większa niźli kilkanaście ofiar, o których informują władze. Na Ukrainie sytuacja wydaje się niewiele lepsza niż w Rosji, tym bardziej że w związku z brakiem szczepionek liczba osób, które ją przyjęły, jest jedną z najniższych w Europie. Do tej pory jedynie 9 mln obywateli kraju, czyli 23–25 proc. otrzymało dwie dawki szczepionek, a liczba koronasceptyków jest podobnie wysoka jak w Rosji. Władze się zdecydowały, jak na kraj borykający się z dużym deficytem budżetowym, na odważne posunięcie – prezydent Zełenski poinformował, że każdy, kto postanowi się zaszczepić, otrzyma specjalną premię w wysokości 1 tys. hrywien. Obecnie już nie 70 proc. obywateli Ukrainy, jak to było niedawno, deklaruje, że nie ma zamiaru przyjąć szczepionki, ale jest to nadal ponad 50 proc. Eksperci są w związku z tym pełni obaw. Sytuację pandemiczną na Ukrainie udało się co prawda w ostatnich dniach ustabilizować, ale liczba nowych infekcji jest nadal duża, przekracza 20 tys. przypadków dziennie. Na wysokim poziomie, ponad 700 dziennie, utrzymuje się też liczba osób umierających każdego dnia. Ukraińscy eksperci są zdania, że jeśli nic się nie zmieni, a niewiele na to wskazuje, nowy rok Ukraina przywita w całości „w czerwonej strefie".

Równie dramatyczna sytuacja jest w Rumunii, w której na covid umiera od początku listopada powyżej 600 osób dziennie, co doprowadziło do sytuacji, że ten 19-mln kraj już obecnie ma najwyższy wskaźnik zgonów w wyniku pandemii, licząc na 1 tys. mieszkańców, 19-krotnie większy niż np. Niemcy. I tam liczba koronasceptyków, ludzi, którzy za żadne skarby nie chcą przyjąć szczepionki, jest duża, a oficjalne statystyki mówią, że do tej pory jedynie 44 proc. Rumunów zdecydowało się zaszczepić. W tej statystyce gorsze wyniki ma jedynie Bułgaria, gdzie do tej pory obie dawki szczepionki przyjęło 23 proc. populacji.

Nastroje antyszczepionkowe w Rumunii i Bułgarii, ale również na Ukrainie, są wspierane przez niektórych duchownych prawosławnych. Biskup Ambroży z diecezji w Giurgiu na południu Rumunii powiedział nawet publicznie, by Rumuni „nie byli głupi i nie wierzyli we wszystko, co mówi się w telewizji – nie ma powodów, aby obawiać się covidu". Prokuratura wszczęła w związku z tą wypowiedzią oficjalne śledztwo i ma zamiar postawić duchownemu zarzuty, a przekaz starał się korygować patriarcha Daniel z Bukaresztu, zachęcając wiernych do szczepień, jednak na prowincji, jak donoszą media, wielu duchownych nadal uważa szczepionki za „wynalazek diabła".

Wydaje się jednak, że nie mamy do czynienia ze szczególnym nasileniem koronasceptycyzmu wśród duchowieństwa prawosławnego, choć tego rodzaju zjawisko występuje, ale z negatywnym dziedzictwem komunizmu i niskim poziomem zaufania społecznego, z którego kraje Europy Środkowej i Wschodniej jeszcze nie w pełni się wyzwoliły. Najlepszym przykładem jest Łotwa, jeden z pierwszych krajów, który był zmuszony wprowadzić w związku z kolejną pandemią lockdown, a nie jest przecież państwem, gdzie prawosławie mogłoby być uznane za dominującą religię. Sąsiadująca z Bułgarią prawosławna Grecja ma 60-proc. wskaźnik szczepień, co skłania do poglądu, że to nie kwestie religijne są

eprasa.pl 693012e7cd

głównym motywem koronasceptycyzmu. Niemiecka Saksonia, będąca w przeszłości częścią NRD, ma znakomicie mniejszy wskaźnik „zaszczepienia" niźli pozostałe niemieckie landy, zwłaszcza zachodnie.

Wydaje się jednak, że sceptycyzmu wobec szczepień nie wyjaśni się jedynie spadkiem po komunizmie. Eksperci zwracają uwagę na to, że we włoskiej gminie Bolzano, położonej na północy kraju i zamieszkanej przez niemieckojęzyczną mniejszość, wskaźnik liczby zaszczepionych osób jest znakomicie mniejszy niż w pozostałej części kraju. Ich zdaniem ujawniły się w ten sposób głębsze różnice, na poziomie kulturowym. Mieszkańcy Bolzano, bogatej i żyjącej z turystyki gminy, podobnie jak w innych krajach niemieckojęzycznych mają, w opinii socjologów, większy poziom zaufania do medycyny niekonwencjonalnej, homeopatii, ziołolecznictwa, co skutkuje brakiem wiary w skuteczność szczepień. Generalnie Niemcy, Austria i niemieckojęzyczne kantony Szwajcarii mają największą z krajów Europy Zachodniej liczbę odmawiających przyjęcia szczepionek. W regionach niemieckojęzycznych jest to jedna osoba powyżej 12. roku życia na cztery, podczas gdy we Francji i Włoszech podobny wskaźnik kształtuje się na poziomie 10 proc., a w Portugalii wynosi niemal zero.

Drakońskie ograniczenia, które wprowadziła niedawno Austria, ograniczając wszystkim niezaszczepionym obywatelom mającym więcej niż 12 lat możliwość podróżowania komunikacją zbiorową, zakazując uczestnictwa w imprezach masowych czy ograniczając dostęp do publicznej służby zdrowia, nie mówiąc już o możliwości odwiedzin kawiarni, restauracji czy robienia zakupów, nie prowadzą jak na razie do skokowego wzrostu liczby zaszczepionych, ale raczej do polaryzacji politycznej. W ostatnim czasie w Austrii powstała nawet partia antyszczepionkowa, której przedstawiciele zdobyli w niedawnych wyborach trzy miejsca w parlamencie.

PRZYKŁAD DUŃCZYKÓW

Niezależnie od powodów, dla których ludzie nie chcą się szczepić przeciw COVID-19, nie ulega wątpliwości, że czwarta fala, z którą mamy obecnie do czynienia, to „pandemia niezaszczepionych". Dr Susanne Herold ze Szpitala Uniwersyteckiego w Giessen, której zespół latem tego roku analizował zagrożenia związane z wariantem delta koronawirusa, powiedziała dziennikarzowi „The New York Times", że z przeprowadzonych wówczas analiz wynikało, iż jeśli przed jesienią nie osiągnie się wskaźnika zaszczepionych na poziomie 85 proc., to kolejna fala pandemii jest nieuchronna. „Nadal ten wskaźnik jest na poziomie poniżej 70 proc. – powiedziała Herold – i nie wiem, czy jesteśmy w stanie wygrać ten wyścig. Właściwie należałoby powiedzieć, że już przegraliśmy z czwartą falą". Potwierdzają to zarówno jednostkowe obserwacje, jak i federalne statystyki. Liczba chorych na covidowym oddziale pulmonologii w Giessen wzrosła w ostatnim czasie trzykrotnie, z czego połowę musiano podłączyć do respiratorów. Wszyscy byli niezaszczepieni.

> Niewielka liczba covidowych zgonów w Danii jest spowodowana przede wszystkim tym, że ponad 90 proc. mieszkańców tego kraju przyjęło szczepionkę, co oznacza, że jeśli zarażą się znowu, to przechodzą chorobę w lżejszej postaci

Jak poziom szczepień wpływa na sytuację, najlepiej widać na przykładzie Danii, kraju, który już we wrześniu zniósł wszelkie ograniczenia związane z pandemią, ale ostatnio, o czym informowały wszystkie światowe media, musiał część ich przywrócić, bo liczba nowych przypadków przekroczyła w skali tygodnia 24 tys. Zapomniano jednak dodać, że rząd w Kopenhadze zdecydował się na taki krok, trochę dmuchając na zimne. Jeślibyśmy spojrzeli bowiem na liczbę osób – 41, które zmarły w ciągu ostatniego tygodnia na COVID-19 w Danii, to sytuacja jest tam o niebo lepsza niż w sąsiednich Niemczech (1309 zgonów), nie mówiąc już o Rumunii (1938) czy Bułgarii (1086). Naukowcy są przekonani, że tak niewielka liczba covidowych zgonów w Danii jest spowodowana przede wszystkim tym, że ponad 90 proc. mieszkańców tego kraju przyjęło szczepionkę, co oznacza, że jeśli zarażą się znowu, to przechodzą chorobę w lżejszej postaci.

Ale dlaczego Duńczycy byli znacznie bardziej skłonni niźli Niemcy, nie mówiąc już o Polakach, przyjąć obie dawki szczepionki? Grupa naukowców z projektu HOPE, która, zebrawszy kilkaset tysięcy ankiet w tej sprawie, w tym 400 tys. w samej Danii, analizowała, jak europejskie demokracje radzą sobie z pandemią, jest zdania, że zna odpowiedź na to pytanie. Ich zdaniem decydujące znaczenie mają trzy czynniki. Po pierwsze, wysoki poziom zaufania społecznego i szacunku, jakim cieszą się instytucje publiczne. Drugim czynnikiem jest niewielki stopień polaryzacji politycznej w kraju. Im żywsze i burzliwsze spory polityczne, tym większy posłuch znajdują antyszczepionkowe narracje. I wreszcie zwracają oni uwagę na trzeci, ich zdaniem decydujący czynnik. Otóż w Danii nadal żywy jest model określany przez nich mianem samfundssind, czyli wspólnego, kolektywnego na poziomie społeczności lokalnych rozwiązywania podstawowych problemów. Im kraj jest bardziej przesiąknięty duchem indywidualistycznym, a władza centralna „oddalona" od życia zwykłych ludzi, tym silniejsza skłonność obciążania odpowiedzialnością „ich", czyli rząd, i większa też nieufność wobec decyzji władz.

Można się nawet pokusić o tezę, że stosunek do szczepień przeciw COVID-19 czy – szerzej – polityki w obliczu pandemii może być miernikiem tego, na ile organizm społeczny jest zdrowy, w jakim stopniu obywatele czują się częścią państwa. Gdyby spojrzeć na to przez ten pryzmat, to w Polsce nie jest pod tym względem najlepiej, choć nie odstajemy zdecydowanie od naszych zachodnich czy południowych sąsiadów. Niemniej jednak wiele jeszcze mamy do zrobienia.

eprasa.pl 693012e7cd

3W, czyli gospodarka przyszłości

Każdy z nas każdego dnia podejmuje dziesiątki decyzji. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że nasze codzienne wybory wpływają nie tylko na nas, na naszych najbliższych i na nasze najbliższe otoczenie. To my naszymi decyzjami kształtujemy rzeczywistość. Inicjatywa 3W chce sprawić, by ta rzeczywistość rysowała się w jak najbardziej optymistycznych barwach

Pod skrótem „3W" kryją się trzy zasoby. To woda, wodór i węgiel. Pomysłodawcą inicjatywy 3W jest Bank Gospodarstwa Krajowego. BGK w swojej strategii zwraca uwagę m.in. na zrównoważony rozwój społeczno-gospodarczy, a idea 3W wpisuje się właśnie w jego założenia. Oferuje ona nam wszystkim coś bardzo ważnego: zdrowszą, czystszą i opartą na zaawansowanych technologiach przyszłość.

Pierwsze „w" to woda. Każdy z nas doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że bez niej nie byłoby życia. Ale co tam, w końcu ponad 70 proc. powierzchni Ziemi pokrywa właśnie woda, więc kto by się przejmował, że możemy mieć tu jakieś problemy... Tyle że tylko jeden procent wody to woda pitna, a tej w wielu regionach brakuje. Żeby sprawę jeszcze bardziej utrudnić, trzeba pamiętać, że w niektórych miejscach jest ona tak zanieczyszczona, że nie zawsze nadaje się do spożycia. A jeśli dodać do tego powodzie, to łatwo można dojść do wniosku, że z jednej strony mamy problemy z niedoborem wody, a z drugiej z jej nadmiarem. A to już może powodować spore kłopoty. Zwłaszcza w dobie zmian klimatycznych wodą należy dobrze gospodarować: budować zbiorniki retencyjne, prowadzić odpowiednie strategie melioracyjne, dbać o jej czystość, oszczędzać ją.

Pod drugim „w" kryje się wodór, który jest odmieniany ostatnio przez wszystkie przypadki. Nazywa się go przyszłością energetyki, choć ta przyszłość już zdążyła się stać teraźniejszością. Pociągi wodorowe, samochody wodorowe, ogniwa wodorowe – to coś, co powoli wchodzi już do naszego życia. Polska ma ogromne szanse na to, by stać się jednym z liderów produkcji zielonego wodoru, czyli takiego, który jest zeroemisyjny i nie szkodzi naszemu środowisku. Przed nami ambitne, ale możliwe do wykonania zadanie. Mamy zdolnych naukowców, nowocześnie myślących przedsiębiorców – musimy tylko zacząć działać mądrze i w sposób przemyślany. W wodorowym wyścigu możemy wyprzedzić największych światowych graczy.

I w końcu trzecie „w". Węgiel. Kto by pomyślał, że w trzeciej dekadzie XXI w. będziemy chcieli opierać gospodarkę na węglu... Ale Bankowi Gospodarstwa Krajowego nie chodzi o węgiel energetyczny. Nie chodzi o skałę, która wykorzystywana do pozyskiwania energii psuje nasze środowisko i powoduje, że odbija się to mocno na naszym zdrowiu i jakości naszego życia. Węgiel bowiem to nie tylko skała. To pierwiastek, który jest z nami wszędzie, bo nawet ciało ludzkie składa się prawie w 20 proc. z węgla. Węgiel to grafit, grafen, diament, fulereny, nanorurki węglowe. Można wykorzystywać go w budownictwie, przemyśle, innowacyjnych technologiach, kosmetologii. Może być używany także w medycynie, ratując ludzkie życie.

Wizja przyszłości pod znakiem 3W jest więc bardzo atrakcyjna. Pytanie, co musimy zrobić, by stała się ona realna. Świat biznesu i świat nauki muszą grać do jednej bramki i ściśle ze sobą współpracować. Chodzi o to, by pomysły naukowców nie pozostawały na dnie szuflad, a były komercjalizowane. Do tego konieczna jest również pomoc administracji państwowej. I w końcu to od czego zaczęliśmy. Nic nie uda się, jeśli do zmian nie będziemy gotowi my sami.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 2/1021/F

eprasa.pl 693012e7cd

Joe Biden miał wprowadzić nową jakość do amerykańskiej polityki. Po dziesięciu miesiącach jego urzędowania w Białym Domu widać, że nic z tego nie będzie. Prezydent demokrata pozuje na przywódcę, którym ewidentnie nie jest

Zmęczony człowiek i władza

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

6 dol. za 100 sztuk. Tyle kosztują naklejki, które od kilku miesięcy robią furorę na amerykańskiej platformie sprzedażowej Amazon. Widnieje na nich podobizna prezydenta Joego Bidena z napisem: „Ja to zrobiłem!" (I did that!). Niezadowoleni z drożyzny Amerykanie przyklejają je do towarów w supermarketach lub pomp na stacjach benzynowych, gdzie cena benzyny oscyluje między 3,5 a 4 dol. za galon. Kampania naklejkowa stała się prawdziwym hitem na TikToku, podobnie jak okrzyki „Dawaj, Brandon!" (Let's go, Brandon!), które często witają Bidena, gdy przemieszcza się po kraju. Tak było m.in. w miniony wtorek, gdy prezydent USA pojawił się w Woodstock w stanie New Hampshire, by promować opiewający na ponad bilion dolarów pakiet infrastrukturalny, który udało mu się (z wielkim trudem) przepchnąć przez Kongres. A kimże jest ten tajemniczy Brandon?

Wszystko zaczęło się 2 października w Alabamie. Po wyścigu samochodowym NASCAR zwycięski kierowca Brandon Brown udzielał wywiadu telewizji NBC. Stojący za nim fani coś krzyczeli. Reporterka stacji Kelli Stavast uznała, że jest to: „Dawaj, Brandon!". W rzeczywistości jednak krzyczeli „Pieprzyć Joego Bidena!" (Fuck Joe Biden). Od tego czasu pierwsze, niewinne hasło stało się synonimem tego drugiego. Korzystają z niego nawet politycy. Republikański kongresmen z Karoliny Południowej Jeff Duncan nosił maskę z napisem „Let's Go Brandon" podczas posiedzenia Izby Reprezentantów. Teksański senator Ted Cruz pozował z napisem „Let's Go Brandon" na World Series, czyli meczach finałowych amerykańskiej ligi baseballu. Użył go nawet pilot Southwest Airlines podczas lotu z Houston do Albuquerque, zmuszając linię lotniczą do wystosowania oficjalnych przeprosin.

Demokraci są oburzeni, choć obrażanie prezydentów nie jest niczym nowym w historii USA, a hasła rzucane w ich stronę były w przeszłości zdecydowanie bardziej dosadne. John Quincy Adams uzyskał przydomek „sutener" (pimp), Martin van Buren był nazywany „Martin van Ruin", a Abraham Lincoln „gorylem", nie wspominając o Groverze Clevelandzie, na którego widok protestujący skandowali: „Ma, Ma, Where's my Pa?" (Mamo, mamo, gdzie jest mój tato?), bo krążyły pogłoski, że ma nieślubne dziecko.

NA KRAWĘDZI PORAŻKI

Demokraci zresztą sami rozkręcili podobną kampanię za prezydentury Donalda Trumpa, gdy rozdawali naklejki i rozwieszali banery z napisem „Nie mój prezydent" (Not my president). Oburzenie obozu Bidena zresztą ma przykryć to, co kryje się za oddolną kampanią przeciwko niemu. Jest to rosnące niezadowolenie z powodu inflacji, stagnacji płac, kolejnej fali pandemii COVID-19 i bezrobocia, wyrażające się w spadających notowaniach prezydenta i zwiastujące katastrofę demokratów w wyborach uzupełniających do Kongresu w 2022 r. Jak wynika z sondażu opublikowanego w minioną niedzielę w dzienniku „The Washington Post", tylko 41 proc. Amerykanów pozytywnie ocenia prezydenturę Bidena (w innym sondażu tydzień wcześniej, dla „USA Today", było to 38 proc.). 52 proc. jest przeciwnego zdania. Co gorsza, 51 proc. zadeklarowało, że w wyborach do Kongresu zagłosuje na kandydatów republikanów. O 10 proc. mniej poprze demokratów, a reszta jest niezdecydowana. Ponadto, jak wynika z odrębnego sondażu instytutu Morning-Consult opublikowanego na portalu Politico, 48 proc. amerykańskich wyborców uważa, że Joe Biden nie jest wystarczająco sprawny umysłowo, by sprawować urząd prezydenta, przeciwnego zdania jest 46 proc. Pogłoski o rzekomej demencji gospodarza Białego Domu krążą od dawna, a obrazki pokazujące, jak drzemie na początku listopada podczas konferencji klimatycznej COP26 w Glasgow, tylko podsyciły te spekulacje.

> Jeśli prezydent jakoś dotrwa do końca kadencji, to głównie dzięki temu, że demokraci nie mają innych kart, którymi mogą zagrać, bo „wiceprezydent USA Kamala Harris byłaby jeszcze gorszym wyborem"

Według dziennika „The Boston Herald" demokratów czeka na jesieni przyszłego roku polityczne „trzęsienie ziemi, żeby nie powiedzieć tsunami". „Ale czy ktokolwiek jest zaskoczony? Biden potyka się o własne nogi, nie kontroluje niczego, nawet własnej partii. Po dziesięciu miesiącach rządzenia balansuje na krawędzi porażki" – twierdzi gazeta.

Rzeczywiście, wewnętrzne spory u demokratów storpedowały ambitny program prezydenta. Dwa pakiety ustaw utknęły w Kongresie. Jeden, ten infrastrukturalny, udało mu się w końcu przepchnąć, drugi – klimatyczno-społeczny o nazwie Build Back Better Act – wciąż czeka na głosowanie w Izbie Reprezentantów. Miał on spełnić główne wyborcze obietnice Bidena, ale zderzył się ze sprzeciwem bardziej umiarkowanych demokratów w Kongresie. Po trwających wiele tygodni sporów z 3,5 bln dol. wydatków (m.in. 550 mld dol. na transformację amerykańskiej gospodarki pod kątem ekologii oraz ulgi podatkowe dla rodzin z dziećmi) została zaledwie połowa. Nie ma też pewności, że gdy pakiet przejdzie przez Izbę Reprezentantów i trafi do Senatu, nie utknie tam ponownie. Dwoje senatorów demokratów Joe Manchin i Kyrsten Sinema uważa bowiem, że uchwalenie reformy wpłynie negatywnie na inflację (wydatki mają być finansowane przez

Fot. Alexandros Michailidis / Shutterstock

eprasa.pl 693012e7cd

podwyżkę podatków) oraz rosnący dług publiczny USA. Manchin reprezentuje bogatą w węgiel Wirginię Zachodnią i ani myśli pozwolić na wygaszanie przemysłu węglowego. Demokraci mają tylko 50 na 100 mandatów w izbie wyższej, bitwa o postępowy okręt flagowy demokratów jest więc wciąż daleka od rozstrzygnięcia.

CARYCA GRANICY

Jeszcze przed kłótnią o pieniądze Biden zaliczył wiele spektakularnych błędów i gaf. Było pospieszne i katastrofalne wycofanie wojsk USA z Afganistanu – tylko po to, by udowodnić światu, a przede wszystkim wyborcom, że Biden jest gotów skupić się na innych priorytetach, to znaczy na jednym, czyli Chinach. Bez względu na koszt. Tę porażkę Biden usiłował na dodatek sprzedać jako sukces. Na początku tego roku, kiedy coraz więcej Amerykanów było zaszczepionych, demokraci uwierzyli, że koszmar pandemii COVID-19 jest już za nimi. Biden wskazał 4 lipca (Święto Niepodległości) jako dzień, w którym Amerykanie będą mogli już na dobre wrócić do normalnego życia. Odejście pandemii w niepamięć miało być wielkim sukcesem prezydenta USA.

Ale potem pojawił się wariant delta, liczba zakażeń koronawirusem – oraz zgonów – zaczęła ponownie rosnąć. Do tego doszły inflacja i rosnąca frustracja Amerykanów postępową agendą Partii Demokratycznej. W Wirginii próba zmuszenia rodziców do tego, by godzili się na lekcję krytycznej teorii rasowej oraz toalety przyjazne osobom trans w szkołach, doprowadziła do przegranej demokratów w wyborach na gubernatora. Biden i jego ekipa nie rozwiązali także kryzysu na granicy z Meksykiem, choć była to jedna z głównych obietnic, które złożył podczas swojej kampanii prezydenckiej. Miało być humanitarnie, postępowo, otwarcie. Skończyło się na obozach deportacyjnych, gdzie migranci są przetrzymywani w urągających godności warunkach. W 2020 r. na granicy z Meksykiem schwytano ponad 1,7 mln nielegalnych migrantów. To rekord w historii USA.

Ochrona granic jest oficjalnie zadaniem wiceprezydent Kamali Harris, zwanej złośliwie „carycą granicy", ale nawet sekretarz bezpieczeństwa krajowego Alejandro Mayorkas nie potrafił w rozmowie z dziennikarzami „New York Post" wyjaśnić, jak Harris się wywiązuje z tego zadania i czym się właściwie zajmuje. „Spotkaliśmy się kilka razy" – zaznaczył. Ile razy? Tego jednak nie potrafił powiedzieć ani tego, czego dotyczyły ich rozmowy. Według amerykańskich mediów Harris jest zresztą coraz bardziej odsuwana na bok przez ekipę Bidena. W ostatnim czasie to nie ona, ale sekretarz stanu Antony Blinken prowadzi negocjacje z Meksykiem czy Gwatemalą w sprawie nielegalnej migracji. Harris jest wysyłana do wyborców na prowincji, na pierwszy ogień. To na niej ma się skanalizować gniew Amerykanów, który powoduje, że Biden dołuje w sondażach. Harris okazała się zresztą bardziej niż przeciętnym, a zarazem nad wyraz aroganckim politykiem. W rozmowie z prezenterem NBC Lesliem Holtem porównała wizytę na granicy z Meksykiem do podróży do Europy. „Tam też nie byłam, i co z tego?" – zapytała.

JAK JIMMY CARTER?

W skrócie: demokraci stoją przed perspektywą nieudanej prezydentury, zaledwie rok po jej rozpoczęciu. Biden także jest tego świadomy. Chcąc przekonać demokratów do poparcia Bulid Back Better Act w Kongresie, dawał im do zrozumienia, że jego prezydentura „od tego zależy". Jak przekonuje amerykański „Newsweek", uchwalenie pakietu legislacyjnego dawałoby Bidenowi szanse na odbudowę nadszarpniętego wizerunku przed wyborami uzupełniającymi do Kongresu planowanymi na przyszłą jesień. Przepchnąć ustawy, zacząć wypłacać zasiłki i może nie będzie tak źle. W końcu ponad połowa Amerykanów (53 proc.) popiera zawarte w pakiecie świadczenia socjalne oraz działania klimatyczne. Jeśli demokraci mieliby przegrać te wybory i stracić Kongres na rzecz republikanów, byłaby to zresztą ostatnia ambitna legislacja, którą Bidenowi udałoby się przepchnąć. Dlatego jest mu tak spieszno.

W tle majaczy widmo odwetu za impeachment Trumpa. Partia Republikańska mogłaby postawić Bidena w stan oskarżenia z powodu klęski w Afganistanie lub fatalnego zarządzania kryzysem na granicy. Sam Trump też nie próżnuje i już teraz prowadzi kampanię przed wyborami prezydenckimi w 2024 r. Jest to duże obciążenie dla Bidena, bez względu na to, czy były prezydent ostatecznie w nich wystartuje, czy nie. Niektóre media za oceanem porównują Bidena do innego demokratycznego prezydenta – Jimmy'ego Cartera, który rządził tylko jedna kadencję i wsławił się nieudaną próbą ratowania amerykańskich zakładników w Iranie w 1980 r. Biden może skończyć podobnie, bo ma 79 lat i jest bardziej niż wątpliwe, czy będzie ponownie startował w 2024 r.

„Najlepszym argumentem za prezydenturą Bidena było to, że mógłby być swego rodzaju arbitrem – skromnym, spokojnym politykiem, przywracającym Amerykanom poczucie normalności w chwili wyjścia z pandemii. Zamiast tego wykazał się brakiem kompetencji, jak w przypadku Afganistanu, i dał się sterroryzować lewicowemu skrzydłu demokratów, co skłoniło go do podjęcia próby przepchnięcia prawie całości postępowej agendy partii przez Kongres w mniej niż rok. Nie na to głosowali Amerykanie, oddając przy urnach głos na Bidena" – czytamy na łamach „Boston Herald". Zdaniem gazety „Amerykanie albo wzmocnią, albo obalą tę prezydenturę na przestrzeni najbliższych 12 miesięcy". A jeśli prezydent jakoś dotrwa do końca kadencji, to głównie dzięki temu, że demokraci nie mają innych kart, którymi mogą zagrać, bo „wiceprezydent USA Kamala Harris byłaby jeszcze gorszym wyborem". Dlatego uporczywie utrzymują się pogłoski, że demokraci w prawyborach w 2024 r. postawią na obecnego sekretarza transportu Pete'a Buttigiega, zamiast na Harris. Według „New York Post" relacja Bidena z wiceprezydent jest „wysoce dysfunkcyjna", a demokraci uważają, że jej zdolności przywódcze są żadne. „Byliśmy przekonani, że Harris podejmie kroki, by poprawić los migrantów na granicy, ale ona po prostu zniknęła" – zaznaczył Fernando García, dyrektor Granicznej Sieci na rzecz Praw Człowieka (Border Network for Human Rights) w rozmowie z CNN.

Reklama | 69/0821/F

eprasa.pl 693012e7cd

KGHM POLSKA MIEDŹ

Wierzymy, że przyszłość jest z miedzi! Miedź jest trwała, odporna na rdzę, doskonale przewodzi ciepło i elektryczność. To surowiec niezbędny w fotowoltaice, energetyce wiatrowej, przemyśle motoryzacyjnym, medycynie oraz innych gałęziach nowoczesnego przemysłu. KGHM to Odkrywca – Gigant – Wizjoner. Działalność wydobywczą i przetwórczą prowadzimy od 60 lat, będąc w niej globalnym liderem. Z pasją i wizją budujemy potęgę KGHM na całym świecie.

eprasa.pl 693012e7cd

Europa błądzi

Uważam Polskę za odważnego przywódcę wielu partii, państw i ruchów, które sprzeciwiają się sowietyzacji Unii Europejskiej

Według lewicowo-liberalnego tygodnika „Globus" Ivica Šola, posiadający wyraźnie konserwatywne poglądy, należy do najbardziej wpływowych osób w Chorwacji, czyli takich, które „zmieniają chorwackie społeczeństwo"

Fot. Emica Elvedji/CROPIX

Z Ivicą Šolą, teologiem, profesorem uniwersyteckim, publicystą, jednym z najbardziej wpływowych chorwackich intelektualistów, rozmawia Goran Andrijanić

Podpisał pan list otwarty poparcia dla Polski, która obecnie walczy z falą nielegalnej imigracji, a jednocześnie toczy prawdziwą walkę polityczną z instytucjami Unii Europejskiej. Co pana do tego skłoniło?

Ivica Šola: Odpowiadając na pana pytanie, chciałbym przytoczyć jedno zapomniane, ale ważne stwierdzenie postaci, która była kluczowa w UE przez wiele lat. Angela Merkel w swoim pożegnalnym przemówieniu do chadeckiej Fundacji Konrada Adenauera dała jasno do zrozumienia, że Unia powinna być budowana na zasadzie „doktryny ograniczonej suwerenności", którą zresztą Breżniew stworzył na przykładzie ZSRR. Właśnie to jest dziś źródłem konfliktu i wojny politycznej między Warszawą a Brukselą. Natomiast nie chodzi tylko o ten konflikt, lecz o koncepcję przyszłej UE. Będzie ona albo superpaństwem podtrzymywanym na wzór sowieckiej teorii „ograniczonej suwerenności", albo wspólnotą suwerennych narodów opartą na zasadzie pomocniczości.

Ponadto mamy tutaj problem podwójnych standardów. Mianowicie Polska i jej Trybunał Konstytucyjny robią dokładnie to, co kilkakrotnie zrobiły Niemcy, kiedy Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe orzekł, że

eprasa.pl 693012e7cd

Trybunał Sprawiedliwości UE nie stoi ponad konstytucją Niemiec. Wygląda więc na to, że co wolno Jowiszowi, tego nie wolno wołowi.

Dlatego George Friedman konstatuje, że w dzisiejszej polityce nie ma sensu mówić o konflikcie spowodowanym podziałem liberałowie – konserwatyści czy lewica – prawica, ale jedynym prawdziwym podziałem, który wypłynął zwłaszcza po Trumpie i brexicie, czyli konflikcie internacjonalistów i nacjonalistów. Dzisiaj słowo „nacjonalizm" jest niepopularne i preferowane jest określenie „suwerenność", ponieważ pod koniec II wojny światowej nacjonalizm był uważany za przyczynę wszelkiego zła. Właśnie dlatego jako kontrapunkt zaczęły się masowo pojawiać instytucje internacjonalistyczne: Organizacja Narodów Zjednoczonych, Bank Światowy, MFW, Unia Europejska... Wraz z upadkiem muru berlińskiego internacjonaliści i globaliści stali się bardziej aktywni w usuwaniu granic, tożsamości kulturowych, wymazywaniu państw narodowych, twierdzeniu, że liberalizm czy neoliberalizm nie mają alternatywy, że to koniec historii... Kryzys z 2008 r. skonfrontował ich ze wszystkimi okropnościami ich globalistycznego projektu, z którego jednak nie rezygnują. Uważam, że nacjonalizm kolonialny i internacjonalizm to jedno i to samo – imperializm, zniewolenie.

Niestety, wielu dzisiaj automatycznie utożsamia nacjonalizm z nazizmem lub faszyzmem. Jednak Thomas Sandkühler, biograf Hitlera, w 2002 r. ostrzegał, że Hitler nie był obrońcą nacjonalizmu, wręcz przeciwnie, był przeciwnikiem państwa narodowego, które postrzegał jako regres niemieckiego historycznego dziedzictwa imperialnego. Dlatego wyobrażał sobie III Rzeszę jako odbudowę pierwszego uniwersalnego imperium pod dominacją niemiecką.

Powiem jeszcze raz – to, co się dzieje, nie jest konfliktem między Polską a Brukselą, to jest konflikt o wizję przyszłości Europy. Dlatego, na podstawie tego, co powiedziałem dotychczas, uważam Polskę za odważnego przywódcę wielu partii, państw i ruchów, które sprzeciwiają się sowietyzacji Unii Europejskiej. Wynik jest niepewny...

Bruksela wydaje się deklaratywnie wspierać Polskę i kraje bałtyckie w wojnie hybrydowej toczonej na wschodnich granicach Unii. Jak ocenia pan to wsparcie w świetle dotychczasowej polityki migracyjnej UE?

„Ci głupi nacjonaliści są zakochani w swoich krajach. Nie lubią tych, którzy przychodzą z daleka. A ja kocham tych, którzy przychodzą z daleka". Te słowa wypowiedział Jean-Claude Juncker przed ostatnimi wyborami europejskimi. Juncker nazwał „głupimi nacjonalistami" wszystkich tych, którzy stawiali fizyczne bariery przed nielegalną masową migracją jeszcze w 2015 r., nie godząc się na „willkommenskultur" Angeli Merkel. A teraz ci, których kiedyś obrażał Juncker, między nimi są Polacy, stają się wzorem do naśladowania w sprawie nielegalnych, masowych migracji. Ich stanowisko jest teraz popierane zarówno przez Berlin, jak i Brukselę. Teraz nawet rzecznik Merkel to, co robią Putin i Łukaszenka, nazywa „wojną hybrydową".

Co jest powodem tej zmiany?

Myślę, że ważna była presja własnych obywateli i ogromne obciążenie państwa opiekuńczego. Oczywiście swoją rolę odegrała też fala terroryzmu w europejskich stolicach. Nawiasem mówiąc, instrumentalizacja ludzi i masowej migracji jako broni na przestrzeni dziejów została doskonale przeanalizowana przez amerykańską politolog Kelly Greenhill w jej książce „Weapons of Mass Migration". Jednak nawet tutaj Europa i Niemcy przyjęły podwójne standardy. Np. prezydent Turcji Erdoğan od dawna używa masowej migracji jako broni do destabilizacji Unii, a my wciąż płacimy mu za tę rakietę.

Ponadto, w tym samym czasie kiedy wspierają Polaków na granicach UE, niemieckie organizacje pozarządowe, również finansowane przez fundacje niemieckich partii politycznych, codziennie przywożą na swoich statkach setki nielegalnych migrantów na terytorium Włoch i Europy. Czy to, co robią niemieckie organizacje pozarządowe, jest również „wojną hybrydową", by zdestabilizować Unię? Widzimy więc, że również Europa błądzi i posługuje się podwójnymi standardami, zamiast natychmiast zaakceptować argumenty tych, jak ich opisują, „głupich nacjonalistów", przeciwko nielegalnej masowej migracji.

Jako chrześcijanin nie mam problemu z humanitarnym traktowaniem osoby w potrzebie bez względu na rasę, narodowość, religię, kolor skóry. Wręcz przeciwnie, przyjmę ją do mojego domu, oddam swoje łóżko i położę się na podłodze. Ale dziś nie mamy do czynienia z taką sytuacją. To, co się dzieje, jest bezsensownym wykorzystywaniem, instrumentalizacją ludzi, masowej migracji w kontekście gier geopolitycznych i destabilizacji Europy.

Polski rząd powtarza, że nie ulegnie naciskom – ani tym ze Wschodu, ani tym z Brukseli.

Jasne, bo Polacy, przez wieki wciśnięci między agresywne Prusy i Rosję, płacili za swoją tożsamość najwyższą cenę, aby wyrzec się tego wszystkiego na rzecz Europy jako superpaństwa, i to w kontekście „teorii ograniczonej suwerenności" Leonida Breżniewa czy Angeli Merkel. Europa już kilkakrotnie zmieniała wewnętrzne zasady gry, więc dlaczego nie miałaby tego zrobić po raz kolejny? Nie jestem zwolennikiem polexitu, italexitu ani frexitu... ale jestem za możliwym przedefiniowaniem zasad wywodzących się z porządku westfalskiego. Musimy jasno i precyzyjnie, jako wspólnota suwerennych narodów, zdefiniować, kto ma jakie możliwości i kompetencje. „Głupi nacjonaliści" na pewno nie będą nierozsądni ani niekonstruktywni, zwłaszcza naród tak poważny i odpowiedzialny jak Polacy. Natomiast trochę się boję wysokiej ceny tej walki.

Polski filozof i europoseł Ryszard Legutko ostrzega przed ograniczaniem przestrzeni dla prawdziwego pluralizmu w instytucjach europejskich. Czy zgadza się pan z nim?

Sam Legutko, którego książkę „Triumf człowieka pospolitego" przedstawiłem chorwackiej opinii publicznej jeszcze przed jej tłumaczeniem na język chorwacki, nakreślił ciekawe porównanie między komunizmem a liberalizmem. Moim zdaniem kryje się tutaj możliwa

eprasa.pl 693012e7cd

odpowiedź na brak pluralizmu, o którym mowa jest w książce. Oba systemy, a mówię o UE i ZSRR, rozumiane są jako największe eksperymenty modernizacji w historii. Jeden jest utożsamiony z komunizmem, drugi z liberalną demokracją. Oba systemy są przeciwne temu, co stare i popierają to, co nowe. Oba systemy znajdują swoją legitymizację w przezwyciężaniu przeszłości. Ten fenomen w liberalnej demokracji eskalował z kulturą anulowania (przypomnijcie sobie, jak Stalin wymazał Trockiego z ich wspólnego zdjęcia). Przeszłość jest postrzegana z podejrzliwością i niedocenianiem. Kiedy dychotomia nowe-stare zostaje zaszczepiona w świadomości zbiorowej, dotyczy ona nie tylko technologii, ale całego środowiska społecznego, kultury, moralności, a nawet kwestii aborcji, edukacji, sztuki, uniwersytetów. Kto nie funkcjonuje w tym komunistycznym czy liberalno-demokratycznym „głównym nurcie", jest opisany przez oba systemy jak retrogradywny, zacofany, bywa karany lub potępiany, jak dzisiaj Polacy. Autocenzura jest logiczną konsekwencją tego wszystkiego, a polityczna poprawność zastąpiła to, co w komunizmie kiedyś robiła cenzura. Szkoda, że ten proces uderza przede wszystkim w uniwersytety i media, a potem przenika do głowy każdego człowieka i staje się dominującą mentalnością. To nie jest dobre.

Moskiewskie przemówienie sekretarza ds. relacji z państwami w Sekretariacie Stolicy Apostolskiej abp. Paula Gallaghera odbiło się w Polsce negatywnie. Pośrednio skrytykował polski rząd za „niedostateczne zaangażowanie" w sprawy uchodźców i nie powiedział ani słowa o kontekście wojny hybrydowej przeciwko Polsce.

Papież Franciszek oraz jego najbliżsi współpracownicy widzą migrację przez pryzmat Ewangelii. I to jest w porządku. Ale Ewangelia nie jest programem migracyjnym, lecz głoszeniem zbawienia – i tu właśnie następuje mieszanie wiary i polityki. Jest to kwestia upolitycznienia Ewangelii, jak w przypadku teologii wyzwolenia Ameryki Łacińskiej, przed którą ostro ostrzegali zarówno Jan Paweł II, jak i kardynał Ratzinger.

Polityka migracyjna jest domeną każdego państwa. Kiedy rozmawiałem na ten temat z jednym z byłych nuncjuszy w Chorwacji, zganił również nas, Chorwatów. Ponieważ nuncjusz jest dyplomatą, powiedziałem mu, że łamie konwencję wiedeńską. Powiedziałem mu też, że jako student rzymski wiem, iż Watykan ma dużo nieruchomości, które teraz wynajmuje, więc niech pokaże Ewangelię w akcji przez swój przykład. Ogólnie rzecz biorąc, ten papież, którego głęboko szanuję jako katolik, ma bardzo bezkrytyczny stosunek do Moskwy i prawosławia. Doświadczyliśmy w Chorwacji, jak w niektórych sytuacjach prawosławie legitymizuje politykę ekspansjonistyczną. Papież, niestety, niewiele wie o Europie, a tym bardziej o prawosławiu, dla którego ekumenizm jest herezją.

> Karol Wojtyła patrzy na to wszystko z góry. Karol, który podobnie jak swoją Polskę kocha i Europę, która musi oddychać obydwoma płucami, jak często powtarzał

Coś podobnego Watykan zrobił Chorwatom, kiedy wstrzymał kanonizację kard. Alojzego Stepinaca po interwencji serbskiej Cerkwi Prawosławnej, z powodu fałszywych oskarżeń o współpracę kardynała z faszystami.

W tym sensie doskonale rozumiem Polaków, bo katolikom w Chorwacji jest też trudno, kiedy papież i jego najbliżsi kosztem Stepinaca ocieplają swoją relacje z Belgradem, tak samo jak kosztem Polaków ocieplają relacje z Moskwą. Ale modlimy się za papieża, on jest gwarantem jedności Kościoła, więc czasami musimy „połknąć jakąś żabę" z Watykanu.

Często staram się tłumaczyć Polakom nasz chorwacki związek ze św. Janem Pawłem II. Wydaje mi się, że pielęgnujemy wobec niego szczególną wdzięczność, która może zbliżyć nasze narody.

Związek między narodem chorwackim i polskim sięga znacznie głębiej niż przybycie Jana Pawła II na stolicę Piotra. Mamy podobną przeszłość, którą stworzyliśmy w mękach i krwi naszych państw otoczonych przez siły imperialne. Mieliśmy też przeciw sobie imperium osmańskie, któremu wielki polski syn Jan Sobieski, nazywany przez Turków „polskim lwem", zadał decydujący cios pod Wiedniem, broniąc Europy. Św. Jan Paweł II, jako jedna z najwybitniejszych postaci XX w., jest przede wszystkim świadkiem i człowiekiem wiary, a potem intelektualnym gigantem, rozumiejącym procesy kulturowe oraz polityczne Europy i świata.

Jego zaangażowanie na rzecz prawa Chorwatów do ich państwa we wspólnocie równych narodów europejskich pozostawiło głęboki ślad wdzięczności w chorwackim narodzie, niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący, czy nie. Bo wtedy byliśmy sami, mieliśmy tylko Wojtyłę i co prawda wielkiego kanclerza Niemiec Helmuta Kohla.

Dlatego dziś Polacy, ściśnięci ze wszystkich stron, w walce o Europę wspólnoty suwerennych narodów, nie są sami, choć się tak wydaje. Pozwolę sobie na trochę patosu i powiem, że Karol Wojtyła patrzy na to wszystko z góry. Karol, który podobnie jak swoją Polskę kocha i Europę, która musi oddychać obydwoma płucami, jak często powtarzał. Europę, która będzie szanować specyfikę, etos i nomos każdego ze swoich państw członkowskich w jedności różnorodności, a nie Europę ideologiczną czy jakiejkolwiek innej homogenizacji. Niestety, kiedy czytam włoską prasę katolicką, widzę, że istnieje znaczna liczba katolików opowiadających się za federalizacją Europy. Czeka nas trudny oraz złożony proces. Mam nadzieję, że Polska będzie miała w Chorwacji sojusznika w tej walce.

eprasa.pl 693012e7cd

W najnowszej premierze Teatru Telewizji to Katarzyna Ucherska zagrała Balladynę. Jak sama mówi, wzleciała bardzo wysoko. I znalazła się w gronie znakomitych dam polskiej sceny, które wcielały się w najbardziej mroczną i krwawą bohaterkę dramatów Juliusza Słowackiego

Na maliny

Fot. Baranowski/AKPA

eprasa.pl 693012e7cd

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Balladyna"

Gdyby zestawić nazwiska odtwórczyń najbardziej mrocznej i krwawej bohaterki dramatów Juliusza Słowackiego, powstałaby imponująca lista. Nie tylko wybitnych aktorek, ale też silnych scenicznych osobowości. Co ciekawe, nie ma na niej Heleny Modrzejewskiej, choć od czasu lwowskiej prapremiery „Balladyny" 7 marca 1862 r., gdzie odtwarzała postać Skierki, bardzo się o tę rolę starała.

Nie udało się w 1868 r. w Krakowie. Tu tytułową postać zagrała Antonina Hoffmann. Ani w pierwszym warszawskim wystawieniu, które z powodu zarzutów cenzury, że „w tej sztuce chodzi o kradzież korony polskiej!", odbyło się dopiero w 1907 r. Tym razem ubiegła Modrzejewską Stanisława Wysocka i był to początek wielkiej kariery tej aktorki.

SYMPATYCZNA DZIEWCZYNA

Wśród dam sceny, wcielających się w Balladynę, były też m.in. Wanda Siemaszkowa, Irena Eichlerówna, Zofia Jaroszewska, Halina Gryglaszewska, Izabella Olszewska, Zofia Rysiówna, Nina Andrycz, Zofia Kucówna, Wanda Stanisławska-Lothe, Teresa Lipowska, Anna Chodakowska (w najsłynniejszej inscenizacji Adama Hanuszkiewicza z 1974 r., w której Bożena Dykiel jako Goplana wjeżdżała na scenę na hondzie), Krystyna Janda (w spektaklu telewizyjnym Olgi Lipińskiej), Edyta Jungowska czy Wiktoria Gorodecka.

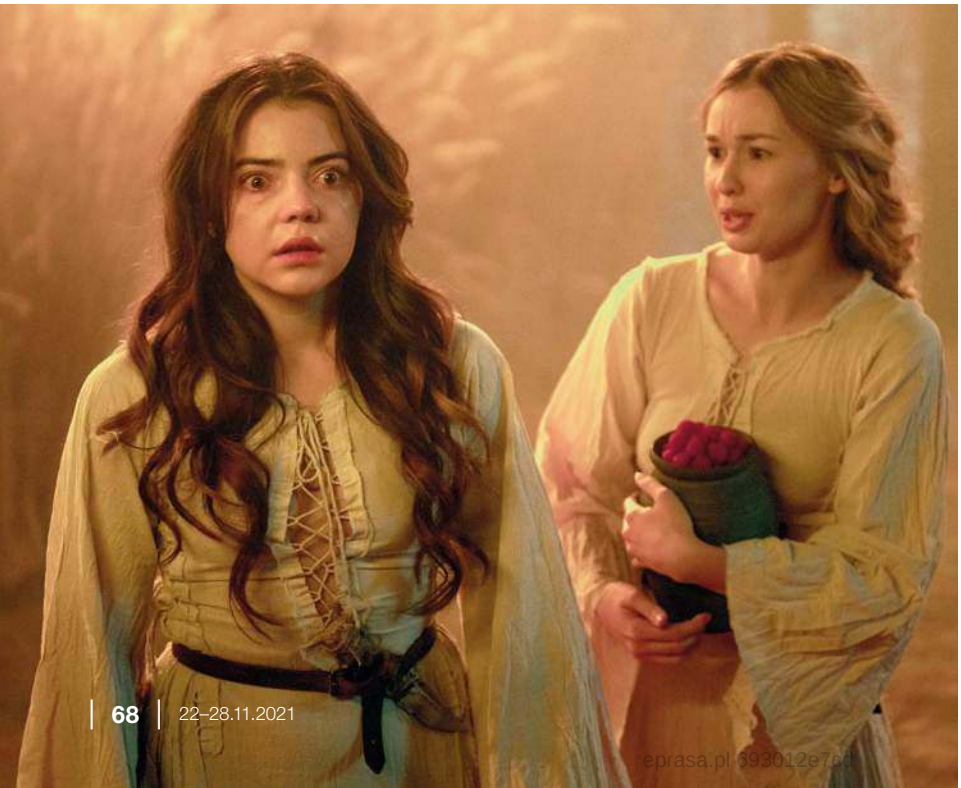

Lista robi wrażenie. Czy dołączy do niej Katarzyna Ucherska? Jak odnajdzie się w opowieści o krwawej zbrodni, namiętności i pożądaniu władzy dziewczyna, która telewidzom zupełnie nie kojarzy się z pasją i okrucieństwem? Absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej (2016), aktorka stołecznego Teatru Ateneum, która serca telewidzów podbiła rolą Olyi w reżyserowanym przez Wojciecha Adamczyka serialu „Dziewczyny ze Lwowa" (2015–2019), a teraz gra prawniczkę, asystentkę jednego z tytułowych serialowych „Tatuśków"?

Na małym ekranie Ucherska wyspecjalizowała się w rolach sympatycznych, nieco wycofanych dziewcząt i młodych kobiet. Za to do Teatru Ateneum dołączyła w styczniu 2016 r. z wyróżnieniem za rolę... Stalina w spektaklu „Mistrz i Małgorzata" w reż. Waldemara Raźniaka na XXXIII Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi, 2015). W bieżącym repertuarze również można ją zobaczyć w rolach odbiegających od telewizyjnego wizerunku – w spektaklach „Don Juan albo kamienna uczta" w reż. Mikołaja Grabowskiego i „Trans-Atlantyk" w reż. Artura Tyszkiewicza.

eprasa.pl 993012e7cd

„Dziewczyny ze Lwowa"

RÓB, CO KOCHASZ

Dziecięce spojrzenie wielkich oczu może zmylić. Podobnie jak jej serialowe role. Tymczasem pochodząca z Nowego Sącza Katarzyna Ucherska (rocznik 1992) wydaje się doskonale wiedzieć, dlaczego trafiła przed kamery i na scenę.

Do aktorstwa dochodziła własnymi ścieżkami, zaczynając od zajęć w Miejskim Ośrodku Kultury. Jej starsza dwa i pół roku siostra została logopedą. Rodzice, również niezwiązani ze sztuką, obserwując jej pasję, powtarzali: „Rób to, co kochasz, a my zawsze będziemy cię wspierać". Na małym ekranie debiutowała tuż po pierwszym roku studiów. W „Klanie" jej serialowym ojcem był Daniel Olbrychski. Na planie „Dziewczyn ze Lwowa" wiele scen jeden na jeden grała z Martą Lipińską. W teatrze spotkała m.in. Piotra Fronczewskiego. To u jego boku występowała w wędrującym po Polsce spektaklu „Edukacja Rity".

GRAWITACJO, POMÓŻ!

Przy okazji „Dziewczyn ze Lwowa", wspominając kolejne relacje mistrz–uczennica, jakie przynosił jej los, podkreślała: – Jestem szczęściarą. Po zakończeniu zdjęć do „Balladyny" [tu szansę dał jej mistrz reżyser Wojciech Adamczyk], pisała na Facebooku: „Od września gdzieś wysoko. Strasznie wysoko milion feet nad ziemią i tylko oczy moich doskonałych partnerów [...]... i głos kontrolera lotów, mojego reżysera. I Juliusz Słowacki, mój pierwszy oficer. Jak teraz wylądować? Ile jeszcze kręgów nadlotniskowych mam wykręcić? Grawitacjo, pomóż!".

Na planie telewizyjnej adaptacji „Balladyny" towarzyszyli Katarzynie Ucherskiej m.in.: Paulina Szostak (jako Alina), Dorota Chotecka (Wdowa), Lidia Sadowa (Goplana), Sławomir Grzymkowski (Skierka), Wojciech Brzezinski (Chochlik), Grzegorz Daukszewicz (Grabiec), Kacper Matula (Filon), Stanisław Brejdygant (Pustelnik), Adrian Zaremba (Kirkor), Modest Ruciński (Kostryn), Krzysztof Gosztyła (Kanclerz). Autorem zdjęć był Łukasz Łasica, scenografii – Marek Chowaniec, kostiumów – Katarzyna Adamczyk, muzyki – Piotr Salaber.

Emisja spektaklu – TVP 1, poniedziałek, 22 listopada o godz. 21.

Polskie trio i amerykański gość

Adam Ciesielski

Trio Marcina Wasilewskiego, najbardziej znany dziś nasz zespół jazzowy, koncertami w Warszawie, Poznaniu, Szczecinie, Gdańsku, Krakowie i Katowicach zwieńczyło europejską trasę promującą album „Arctic Riff", zrealizowany z amerykańskim saksofonistą Joem Lovano.

Z powodu pandemii tournée odbyło się z ponad rocznym poślizgiem, bo nagrań dla ECM pod okiem samego Manfreda Eichera w Studios La Buissonne nieopodal Awinionu dokonano w sierpniu 2019 r., a premierę płyta miała latem 2020 r. Album zdążył już zebrać wiele pochlebnych opinii. Jak najsłuszniejszych. Energię i pomysłowość improwizacyjną Lovano, jednego z najwybitniejszych tenorzystów jazzowych, eksponuje wyrafinowana i delikatna stylistyka polskich partnerów. Efekt, zwłaszcza przy dwóch odmiennych interpretacjach legendarnej kompozycji Carli Bley „Vashkar", ale także w takich tematach jak „Arco" czy „A Glimpse", jest rewelacyjny. Chciałoby się ciągu dalszego.

Mniejszą już siłę rażenia ma zarejestrowana niemal jednocześnie w tym samym francuskim studiu druga, samodzielna już płyta polskiego tria, „En Attendant". M.in. z jeszcze jedną interpretacją tematu „Vashkar" Carli Bley i 25 Wariacją Goldbergowską Jana Sebastiana Bacha. Zespół Wasilewskiego nie przepuszcza też okazji do praktykowanych od dawna wycieczek w stronę klasyki rocka. Tym razem mierzy się z „Riders of the Storm" The Doors. Klimat niezwykłego utworu nie przestaje intrygować, choć jest tu zaskakująco stonowany. Jakże ożywiłoby go wsparcie saksofonu Joego Lovano.

Marcin Wasilewski Trio & Joe Lovano „Arctic Riff"

Marcin Wasilewski Trio „En Attendant" Wyd. ECM/Universal

eprasa.pl 693012e7cd

Darmowy listopad w Zamku Królewskim w Warszawie

Zamek Królewski w Warszawie to jeden z najbardziej rozpoznawanych obiektów w Polsce. Tak jak nasza ojczyzna: niszczony wielokrotnie na przestrzeni wieków, powstawał jak feniks z popiołów

To w jego gmachu kształtował się polski parlamentaryzm i podpisano Konstytucję 3 maja. Dawna rezydencja królów była później siedzibą Sejmu Rzeczypospolitej oraz najwyższych władz państwowych II RP.

Jednak Zamek to nie tylko świadek historii i symbol polskiego patriotyzmu, lecz również niezwykle aktywne muzeum, ośrodek kultury, sztuki i nauki. Historyczne wnętrza wypełniają niezwykłe arcydzieła: obrazy Rembrandta, Canaletta, Bacciarellego czy Matejki, kolekcje rzeźby André Le Bruna i Giacomo Monaldiego, przestrzenie autorstwa Dominika Merliniego, Jana Chrystiana Kamsetzera czy Jakuba Fontany. Na czasowych wystawach goszczą również inni mistrzowie: Guido Reni, Lorenzo Lotto, Caravaggio czy Rubens.

Lata 2021–2024 to czas jubileuszu 50-lecia odbudowy Zamku. To doskonała okazja, aby przywołać emocje sprzed lat, atmosferę społecznego zaangażowania oraz ofiarności, która przekroczyła wszelkie oczekiwania. To dzięki nim kolejne pokolenia mogą zwiedzać królewskie apartamenty, podziwiać coraz więcej odzyskiwanych dzieł sztuki zamkowej kolekcji.

– Z jednej strony mamy obowiązek dotarcia do szerokiej publiczności, a z drugiej strony tworzenia wyrafinowanej, różnorodnej i atrakcyjnej kolekcji. Dlatego Zamek kupuje dzieła sztuki, stara się nasycić wnętrza historyczne nowymi obiektami, a z drugiej strony na parterze, w galerii obrazów, pokazuje najlepsze dzieła sztuki z głównego nurtu europejskiego. Obok naszych Rembrandtów są piękne flamandzkie płótna z XVI w. i holenderskie z XVII w. To są również dzieła sztuki, które były kiedyś w kolekcji zamkowej, zgromadzonej najpierw przez Władysława IV Wazę, a później przez Stanisława Augusta Poniatowskiego. Staramy się tę kolekcję królewską odtworzyć – mówi prof. dr hab. Wojciech Fałkowski, dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie.

Funkcje muzealne Zamek Królewski pełnił już w dwudziestoleciu międzywojennym. Na mocy traktatu ryskiego z 1921 r. do Zamku Królewskiego powróciło ponad 2 tys. dzieł sztuki. Lata 20. i 30. XX w. to czas przywracania apartamentom Wielkiemu i Królewskiemu wyglądu z czasów doby stanisławowskiej, w dużej mierze poprzez ponowne wkomponowanie w ich przestrzeń rewindykowanych obrazów, rzeźb, mebli i innych dzieł sztuk zdobniczych.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 49/1121/F

eprasa.pl 693012e7cd

We wrześniu 1939 r. wskutek bombardowań lotniczych i ostrzału artyleryjskiego Zamek został doszczętnie zniszczony. W 1971 r. podjęto decyzję o odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie, a uroczyste udostępnienie obiektu publiczności nastąpiło 31 sierpnia 1984 r.

Restytuowany Zamek jest wybitnym dziełem konserwatorskim – nie w pełni autentycznym, jednak całkowicie wiarygodnym – zgodnie z konserwatorską maksymą conservare est novam vitam dare (konserwacja jest dawaniem nowego życia). Z tej przyczyny został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Choć zawiera elementy pochodzące z epok wcześniejszych, jego zasadnicza bryła jest dziełem wczesnego baroku i nadaje mu charakter pałacu miejskiego poprzez odpowiednio wyważone proporcje i akcenty architektoniczne, ściśle związane z panoramą Warszawy.

„Darmowy listopad w rezydencjach królewskich 2021" to jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych organizowanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w celu promocji muzeów rezydencji polskich monarchów.

W ramach tegorocznej akcji został zaprezentowany jedyny z zachowanych oryginalnych orłów tworzących dekorację hafciarską ozdabiającą zaplecek królewskiego tronu. 85 pozostałych orłów, wyszywanych srebrną nicią, zaginęło podczas II wojny światowej. Ich poszukiwania rozpoczęto wraz z decyzją o odbudowie Zamku Królewskiego. Niestety, na terenie kraju – bezskuteczne. Dopiero dzięki apelom w prasie polonijnej udało się dotrzeć do Polaka mieszkającego w Stanach Zjednoczonych, w którego zbiorach znajdował się orzeł pochodzący – według rodzinnych opowieści – z zamkowej Sali Tronowej. Orzeł został odkupiony przez innego przedstawiciela Polonii amerykańskiej – Zygmunta Nagórskiego – i przekazany w darze odbudowanemu Zamkowi Królewskiemu. W październiku 1991 r., po 52 latach, orzeł powrócił na Zamek i stał się bazą rekonstrukcji całej dekoracji hafciarskiej w Sali Tronowej.

Równie niezwykłą historię mają zamkowe arcydzieła Rembrandta: „Dziewczyna w ramie obrazu" oraz „Uczony przy pulpicie". Oba dzieła zostały wykonane w 1641 r. i od początku stanowiły niezmiernie rzadko rozdzielaną parę. Figurowały w znamienitych prywatnych kolekcjach w Amsterdamie i Berlinie, nim w 1777 r. zakupił je król Stanisław August. Po śmierci króla dzieła odziedziczył jego bratanek – ks. Józef Poniatowski, który szybko rozpoczął wyprzedaż kolekcji. Kolejnym nabywcą prac wielkiego Holendra został Kazimierz Rzewuski, królewski szambelan, a później obrazy na długie lata trafiły w ręce rodziny Lanckorońskich. Podczas wojny zostały zarekwirowane przez gestapo i wywiezione do kopalni soli w okolicy Altaussee koło Salzburga. Stamtąd z kolei przejęte przez armię amerykańską na krótko trafiły do Monachium, by na przełomie 1945 i 1946 r. powrócić do Austrii. Gdy w 1947 r. Antoniemu Lanckorońskiemu udało się odzyskać własność rodziny, Rembrandty zostały zdeponowane w sejfie szwajcarskiego banku – niedostępne zarówno dla oczu widzów, jak i badaczy. Uznawano je wówczas za zaginione. Dopiero w 1994 r. spadkobierczyni rodu prof. Karolina Lanckorońska zdecydowała się przekazać dzieła wraz z resztą rodzinnej kolekcji na własność Zamkowi Królewskiemu w Warszawie, gdzie do dziś stanowią element stałej ekspozycji. Wraz z trzecim obrazem Rembrandta pt. „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem", znajdującym się w zbiorach Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie, są to najwybitniejsze przykłady malarstwa barokowego, jakie można obejrzeć w Polsce.

Tej jesieni w Zamku Królewskim w Warszawie zagościła wystawa „Caravaggio i inni mistrzowie". Arcydzieła z kolekcji Roberta Longhiego. Ponad 40 płócien artystów z Włoch i Europy Północnej XVI i XVII w., w tym obraz „Chłopiec gryziony przez jaszczurkę" pędzla Michelangela Merisiego będzie można oglądać do lutego 2022 r. Do wystawy dołączyło kolejne dzieło mistrza Caravaggia „Narcyz przy źródle" – pokaz specjalny obrazu z Palazzo Barberini w Rzymie. Rozpoczyna on cykl prezentacji arcydzieł sztuki w Zamku, kolejne już w najbliższym czasie.

W ramach akcji „Darmowy listopad" przez cały miesiąc można bezpłatnie odwiedzić historyczne apartamenty króla Stanisława Augusta, Salę Senatorską oraz Pokoje Królewiczowskie z dziełami Jana Matejki – najsłynniejszymi obrazami wielkoformatowymi: „Konstytucja 3 maja 1791 roku", „Rejtan – upadek Polski", „Kazanie Skargi" i „Stefan Batory pod Pskowem", oraz 12 szkicami z serii „Dzieje cywilizacji w Polsce".

Więcej informacji o bieżącej ofercie Zamku na stronie: https://www.zamek-krolewski.pl/

eprasa.pl 693012e7cd

ROBERT TEKIELI

3 MIŁOŚCI

Spinizm i piaryzm

Ponieważ współczesna kultura wytrzebiona jest z realistycznych kryteriów prawdy, dobra i piękna, większość ludzi Zachodu kieruje się popędami i zyskiem. Media postnowożytnego świata dostosowują się do tej sytuacji. Przestają informować i snują subiektywne opowieści o świecie. Po telewizjach i rozgłośniach radiowych przewalają się tabuny zatrudnianych przez partie spin doktorów udających ekspertów. Chwilę potem siadają przed mikrofonami i kamerami specjaliści public relations, wynajęci przez koncerny. Zacierana jest granica pomiędzy informacją i publicystyką a reklamą, propagandą i public relations. Spin doktorzy i piarowcy oblegają stacje informacyjne i zniekształcają obraz świata swymi prawdziwie nieprawdziwymi narracjami. Dzisiejsze media nie informują. Łechcą. I manipulują. W celach propagandowych, politycznych czy marketingowych.

Spinizm i piaryzm są przekleństwem współczesnych telewizji i rozgłośni radiowych. Jeszcze wczoraj zapraszałeś uczciwego naukowca, który przez 20 lat bezinteresownie szukał prawdy, a już dziś kupił go jakiś globalny koncern, grupa lobbystyczna czy partia.

Bez odzyskania centralnej pozycji przez media publiczne Zachód nie odzyska szansy na przywrócenie demokracji bezprzymiotnikowej. Czyli po prostu demokracji.

Nie wspominam tu o prywatnych mediach społecznościowych kierujących się jedynie neomarksistowską ideologią na usługach korporacyjnych egoizmów.

Media publiczne muszą być atrakcyjną opowieścią o emocjach i faktach. Symboliczną i pojęciową. Inaczej przegrają z infotainmentową globalną siecią.

Oczywiście w mediach publicznych nie można zacierać granic pomiędzy informacją a rozrywką. Lecz jeśli – nie rezygnując z barwnych opowieści w wydzielonych pasmach – media publiczne postawią w pozostałym swym czasie antenowym na oczyszczenie informacji z eksperckiego lobbingu, jeśli pogonią spin doktorów i piarowców udających bezstronnych obserwatorów świata, jeśli zaczną zwyczajnie o świecie informować, a nie napędzać klientelę politycznym czy korporacyjnym patronom, wygrają wyścig o widzów i słuchaczy. Elita dostanie czystą informację. Demos swoją porcję emocji.

Oto jak wygrać z lobbingiem i komercją. Przy okazji w pełni realizując misję publiczną.

Jednak media to jedynie narzędzie. Liczy się również zestaw i hierarchia promowanych przez to narzędzie wartości. W duchowych zmaganiach o przyszłość naszego narodu jedni szukają tożsamości w polskiej tradycji, drudzy w najostrzejszej swej odmianie pozostają jedynie przy języku polskim. Budują nową tożsamość – europejską, kosmopolityczną. Uważają, że Polska nie jest przestrzenią kulturową, cywilizacyjną mającą wartość samą w sobie. Ludzie tego obozu mówią o budzeniu demonów patriotyzmu. Nie – demonów nacjonalizmu, ale „demonów patriotyzmu"! Oto nasz obóz odwróconych pojęć. Kosmopolici. Lewicowo-liberalni inteligenci prowadzeni przez intelektualne salony.

Od 30 lat jesteśmy świadkami nowej fali potężnych procesów społecznych przemieniających nasz naród. Dwa nurty kulturowe dają wyraźniej poznać swe oblicza. Patrioci i kosmopolici. Walczą w Polsce od ponad 200 lat. I mimo wrażenia opanowania centralnego nurtu naszej kultury przez obóz postępu, widać znaki nadziei. Zachodnia lewicowo-liberalna elita skompromitowała się na naszych oczach. Nie potrafi rozwiązywać realnych problemów zarządzanych przez siebie społeczeństw, umykając przed rzeczywistością w ideologiczne mrzonki.

Oprócz wyczerpania się formuły konwencjonalnych mediów oraz ideologicznego zagubienia elit ważną rolę we współczesnym kryzysie zachodnich społeczeństw odgrywa zjawisko jeszcze szersze. Wynikający z postawy buntu nowożytny proces kwestionowania gromadzonej kilkanaście wieków wiedzy duchowej. Rodzi on rodzaj negatywnego nastawienia do autorytetu w ogóle. Również autorytetu nauki. I na koniec odrzucenie chrześcijaństwa.

Pełni oświeconych przesądów wykształceni z wielkich miast hodują swoje wierzenia niezdolni do wiary. Wykorzenieni z duchowej tradycji budują synkretyczne domki z kart zaczerpniętych z różnych religijnych talii, co rodzi powierzchowność i powoduje wewnętrzny zamęt. Tożsamość oświeconego leminga budowana jest w kontrze wobec chrześcijaństwa i dlatego jego duchowość jest niesamodzielna i niedojrzała. Do tego wewnętrznie pęknięta i niespójna.

Renesansowa pycha sprawiła, że człowiek, czyniąc się miarą wszystkich rzeczy, stracił z oczu sprawy, które nie są na jego miarę. Człowiek nowożytny, wyśmiewając religię jako źródło zabobonów, sam stał się najbardziej zabobonnym stworzeniem na świecie. Atakując chrześcijańskie „mitologie", sam na potęgę tworzy mitologie własne. W takim właśnie świecie musimy bronić patriotyzmu, wiary oraz – co równie ważne – instytucji tradycyjnej rodziny. Wynik tych zmagań zdecyduje o losie naszych dzieci.

eprasa.pl 693012e7cd

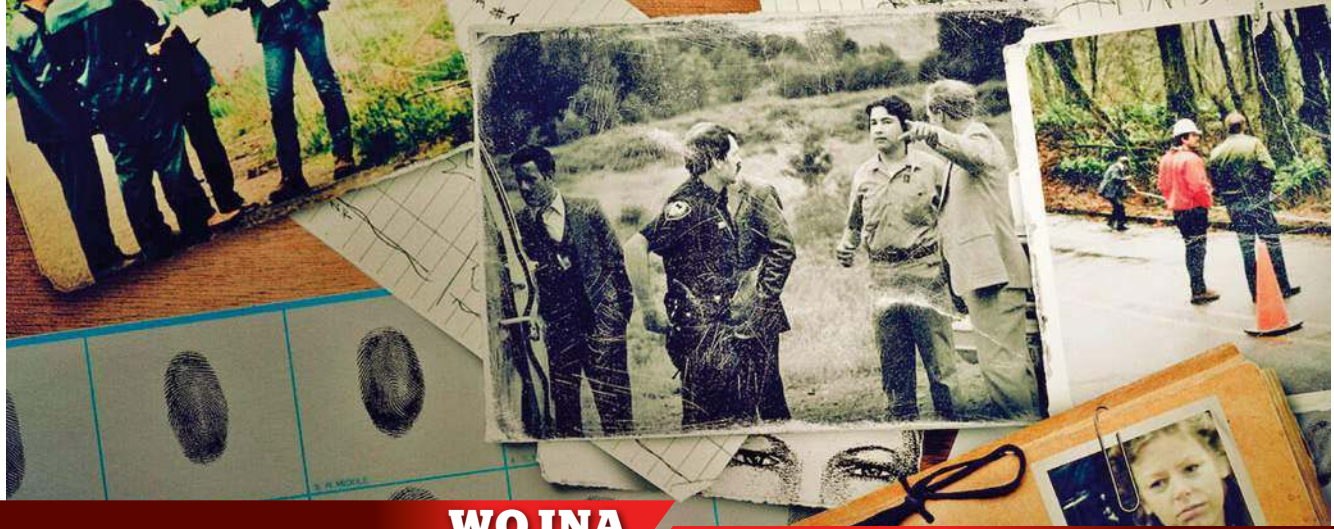

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Gdy ktoś odkrywa zwłoki, wie, że każde życie jest bezcenne – mówi jeden z bohaterów produkcji, na którą chcę zwrócić Państwa uwagę. Czteroodcinkowy serial ***„Dorwać mordercę”*** – do obejrzenia na Netflixie – można potraktować jako jeden z dokumentalnych filmów kryminalnych, które są produkowane dla różnych telewizji setkami każdego roku. I mógłby go tak potraktować ktoś, kto obejrzał tylko dwa pierwsze odcinki.

Bohaterką jednego z nich jest pierwsza w historii USA seryjna morderczyni, która pozbawiła życia siedmiu mężczyzn. Została zadenuncjowana przez swoją partnerkę. Twórcy serialu opowiadają o związku kobiet tak, jak mówi się o faktach. W sposób nieinwazyjny, pozbawiony odniesień do ideologii. Po prostu nie ma to znaczenia. Morderstwa w każdym przypadku są tak samo przerażające. Morderczyni sama poprosiła o wykonanie wyroku. Była świadoma, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie z więzienia, będzie zabijać. Wyrok wykonano w 2002 r.

Drugi odcinek poświęcony jest mordercy znad Green River, który pozostawił za sobą 49 ofiar. I tu już mamy zapowiedź naszych zideologizowanych czasów. Widać to w absurdalnej i skrajnie niesprawiedliwej aktywności obrońców praw kobiet, twierdzących, że śledztwo zaniedbano, bo ofiary były prostytutkami. Emocje policjantów nawet po czterech dekadach są tak żywe, że przerywali nagranie, nie mogąc ze wzruszenia zapanować nad głosem. Widok sześćdziesięcioparoletnich mężczyzn płaczących przed kamerą niełatwo zapomnieć. Poświęcili 19 lat pracy, wydawałoby się, bez efektów. I gdyby nie nowa technika badania DNA nie znaleziono by mordercy. Jednemu z detektywów sprawa przez cały czas nie dawała spokoju. I gdy został szeryfem mogącym wznowić śledztwo, zrobił to. Zamrożone próbki śliny zdradziły mordercę. Wzruszająca jest też troska policjantów o godność człowieka. 30 lat szukano ciał ofiar. Dziś zostały już tylko trzy niezidentyfikowane dziewczyny.

Ale prawdziwym powodem, dla którego o serialu w ogóle piszę, jest opowieść o sprawie tak zawikłanej, że niewinni ludzie siedzieli w więzieniu kilka lat, zanim znaleziono prawdziwego mordercę. Budzi ona niepokój, stawiając pod znakiem zapytania mój pogląd na karę śmierci czy dożywotnie więzienie. Ta historia jest wstrząsająca. Poświęcono jej dwa odcinki. Zginęła kobieta. Do współuczestnictwa w morderstwie przyznała się starsza kobieta. Na szczęście jeden z prowadzących śledztwo policjantów ma przeczucie, że coś w tej sprawie nie gra. Nie zdradzę zakończenia. Wszystko oparło się na uporze policjanta, który po odwołaniu ekipy policjantów zaangażował do powtórnych poszukiwań harcerzy. I znalazł rozstrzygający dowód. Gdyby nie jedna decyzja, niewinni ludzie siedzieliby kolejne lata. Bo prokurator cały czas przekonywał policjantów, że sprawa jest zamknięta. Fakty miały się bronić same. A w tej jego postawie jedynie przeglądały się uprzedzenia i pycha.

Nic nie jest pewne. System ma luki. Nie zawsze znajdzie się bohaterski szeryf.

Warte Ze Stanów przenosimy się teraz w zupełnie inne, nordyckie klimaty. Zabójstwo Olofa Palmego. Serial ***„Mało prawdopodobny morderca”*** Netflixa zaczyna się ekstrawagancko. Od pierwszych ujęć wiemy, kto zabił. Ale to nie zmniejsza napięcia. Widzimy bowiem jakąś kosmiczną komedię pomyłek. Historię niekompetencji, ambicji ponad zdolności. Dla żądzy sławy śledztwo bierze w swoje ręce sam szef szwedzkiej policji, mimo iż ze zwykłą robotą śledczych nie miał właściwie do czynienia. Niekompetentny karierowicz, zwykły burdel, państwo z dykty, jakieś niewyobrażalne amatorstwo. Jeden z bezpośrednich świadków nie został przez wiele tygodni przesłuchany, mimo że udzielał w tym czasie wielu wywiadów. Sam się zgłosił na policję, w chwili, w której się okazało, że mają jego portret pamięciowy. Wystarczył test parafinowy i nie byłoby totalnej kompromitacji szwedzkiego państwa. Ta historia wręcz poraża. Decydujące o czyimś losie bylejakość i przypadkowość. Morderca – życiowy nieudacznik. Ale takie jest prawdziwe życie. A serial w końcu – dokumentalny.

POPKULTURA

Robert Tekieli *Polskie Radio*

eprasa.pl 693012e7cd

Adamski

Szlachetny film

Nie ma obecnie w Hollywood milszego faceta niż Tom Hanks. Nie ma też w Hollywood gwiazdy bliższej postaciom, takim jak Gregory Peck czy Henry Fonda. Nie przez przypadek to Tom Hanks zagrał konserwatywną ikonę amerykańskiej telewizji Pana Rogersa w uroczym „Cóż za piękny dzień" (2019). Nie grywa łotrów. Nie pojawia się w tabloidach w kontekście skandali. Od ponad 30 lat jest szczęśliwie żonaty. Jestem przekonany, że ubiegając się o prezydenturę, miałby wielką szansę na sukces. Tak pokazują różne sondaże w USA. Sława, pieniądze i celebrytyzm? Nie dla niego. On mówi o wartościach rodzinnych i spokoju. Któż inny mógłby zagrać więc w filmie „Finch"?

Pamiętacie piłkę Wilson, która robiła za Piętaszka w wariacji o Robinsonie Crusoe „Cast Away" (2000) Roberta Zemeckisa? Jedynym przyjacielem Toma Hanksa była tam znaleziona piłka do siatkówki, która pozwalała mu nie zwariować na bezludnej wyspie. Film stał się wielkim hitem, a rola weszła do klasyki kina. Dlaczego więc schematu nie powtórzyć, z tą różnicą, że Tom Hanks jest nie na bezludnej wyspie, ale na prawie bezludnej postapokaliptycznej, wypalonej słoneczną katastrofą Ziemi, a zamiast Wilsona ma psa oraz... robota?

Nie wiemy, jak Finch Weinberg przetrwał kataklizm. Dziura ozonowa na tyle się powiększyła, że słońce wypala wszystko, co żyje. Nawet kilkanaście sekund na słońcu bez specjalistycznego skafandra kończy się śmiercią. Wiemy jednak, że Finch jest naukowcem, który musi uciekać ze stosunkowo bezpiecznej bazy, nad którą nadciąga piaskowa burza. Finch żyje ze swoim uroczym psem. To jego jedyna rodzina. Jedyny przyjaciel.

Postapokaliptyczny świat, naukowiec i pies? Spokojnie, nie jest to kolejna wersja „Jestem legendą" (2007), w której w wybitym przez pandemię Nowym Jorku Will Smith z psem u boku próbował opracować szczepionkę przeciwko wirusowi zombie. Tutaj zombie nie ma. Ba, tutaj nie ma żadnych potworów ani złych ludzi rodem z „Mad Maxa". Jest pustynia, ale ten Max jest sad, a nie mad. Finch powoli umiera. Pluje krwią, a brakuje mu leków i dobrego pożywienia. Tworzy więc robota Jeffa, który ma się zaopiekować psem.

Zrobiony dla Apple TV „Finch" jest zbudowany z wielu znanych kulturowych i popkulturowych elementów. Jeff jest niczym Pinokio, a Finch to Gepetto (swoją drogę Hanks wcieli się w prawdziwego Gepetto w wersji, a jakże!, Roberta Zemeckisa), który musi powołanego przez siebie do życia osobnika nauczyć chodzić, mówić i walczyć o przetrwanie. Wgrywa mu do głowy oprogramowanie. Jeff ma w głowie zeskanowane encyklopedie i wszystko, co powinien wiedzieć o świecie. Udaje się wgrać 72 proc. wiedzy przed nadejściem burzy piaskowej. Reszty nauczy się w drodze. Relacja między Finchem, robotem, mówiącym głosem kapitalnego Caleba Landry'ego Jonesa, klasyfikuje ten film jako rasowe kino familijne. Pies nieufający robotowi, Jeff przechodzący ekspresowo etap buntu nastolatka, figura ojca, którą Hanks tak bardzo lubi eksploatować – wszystko tutaj świetnie wybrzmiewa.

Nie jest to jednak opowieść o transhumanizmie, tak bardzo obecna w kinie od czasu „Blade Runnera" czy „Terminatora", a ostatnio za sprawą „Westworld" weszła na kolejny etyczno-filozoficzny poziom. Jest temat jednak zasygnalizowany. Finch mówi do robota, by ten powiedział mu coś ciekawego. Jeff robi mu wykład o żyrafach. „Ale powiedz mi coś ciekawego o sobie" – dociska Finch, chcący, by robot uzyskał samoświadomość. Jest też „Finch" kinem drogi. Podróż 1984 Fleetwood RV z wybrzmiewającym „American Pie" Dona McLeana przez głośnik wpisuje film w opowieść o zachowaniu „amerykańskiego snu" nawet w świecie spalonym słońcem. Nie przez przypadek ludzko-robotowo-psia rodzinka jedzie do San Francisco w słonecznym stanie Kalifornia. No, ale tym razem słońce zabija. A może nie w Kalifornii?

„Finch" jest filmem o dobrym człowieku, który chce swoje dobro przelać na stworzonego przez siebie robota. Jest opowieścią o przyjaźni z psem, co bez wątpienia – piszę to z doświadczenia posiadacza owczarka niemieckiego – spowoduje, że będziecie chcieli przytulić swoje czworonogi po seansie. Jest to w końcu film zupełnie pozbawiony naleciałości ideologicznych. Jest to proste, staromodne kino drogi, które rozczuli największego cynika. Brakuje dziś takich filmów. Dobrze, że jest Tom Hanks i jego potrzeba robienia szlachetnego kina.

„FINCH", REŻ. MIGUEL SAPOCHNIK, DYSTR. APPLE TV

eprasa.pl 93.2.2e7cd

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Odjazd!

„The harder they fall" pod idiotycznie banalnym tytułem „Zemsta rewolwerowca", czyli krwawa i nihilistyczna wersja Wakandy na Dzikim Zachodzie, to najbardziej zdumiewający western, jaki oglądałem od czasu „Django". Historia jest prosta i wypełnia archetyp Dzikiego Zachodu, choć szybko ten film skręca na prowokacyjne i zupełnie odrębne tory. Nat Love jest świadkiem śmierci rodziców z rąk Rufusa Bucka (Idris Elba). Traumatyczne przeżycie (Rufus zostawia go przy życiu, ale nożem wycina mu na czole krzyż) tworzy z niego maszynę do zabijania. W dorosłym życiu Nat (Jonathan Majors) staje się jednym z najbardziej poszukiwanych rewolwerowców na Dzikim Zachodzie. Jest bezwzględny, inteligentny i szuka bezustannie swojego prześladowcy. Rufus na niego czeka. A więc wyświechtany motyw. Pewnie. Ale jakie wykonanie!

Brutalny, bezczelny, podlany kapitalną czarną muzą, kolorowy i brawurowo zmontowany western Jeymesa Samuela jest nie tyle hołdem dla Sergia Leone (choć otwarcie wzięte od maestro) i jego Dolarowej Trylogii, ile pokłonem dla jego uczniów. Jest tu Tarantino, Rodriguez, Raimi (pamiętacie jeszcze „Szybkich i martwych"?), ale i nutka weterana De Palmy z dworcowej sceny „Nietykalnych". Szkoda, że do obejrzenia jest ten krwisty taniec tylko na Netflixie, a nie na wielkim ekranie. Paleta kolorów i krajobrazów wali w oczy i miesza się ze świstem kul zanurzonych w tłustych beatach. Muzycznie ten film zachwyca jak kino Edgara Wrighta („Baby driver", „Ostatniej nocy w Soho"), który też z symbiozy różnych muzycznych gatunków i obrazu tworzy coś na kształt musicali. Jest tu Jay-Z i Barrington Levy. Jest Cee Lo Green i Lauryn Hill. No, ale czego się innego spodziewać po Samuelu, czyli producencie i piosenkarzu mającym ksywkę The Bullitts, który niczym Rob Zombie postanowił wrzucić na ruszt gatunkowe kino? Bawi się przednio i pokazuje, że nie ma żadnych kompleksów i hamulców. Może dlatego, że produkuje go Lawrence Bender, czyli gość od kina Tarantino z lat 90.? Wciąż ma oko do wielkich talentów mielących błyskotliwie popkulturę.

Show kradną sadystyczna Regina King i umęczony Idris Elba, a zacny Delroy Lindo szeryfuje z godnością taty z „Crooklynu" Spike'a Lee. Reszta obsady ma luz i błysk Harrisona Forda ze skórzanym pejczem. Ta historia mogłaby mieć zresztą miejsce na Brooklynie albo w Compton, bo jest to film o czarnych gangach. Tyle że na bardzo umownym Dzikim Zachodzie. Tarantino myślał o filmie, w którym Django spotyka Zorra. Jeżeli nie chce mu się tego reżyserować, niech odda lejce w dłoń Samuela, który dał nam tak uroczo wystylizowany baletów śmierci o zemście, że poradzi sobie z tekstem swojego filmowego idola. Niesłusznie ten film jest sprowadzony do politpoprawnej agitki, bo wszystkie postacie grają czarnoskórzy. Ta konwencja ma swoje uzasadnienie. Jest to czarne kino, ocierające się o blaxploitation z lat 70., mające przywrócić miejsce czarnoskórym rewolwerowcom (oni istnieli wbrew stereotypom) w kinie. Jest to robione z taką brawurą i bezczelnością, że kupuję tę wizję całym sercem. Stuknę na cześć nawet swoimi kowbojkami!

„ZEMSTA REWOLWEROWCA",
REŻ. JEYMES SAMUEL, DYSTR. NETFLIX

Dlaczego gaz w Europie drożeje?

Ponad 80 proc. gazu zużywanego w Polsce pochodzi z zagranicy. To dlatego krajowa cena paliwa jest ściśle powiązana ze światowymi cenami tego surowca. Tymczasem ceny na europejskich giełdach paliw poszybowały i 5 października osiągnęły historyczny rekord: cena za 1 megawatogodzinę gazu wyniosła 116,02 euro i była prawie 900 proc. wyższa niż rok wcześniej (13,42 euro).

Jak doszło do tak ogromnych podwyżek? Cena na giełdzie to wypadkowa dostępności surowca (podaży) i zapotrzebowania odbiorców (popytu). Obecnie do Europy dociera mniej gazu z kierunku wschodniego a zapasy gazu w europejskich magazynach są wyjątkowo niskie, a więc kupujący konkurują ze sobą o surowiec, a to podbija jego ceny. Na obecny koszt gazu wpływ ma także ożywienie gospodarek, zwłaszcza Chin i innych krajów azjatyckich, po okresie spowolnienia związanego z epidemią COVID-19. Na to wszystko nałożyła się dłuższa niż zwykle zima 2020/21 oraz inne czynniki pogodowe – na przykład bezwietrzny wrzesień spowodował mniejsze dostawy energii elektrycznej z elektrowni wiatrowych, które trzeba było zastąpićelektrowniami zasilanymi gazem. Znaczący wpływ na cenę gazu miała również polityka Gazpromu, który odpowiada za około 40 proc. dostaw gazu do Europy. W ostatnich miesiącach rosyjska firma dostarczała do Unii Europejskiej tylko tyle gazu, ile przewidują jej umowy długoterminowe, mimo że wcześniej sprzedawała dodatkowe ilości błękitnego paliwa.

Na szczęście Polska jest dobrze przygotowana do zimy i gazu nam nie zabraknie. Jednak ceny tego paliwa w naszym kraju zależą od sytuacji na rynku europejskim. To właśnie po takich „europejskich" cenach kupują gaz firmy, które dostarczają go do naszych domów. Dlatego drożyzna za granicą przekłada się na cenę gazu do gotowania posiłków czy ogrzewania mieszkań. Jak bardzo? To weryfikuje Prezes Urzędu Regulacji Energetyki, który zatwierdza taryfy stosowane przez firmy sprzedające gaz dla gospodarstw domowych. Jego zadaniem jest dopilnować, aby proponowane przez te firmy podwyżki miały uzasadnienie w ponoszonych przez nie kosztach, a więc nie były nadmierne.

Pamiętajmy też, że gaz nie zawsze drożeje. Od 2016 roku ceny tego paliwa dla odbiorców indywidualnych w ofercie PGNiG Obrót Detaliczny regularnie spadały - jeszcze na początku tego roku cena za gaz była o około 20 proc. niższa niż w 2015 roku.

eprasa.pl 693012e7cd

SROGA ZIMA

Mroźna zima przełomu 2020/2021. Niskie temperatury utrzymują się w Europie do późnej wiosny i wyczerpują zapasy gazu.

GOSPODARKI NABIERAJĄ ROZPĘDU

W 2021 roku różne formy „tarcz antykryzysowych" przebudzają gospodarki po pandemii. Gwałtownie rośnie zapotrzebowanie na gaz ziemny ze strony przemysłu i elektrowni.

CHŁONNY RYNEK AZJATYCKI

Państwa azjatyckie to najwięksi importerzy skroplonego gazu ziemnego (LNG). W 2021 roku kupują go jeszcze więcej, płacąc każdą cenę. Statki z gazem zamiast do Europy płyną więc do Azji, bo producentom LNG właśnie tam bardziej opłaca się sprzedawać gaz.

GAZPROM PRZYKRĘCA KUREK

Prawie połowa gazu importowanego przez Europę pochodzi z Rosji, ale Gazprom ogranicza dostawy, windując ceny na giełdach. Chce w ten sposób wymóc administracyjne zgody na uruchomienie gazociągu Nord Stream 2.

Reklama | 3/1121/F

eprasa.pl 693012e7cd

Chorym potrzebne są dobrze funkcjonujące ośrodki leczenia

Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię dobrze się sprawdza. Konieczne jest jednak lepsze działanie ośrodków leczenia dla dorosłych, które wciąż często funkcjonują tylko na papierze. Chorzy potrzebują też dostaw domowych leków i dostosowania profilaktyki do ich potrzeb. Niezbędna jest też lepsza współpraca ośrodków pediatrycznych z ośrodkami dla dorosłych, gdy pacjent osiąga pełnoletność – mówili uczestnicy debaty tygodnika „Sieci" na temat hemofilii

W debacie wzięła udział posłanka Barbara Dziuk, przewodnicząca Parlamentarnego Zespołu ds. Chorób Rzadkich, wiceminister zdrowia dr Maciej Miłkowski, prezes Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię Bogdan Gajewski oraz prof. dr hab. n. med. Paweł Łaguna.

Przedstawiciel środowiska pacjentów podkreślał, że opieka nad chorymi na hemofilię znacznie się poprawiła za sprawą wdrożonego przez ministra Łukasza Szumowskiego Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię i Pokrewne Skazy Krwotoczne na lata 2019–2023.

– Ministerstwo, przyjmując Narodowy Program, dostrzegło niedoskonałości obecnego systemu leczenia. Program odpowiada na wiele problemów, które do tej pory nie były rozwiązane. Jesteśmy wdzięczni za ten program, to duży krok naprzód. Hemofilia i pokrewne skazy krwotoczne są chorobami, w których nie da się z góry zaplanować ilości leków zużywanych przez jednego pacjenta, ponieważ ta może ulec radykalnej zmianie zależnie od aktualnego stanu zdrowia pacjenta. Przy wcześniej podejmowanych próbach przeniesienia finansowania leczenia hemofilii i pokrewnych skaz krwotocznych z programu polityki zdrowotnej do programów lekowych był to zasadniczy argument przeciw takim zmianom, ponieważ z punktu widzenia płatnika publicznego realizacja programu lekowego odbywa się w ramach umowy zawartej pomiędzy świadczeniodawcą a Narodowym Funduszem Zdrowia, i jest to umowa opiewająca na konkretną wartość. A przecież w przypadku hemofilii nie sposób przewidzieć z góry ilości leków, jakie mogą być potrzebne dla danego pacjenta, który nagle na skutek poważnego krwawienia czy zabiegu ratującego życie może potrzebować ich bardzo wiele. Obowiązujący Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię i Pokrewne Skazy Krwotoczne jest jednym z największych osiągnięć systemu ochrony zdrowia. Obecna organizacja leczenia hemofilii zapewnia odpowiednią dystrybucję czynników krzepnięcia przez jednostki organizacyjne publicznej służby krwi oraz dobry dostęp w każdym ośrodku w Polsce do czynników krzepnięcia, które ratują życie chorych na hemofilię w sytuacjach nagłych. Program umożliwia też prowadzenie leczenia w szpitalach specjali-

eprasa.pl 693012e7cd

stycznych, zabiegi chirurgiczne czy w obecnej sytuacji leczenie przeciwkrwotoczne chorego na hemofilię podczas zakażenia SARS-CoV-2 – mówił Bogdan Gajewski.

Rozwiązania oparte na programach lekowych, które nie realizowałyby tych funkcji, mogłyby doprowadzić do zagrożenia zdrowia oraz życia chorych na hemofilię i pokrewne skazy krwotoczne.

Prezes Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię podkreślał, że założenia Narodowego Programu należy w pełni wdrażać.

– Chodzi tu m.in. o powstanie ośrodków kompleksowej opieki nad dorosłymi pacjentami. Dają one właściwe wsparcie chorym, a Ministerstwu Zdrowia gwarancję, że środki publiczne będą dobrze wydawane. Obecnie większość ośrodków leczenia dla dorosłych chorych na hemofilię i pokrewne skazy krwotoczne dobrze nie funkcjonuje lub istnieje tylko na papierze. Brakuje lekarzy. Jeden z lekarzy z południowej Polski podkreśla, że obsługuje dwa tysiące chorych na skazy krwotoczne – dodał Gajewski, wyrażając nadzieję, że dzięki zadeklarowanemu przez Ministerstwo Zdrowia urealnieniu wyceny świadczeń ambulatoryjnej opieki specjalistycznej ośrodki będą oferować właściwe wsparcie. – Proponujemy, aby konsultanci wojewódzcy ds. hematologii wytypowali po dwóch lekarzy pracujących przy klinikach hematologicznych w każdym województwie, którzy mogliby sprawować opiekę nad chorymi na hemofilię i pokrewne skazy krwotoczne (postulat wytypowania dwóch lekarzy wynika z konieczności zapewnienia zastępstwa w przypadku urlopu lub choroby jednego z nich).

Jak wyjaśniali uczestnicy spotkania, według standardów organizacji skupiającej chorych na hemofilię na świecie zawsze przy ośrodku pediatrycznym powinien być ośrodek dla dorosłych. Przejście pacjenta pomiędzy tymi ośrodkami powinno wyglądać w ten sposób, że zajmujący się dzieckiem pediatra idzie z nim na pierwszą wizytę do ośrodka dla dorosłych i przekazuje wszystkie informacje hematologowi, który będzie się nim opiekował w następnych latach.

– Pozytywna odpowiedź ministerstwa na postulat środowiska pacjentów, aby wesprzeć powstawanie ośrodków dla osób dorosłych z wrodzonymi zaburzeniami krzepnięcia, jest bardzo ważna – podkreślał prof. dr hab. Paweł Łaguna, wybitny pediatra zajmujący się dziećmi chorymi na hemofilię. – Walczymy wspólnie o nie tylko o to, żeby dorośli mieli dostęp do czynnika krzepnięcia, ale o kompleksową opiekę, taką, jaką my zapewniamy w ośrodkach pediatrycznych. Pacjent musi mieć zapewnioną rehabilitację, bo jest ona tak samo ważna, jak podanie brakującego czynnika krzepnięcia. Poza tym pacjentom tym należy zapewnić regularną opiekę dentystyczną, a także priorytetowy dostęp do psychologów i lekarzy innych specjalności, którzy mają dobrą orientację w problematyce zaburzeń krzepnięcia.

Prof. Łaguna zwrócił uwagę, że dramatyczna różnica między opieką nad dziećmi i dorosłymi z hemofilią niejako niweczy niewątpliwy sukces pediatrii. U dzieci od lat prowadzona jest spersonalizowana opieka pediatryczna, co stwarza możliwość podawania brakującego czynnika krzepnięcia w najbardziej potrzebnym czasie, a także kontroli leczenia za pomocą dzienniczków elektronicznych, w których zapisywane są zarówno dawki, jak i czas podania koncentratu, a także czynności pielęgnacyjne. Jak dotąd u dorosłych tak rozumiana personalizacja jest niemożliwa.

– Gdy rozpoczynałem pracę 30 lat temu, mieliśmy jeden oddział skaz krwotocznych na całą Polskę – mówi prof. Łaguna. – W 2008 r. powstał ogólnopolski program leczenia dzieci z wrodzonymi zaburzeniami krzepnięcia i od tego czasu w kraju powstało 15 takich ośrodków pediatrycznych. Zmieniło się leczenie chorych na wrodzone skazy krwotoczne. Kiedyś w oddziałach leczonych było przewlekle 20–30 pacjentów. Chłopcy ci byli inwalidami, leżeli z powodu wylewów do stawów, a w ich konsekwencji zabiegów ortopedycznych. Dziś takich chorych już się nie widzi. Moi pacjenci grają w piłkę, jeżdżą po całym świecie, studiują, robią doktoraty na Oksfordzie. Wszystko dzięki odpowiedniej, spersonalizowanej opiece nad pacjentem z wrodzoną skazą krwotoczną oraz wprowadzonej profilaktyce wylewów, którą rozpoczynamy od pierwszego roku życia i kontynuujemy aż do pełnoletności. Ważne jest zrozumienie, by do każdego pacjenta podchodzić indywidualnie, odpowiednio dobierając dawki leków do trybu życia, oraz prowadzić rehabilitację i szeroko rozumianą profilaktykę z dostępem do wszystkich specjalistów – mówił prof. Łaguna.

Co się dzieje, gdy pacjent wkroczy w pełnoletność? Warszawscy pacjenci mają szczęście. Po uzyskaniu pełnoletności przechodzą oni bowiem pod opiekę Instytutu Hematologii, który jest ośrodkiem referencyjnym w zakresie wrodzonych skaz krwotocznych dla osób dorosłych, zapewniając im dalsze leczenie. Niestety wciąż w kraju niektóre ośrodki pediatryczne nie mają komu przekazać tych chłopców. Sytuacja ta powoduje wiele stresów dla chorych i często rezygnację z leczenia tłumaczoną przez nich w następujący sposób: „Po co ja mam dalej brać ten czynnik, skoro nie mam żadnych zmian w stawach, nic mi nie będzie". Brak dalszej regularnej opieki nad chorym z wrodzonymi zaburzeniami krzepnięcia po uzyskaniu przez niego pełnoletności i brak kontynuacji dotychczasowej spersonalizowanej opieki nie tylko niweczy to, co uzyskali dotąd pediatrzy, ale przede wszystkim w szybkim tempie doprowadza do inwalidztwa. Pacjenci nie biorą czynnika, pojawiają się krwawienia. Zamiast kończyć studia, pracować, płacić podatki i cieszyć się życiem, ci ludzie stają się inwalidami. W ten sposób nie tylko marnowany jest nasz trud, ale oznacza to także, że publiczne pieniądze wydawane są bez sensu. To straszne, zarówno z ludzkiego, jak i ekonomicznego punktu widzenia.

Zarówno prof. Łaguna, jak i Bogdan Gajewski zwracali uwagę na rolę e-medycyny w spersonalizowanym, wyprzedzającym podejściu do pacjentów (a konieczność takiego podejścia została zadekretowana w najnowszych dokumentach strategicznych Ministerstwa Zdrowia).

– Byliśmy niedawno w ambasadzie duńskiej z panią dyrektor Małgorzatą Lorek z Narodowego Centrum Krwi. Duńczycy mają specjalną aplikację, która umożliwia kontakt z ośrodkiem leczenia hemofilii. Ważne, aby mogła ona posłużyć komunikacji zwrotnej do pacjenta. To świetne rozwiązanie, trzeba myśleć o podobnych u nas – mówił Gajewski.

By myśleć o skutecznym zastosowaniu narzędzi teleinformatycznych, trzeba jednak pilnie rozwiązać problem braku

eprasa.pl 693012e7cd

jednej wspólnej bazy danych obejmującej wszystkich pacjentów z hemofilią. Prof. Łaguna przypomniał, że nawet łączna liczba chorych na hemofilię podawana jest dziś w Polsce szacunkowo, że mamy pewne pojęcie, ale czy jest tysiąc więcej, czy mniej, tego precyzyjnie nie określimy.

– Rejestr jest potrzebny, by dobrze zarządzać systemem, zorientować się, jakie są potrzeby i odpowiednio dostosować do nich możliwości finansowe państwa. W tej chwili nie można oprzeć się na prawidłowych danych, bo ich po prostu nie mamy – mówił Gajewski, zaznaczając, że odpowiednia komórka w Ministerstwie Zdrowia od pewnego czasu pracuje nad tym rozwiązaniem. – Prosilibyśmy pana ministra, żeby te prace przyspieszyć i przekazać informację, na jakim są etapie – zwracał się do dr. Macieja Miłkowskiego Bogdan Gajewski.

Chorzy i lekarze obawiają się również chaosu, jaki może wyniknąć w związku z tzw. kartą postępowania, którą według rozporządzenia z 2019 r. powinien posiadać każdy pacjent z hemofilią.

– Pomysł jest świetny, bo tam są zawarte informacje na temat badań pacjenta dotyczące sposobu leczenia. Problem jest tylko jeden. Aby pacjent mógł otrzymać kartę postępowania, musi ją wydać lekarz z danego ośrodka. Tu znów wraca kwestia ośrodków dla dorosłych chorych. Niestety, pacjenci często tych kart nie mają, gdyż nie ma lekarza, który miałby uprawnienia do ich wystawienia – mówił prof. Łaguna.

– To jest bardzo ważny punkt – potwierdzał Gajewski. – Od 2022 r. brak tej karty będzie bardzo utrudniał prawidłowe leczenie, narażając chorych na ból i cierpienie, a nawet powodując zagrożenie życia chorych z hemofilią. Bardzo prosimy pana ministra, aby uwzględnić te problemy, nie stawiając pacjentów chorych na hemofilię w trudnej sytuacji – apelował.

Krótko po spotkaniu okazało się, że ta prośba zostanie wkrótce spełniona, ponieważ ministerstwo niebawem wprowadzi odpowiednią nowelizację do Narodowego Programu i termin obligatoryjnego wprowadzenia wspomnianej karty zostanie przesunięty.

Spora część dorosłych pacjentów była w przeszłości źle leczona. To inwalidzi, mający bardzo poważne problemy z przemieszczaniem się. Konieczne jest więc przyspieszenie wdrażania systemu dostaw domowych leków.

– Ilość leków, jaką pacjent musi zabrać do domu z ośrodka, jest wielkości małej szafy. To stanowi dosyć poważny problem, zwłaszcza jeśli chory mieszka daleko od ośrodka. W efekcie pacjenci oszczędzają leki, źle się leczą. To się przekłada na złe wyniki, powikłania, problemy. Minister Szumowski starał się sprostać tym problemom i zapisał w Narodowym Programie wprowadzenie dostaw domowych leków do chorych na hemofilię. Obecnie system przetargów centralnych zapewnia silną konkurencję pomiędzy firmami farmaceutycznymi. Dzięki temu powstały w bieżącym roku bardzo poważne oszczędności. Pieniądze te można byłoby przeznaczyć na rozszerzenie programu dostaw domowych – postulował Gajewski.

Wiceminister Maciej Miłkowski zgadzał się z większością spostrzeżeń rozmówców, deklarując sprawdzenie postępu prac nad interesującymi pacjentów i lekarzy projektami. Podkreślał, że hemofilia to choroba wymagająca szczególnego podejścia, dziękował za słowa uznania dotyczące rozwiązań pediatrycznych i Narodowego programu oraz zapowiadał ewentualne pilotaże w kontekście profilaktyki spersonalizowanej czy e-medycyny. Przedstawiciel Ministerstwa Zdrowia apelował również o współpracę między lekarzami.

– Pamiętajmy, że hemofilia jest chorobą rzadką; siłą rzeczy nie mamy zbyt wielu specjalistów i przepracowanych wielu standardów opieki. Następstwem tego są trudności w formułowaniu precyzyjnych zaleceń dla lekarzy. Dlatego potrzebni są nam lekarze, którzy mają doświadczenie w tym zakresie – mówił Miłkowski. – Lekarze co do zasady powinni współpracować z kolegami z innych specjalności. Na podstawowym poziomie również formalnie. Lekarz, który wykonuje zabieg, powinien konsultować się z lekarzem prowadzącym pacjenta – podkreślał.

Wiceminister zdrowia odniósł się również do kwestii dostaw domowych leków dla dorosłych pacjentów. – Tu jest problem natury formalnej. Prawo mówi, że hurtownia farmaceutyczna nie ma prawa dostarczać leku do pacjenta. Można to robić tylko poprzez aptekę szpitalną. Praktycznie stosowane są różne rozwiązania. Czynnik krzepnięcia idzie przez aptekę szpitalną, nie opuszczając tak naprawdę samochodu, bo to jest niebezpieczne. Trzeba zastosować specjalne zapisy, żeby na zlecenie apteki szpitalnej hurtowania przekazywała leki bezpośrednio pacjentom – wyjaśniał Miłkowski.

Deklaracja wsparcia w usprawnieniu programu dostaw leków do domów dorosłych pacjentów padła ze strony przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia podczas niedawnego posiedzenia Parlamentarnego Zespołu ds. Chorób Rzadkich. Urzędnicy obiecali wówczas także rychłe wprowadzenie stanowiska sekretarki medycznej wspierającej pacjentów oraz potwierdzili wolę pilnego urealnienia wyceny świadczeń w leczeniu chorych na hemofilię.

– Nie tak dawno rozmawialiśmy w Sejmie o tym, jak wesprzeć sprawy związane z osobami dorosłymi. Jest przygotowywane stanowisko, które trafi do Ministerstwa Zdrowia – mówiła podczas debaty przewodnicząca Zespołu, posłanka Prawa i Sprawiedliwości Barbara Dziuk. – Jako praktyk widzę, że zarządzenia i rozporządzenia to jest jedna strona medalu, jednak najważniejsze jest to, czego potrzebuje pacjent, jak poprawić komfort jego życia, a to jest po stronie medycznej. Dobrze, że jesteśmy na takim etapie, iż możemy mówić, jak rozwiązać pewne kwestie techniczne, bo kierunek, jaki nadało w tym obszarze Ministerstwo Zdrowia, jest dobry, osiągnięto już dużo – mówiła.

– Wiem, że pan minister jest bardzo otwarty na dyskusję i pomoc w tej sprawie – dzięki temu już pewne bariery zostały pokonane, możemy myśleć o pokonaniu kolejnych. Ja zawsze jestem gotowa do współpracy. Jako zespół będziemy wspierać racjonalne postulaty pacjentów. Będziemy również systematycznie poznawać nowe technologie medyczne i słuchać opinii lekarzy. Nauka rozwija leczenie hemofilii, zabieranie leków z ośrodka o wielkości małej szafy, jak obrazowo powiedział prezes Gajewski, prędzej czy później odejdzie do przeszłości. Wiem, że Zespół ds. Chorób Rzadkich powołany przy ministerstwie pochyla się nad tymi problemami i wypracowywane są rozwiązania – podkreślała Barbara Dziuk.

eprasa.pl 693012e7cd

SIECI

NASZE ORŁY

ZNÓW W POWIETRZU

dodatek o skokach narciarskich

- **Zaczęła się zima na skoczniach**
  Stoch, Żyła, Kubacki i inni znów dadzą nam wiele radości i wzruszeń
- **Tak znajdują następców mistrza**
  Wyjątkowe programy szkoleniowe polskich skoczków narciarskich już od 17 lat budują potęgę naszej kadry

PARTNER DODATKU:

LOTOS

eprasa.pl 693012e7cd

Program Grupy LOTOS to fenomen wśród inicjatyw wsparcia sportu

Szukają i... znajdują następców mistrza!

Przełom lat 2000/2001 zapisał się w historii polskiego sportu złotymi zgłoskami. To właśnie wtedy, podczas rozpoczętego w listopadzie kolejnego sezonu zimowego w skokach narciarskich, eksplodował talent Adama Małysza. Notujący wcześniej przeciętne wyniki zawodnik, który był już nawet bliski porzucenia swojej pasji przez brak sukcesów, stał się nagle prawdziwym „dominatorem" światowych skoczni i sprawił, że Polacy dosłownie oszaleli na punkcie tej dyscypliny sportu

Duet Adam Małysz i trener Apoloniusz Tajner kolekcjonował kolejne sukcesy i rekordy skoczni, ale nasz mistrz przez długi czas był jedynym reprezentantem Biało-Czerwonych w światowej czołówce. Żaden kolega z kadry narodowej nie dorównywał mu talentem ani umiejętnościami. W Polskim Związku Narciarskim szybko zorientowano się natomiast, że niesamowita popularność Adama Małysza, nazwana nawet „małyszomanią", sprawia, że do skoków narciarskich zaczęli się garnąć młodzi adepci tej dyscypliny. Tam, gdzie tylko istniały warunki terenowe, by tworzyć jakieś prowizoryczne nawet skocznie, a więc głównie na terenach górskich i wyżynnych, każdy młody człowiek chciał być jak „Orzeł z Wisły". Pojawiła się idea, by wykorzystać ten boom na skoki. Chodziło o to, by ówczesna popularność dyscypliny nie przeminęła wraz z końcem kariery Adama Małysza, ale stała się kamieniem węgielnym pod budowę silnej polskiej reprezentacji w tej dyscyplinie sportu.

ZACZĘŁO SIĘ 17 LAT TEMU

I tak właśnie w 2004 r. z inicjatywy Polskiego Związku Narciarskiego zrodził się wyjątkowy program szkoleniowy, którego sponsorem została Grupa LOTOS. Narodowy Program Rozwoju Skoków Narciarskich i Kombinacji Norweskiej „LOTOS Szukamy Następców Mistrza" to prawdziwy fenomen wśród tego typu programów, bo jego efekty są więcej niż spektakularne. Faktem jest bowiem, że szybko doczekaliśmy się następców Małysza, a wystarczy tu wymienić trzykrotnego mistrza olim-

Tak pomagał i pomaga LOTOS

W latach 2004–2020 Grupa LOTOS przekazała najzdolniejszym zawodnikom z kilkunastu klubów w całej Polsce 324 komplety nart skokowych z wiązaniami, 263 kombinezony skokowe, 100 kasków, 262 pary butów skokowych, a także 78 kompletów nart biegowych z wiązaniami i 52 stroje startowe do narciarstwa biegowego. Profesjonalny sprzęt sportowy dał klubom możliwość pełnego szkolenia najmłodszych grup wiekowych.

W sezonie 2021 łącznie ufundowanych zostało 12 rocznych stypendiów sportowych dla skoczków i zawodników kombinacji norweskiej, którzy uplasowali się na pierwszych trzech miejscach w klasyfikacjach generalnych LOTOS Cup w kategoriach młodzik i junior młodszy. Wręczone zostały także nagrody finansowe dla trzech najlepszych skoczków w kategoriach junior oraz senior. Wsparciem dla klubów są również nagrody finansowe dla 20 trenerów oraz sześciu najlepszych drużyn klasyfikacji klubowej zawodów LOTOS Cup 2021.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 693012e7cd

Widzimy sens naszych działań

Młodych skoczków wspieramy od początku istnienia Narodowego Programu Rozwoju Skoków Narciarskich i Kombinacji Norweskiej „LOTOS Szukamy Następców Mistrza". Każdy kolejny sezon stawał się sukcesem sportowym i organizacyjnym. Dziś program LOTOS Szukamy Następców Mistrza to największe przedsięwzięcie w historii polskiego narciarstwa. Od 17 lat wspieramy najzdolniejszych młodych skoczków i wierzymy, że w przyszłości będą reprezentować Polskę na największych skoczniach świata. Tak jak stało się to w przypadku m.in. Kamila Stocha.

Zofia Paryła,
prezes zarządu Grupy LOTOS

pijskiego i mistrza świata Kamila Stocha, który jest ambasadorem Programu LOTOSU, oraz mistrzów świata Piotra Żyłę i Dawida Kubackiego czy sukcesy drużynowe Biało-Czerwonych, jakimi było mistrzostwo świata w 2017 r. i brązowy medal olimpijski rok później. O ile sukcesy Adama Małysza były wypadkową jego talentu, ciężkiej pracy, w tym szkoleniowej Apoloniusza Tajnera, o tyle grad medali, tytułów i dziesiątki zwycięstw w zawodach Pucharu Świata w kolejnych latach, a przede wszystkim wychowanie wielu liczących się w ścisłej światowej czołówce zawodników było efektem znakomitego zagospodarowania i wykorzystania boomu zapoczątkowanego w czasach małyszomanii. Nikt zapewne nie miałby za złe, gdyby LOTOS zmienił dziś nazwę swojego programu na „Znajdujemy Następców Mistrza", ale dzięki temu, że program trwa dalej i z roku na rok się rozwija, mamy pełne podstawy, by spodziewać się kolejnych sukcesów, nawet wówczas, gdy Stoch, Żyła czy Kubacki skończą już swoje kariery.

O samym programie na stronie Grupy LOTOS możemy przeczytać: „Jest to największe sportowo-społeczne przedsięwzięcie w historii polskiego narciarstwa. W program zaangażowane są wszystkie liczące się kluby w Polsce z sekcją skoków narciarskich i kombinacji norweskiej. Nasze działania sponsoringowe skupiają się nie tylko na Kadrach Narodowych, ale idą dalej. Służą sportowej edukacji dzieci i młodzieży".

W praktyce program polega na organizowaniu profesjonalnych zawodów, w których startują wszyscy najbardziej utalentowani polscy zawodnicy i... teraz już także zawodniczki! Chodzi o to, by żaden wielki talent nam nie umknął.

„Nieprzerwanie od 2005 r. organizujemy w ramach programu zawody z cyklu LOTOS Cup na skoczniach w Zakopanem i Szczyrku. Zawody odbywają się w kilku kategoriach: senior (21 lat i starsi), junior (19–20 lat), junior młodszy (17–18 lat), młodzik (15–16 lat), chłopiec starszy (13–14 lat), chłopiec (12–11 lat) oraz chłopiec młodszy (10 lat i młodsi). Dziewczęta walczą natomiast w kategoriach: kobiety (17 lat i starsze), młodziczka (15–16 lat), dziewczynka (14–13 lat) oraz dziewczynka młodsza (12 lat i młodsze). Celem programu jest promocja i rozwój skoków narciarskich dzieci i młodzieży oraz poszukiwanie największych talentów młodych skoczków. W przyszłości będą oni godnie reprezentować Polskę na największych skoczniach świata" – czytamy na stronie Grupy LOTOS poświęconej programowi.

BY ŻADEN TALENT NIE ZOSTAŁ BEZ WSPARCIA

Rokrocznie po zakończeniu cyklu zawodów LOTOS Cup sponsor funduje stypendia i nagrody dla najlepszych młodych skoczków, którzy zwyciężyli w klasyfikacji generalnej całego turnieju. Kilkusetzłotowe stypendia przyznaje się najlepszym trzem skoczkom i kombinatorom norweskim w kategorii junior młodszy oraz młodzik, a skoczkowie narciarscy w kategorii senior i junior otrzymują nagrody finansowe, po zakończeniu każdej edycji zimowej zawodów. Zawodnicy, którzy zajęli miejsca od 4. do 6. w grupach wiekowych junior młodszy i młodzik, otrzymują nagrody rzeczowe. Trafiają one również do sześciu najlepszych skoczków w kategoriach chłopiec starszy i chłopiec oraz trzech najlepszych dziewcząt w kategoriach młodziczka i kobiety. Nie trzeba być znawcą, by zauważyć, że wsparcie finansowe w tej dyscyplinie sportu ma kolosalne znaczenie, do jej uprawiania wymagany jest bowiem specjalistyczny sprzęt, bez którego trudno myśleć nawet o rozpoczęciu przygody ze skokami.

Oprócz wspomnianego wyżej wsparcia LOTOS co roku przekazuje również nagrody finansowe dla najlepszych w rankingu sześciu klubów objętych programem. Fundusze, zgodnie z umową, są przekazane na działalności statutowe klubu związane bezpośrednio ze szkoleniem dzieci i młodzieży. Na wsparcie sponsora liczyć mogą również trenerzy młodych narciarzy. 20 szkoleniowców z najlepszych klubów otrzymuje comiesięcznie wynagrodzenie w wysokości 1,8 tys. zł. ●

Ambasador i najsłynniejsi wychowankowie programu LOTOS Szukamy Następców Mistrza

Kamil Stoch – ambasador programu LOTOS Szukamy Następców Mistrza, trzykrotny złoty medalista olimpijski, mistrz świata, mistrz świata w drużynie, z zespołem zdobył także brązowy medal MŚ w lotach, dwukrotny zdobywca Pucharu Świata, zwycięzca 39 konkursów PŚ, dwukrotny wicemistrz i brązowy medalista cyklu letniego, trzykrotny triumfator Turnieju Czterech Skoczni.

Dawid Kubacki – wychowanek programu LOTOS Szukamy Następców Mistrza, brązowy medalista olimpijski w drużynie, mistrz świata, mistrz świata w drużynie, z zespołem zdobył także dwa brązowe medale mistrzostw świata oraz brązowy medal MŚ w lotach, dwa razy był mistrzem, a także raz wicemistrzem letniego Grand Prix, triumfator Turnieju Czterech Skoczni, pięciokrotny zwycięzca konkursów PŚ.

Maciej Kot – wychowanek programu LOTOS Szukamy Następców Mistrza, brązowy medalista olimpijski w drużynie, mistrz świata oraz brązowy medalista w drużynie, triumfator letniego Grand Prix, dwukrotny zwycięzca konkursów PŚ.

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 41/1021/F

eprasa.pl 693012e7cd

Nasze Orły znów w powietrzu

Niesamowite skoki narciarskie to coś więcej niż zwykły sport

Ogromna popularność skoków narciarskich w Polsce sprawia, że już nieco do nich przywykliśmy i czasem traktujemy jak inne, „zwykłe" dyscypliny sportu. Tymczasem musimy pamiętać, że jest to tak naprawdę sport… ekstremalny, skrajnie niebezpieczny i wymagający od uprawiających go zawodników najwyższych umiejętności technicznych, a także dużej siły i wytrzymałości

NIE MA CZASU NA STRACH

Jak wiele naturalnych ludzkich barier muszą pokonać skoczkowie, domyśla się każdy, kto miał okazję stanąć na górze rozbiegu skoczni. Przełamanie strachu przed zjazdem w dół to jednak tylko początek trudności. Skoczek w zasadzie nie ma czasu na to, by bać się podczas zjazdu. Musi się skupić na tym, by jak najlepiej trafić z odbiciem, by zrobić to idealnie na progu skoczni. Z punktu widzenia telewidza może nie wydaje się to zadaniem nadto skomplikowanym, ale warto uświadomić sobie, że do wybicia dochodzi, gdy skoczek jedzie na nartach z prędkością ok. 90 km/h (skocznia duża) i ponad 100 km/h (skocznia mamucia). Oznacza to, że w sekundę skoczek pokonuje ponad 25 m zjazdu, a musi trafić idealnie w próg! Dodatkowo musi przezwyciężyć gigantyczny opór powietrza. Jak duży? Najłatwiej się o tym przekonać, wystawiając dłoń przez uchyloną szybę w aucie przy prędkości 100 km/h. W takich ekstremalnych warunkach skoczek podrywa całe swoje ciało do jak najpotężniejszego wybicia, które pozwoli mu przelecieć bezpiecznie nad tzw. bulą skoczni i dolecieć w rejony, gdzie lądowanie jest najbardziej pożądane. Skoki zepsute, czyli skoki krótkie, wcale nie należą do tych najbezpieczniejszych.

SPADANIE KONTROLOWANE

Dla lecącego w powietrzu „na twarz" człowieka naturalną reakcją byłoby wyciągnięcie rąk do przodu w geście obrony przed nachodzącym upadkiem. Skoczek ten odruch także musi przezwyciężyć i skupić się na jak najlepszym technicznie ułożeniu ciała w powietrzu i ładnym lądowaniu tzw. telemarkiem.

Sam skok trwa krótko, ale umiejętności i wytrenowanie ciała, jakie stoją za jego prawidłowym przebiegiem, są efektem wykonywanej latami ciężkiej pracy. Dodatkowo skoczkowie nigdy nie mogą odpuścić, jeśli chcą na dłużej utrzymać się w ścisłej czołówce. W żadnej innej dyscyplinie sportu nie ma chyba tak z pozoru niewytłumaczalnych upadków z samego szczytu. Wystarczy przypomnieć sobie takie nazwiska jak Primož Peterka czy Martin Schmitt, by się zorientować, że dominacja na skoczniach nigdy nie trwa bardzo długo. Po prostu utrzymywanie się na absolutnym topie przez wiele sezonów jest niemal nadludzkim zadaniem.

Tym bardziej szacunek należy się takim zawodnikom jak Adam Małysz czy Kamil Stoch, którzy potrafili utrzymywać się w ścisłej czołówce przez długie lata. Jakim kosztem?

„Zawsze jest trudno, nigdy nie jest łatwo, nigdy nie ma nic za darmo" – to jedna z najsłynniejszych wypowiedzi naszego multimedalisty i wielkiego mistrza Kamila Stocha. Te proste słowa najlepiej opisują cenę, jaką trzeba zapłacić za daleki skok i uwielbienie kibiców.

Dzięki temu, że w sobotę zawodami w rosyjskim Niżnym Tagile rozpoczął się kolejny, 43. już, sezon zimowego Pucharu Świata w skokach narciarskich, możemy znów się cieszyć tą niesamowitą rywalizacją jednych z najodważniejszych i najsprawniejszych ludzi na świecie. ●

Co nas czeka na skoczniach tej zimy

Puchar Świata, igrzyska i MŚ w lotach

20 listopada 2021 – Niżny Tagił (Rosja) – indywidualny konkurs PŚ
21 listopada 2021 – Niżny Tagił (Rosja) – indywidualny konkurs PŚ
27 listopada 2021 – Ruka (Finlandia) – indywidualny konkurs PŚ
28 listopada 2021 – Ruka (Finlandia) – indywidualny konkurs PŚ
4 grudnia 2021 – Wisła (POLSKA) – drużynowy konkurs PŚ
5 grudnia 2021 – Wisła (POLSKA) – indywidualny konkurs PŚ
11 grudnia 2021 – Klingenthal (Niemcy) – indywidualny konkurs PŚ
12 grudnia 2021 – Klingenthal (Niemcy) – indywidualny konkurs PŚ
18 grudnia 2021 – Engelberg (Szwajcaria) – indywidualny konkurs PŚ
19 grudnia 2021 – Engelberg (Szwajcaria) – indywidualny konkurs PŚ

29 grudnia 2021–6 stycznia 2022 – 70. Turniej Czterech Skoczni (Niemcy–Austria)
29 grudnia 2021 – Oberstdorf (Niemcy) – indywidualny (pkt. liczą się do PŚ)
1 stycznia 2022 – Garmisch-Partenkirchen (Niemcy) – indywidualny (pkt. liczą się do PŚ)
4 stycznia 2022 – Innsbruck (Austria) – indywidualny (pkt. liczą się do PŚ)
6 stycznia 2022 – Bischofshofen (Austria) – indywidualny (pkt. liczą się do PŚ)

8 stycznia 2022 – Bischofshofen (Austria) – indywidualny konkurs PŚ
9 stycznia 2022 – Bischofshofen (Austria) – drużynowy konkurs PŚ
15 stycznia 2022 – Zakopane (POLSKA) – drużynowy konkurs PŚ
16 stycznia 2022 – Zakopane (POLSKA) – indywidualny konkurs PŚ
21 stycznia 2022 – Sapporo (Japonia) – indywidualny konkurs PŚ
22 stycznia 2022 – Sapporo (Japonia) – indywidualny konkurs PŚ
23 stycznia 2022 – Sapporo (Japonia) – indywidualny konkurs PŚ
28 stycznia 2022 – Willingen (Niemcy) – drużyn mieszanych konkurs PŚ
29 stycznia 2022 – Willingen (Niemcy) – indywidualny konkurs PŚ
30 stycznia 2022 – Willingen (Niemcy) – indywidualny konkurs PŚ

4 lutego 2022–20 lutego 2022 – igrzyska olimpijskie w Pekinie (Chiny)
6 lutego 2022 – indywidualny konkurs olimpijski na skoczni normalnej
11 lutego 2022 – indywidualny konkurs olimpijski na skoczni dużej
14 lutego 2022 – drużynowy konkurs olimpijski

26 lutego 2022 – Lahti (Finlandia) – drużynowy konkurs PŚ
27 lutego 2022 – Lahti (Finlandia) – indywidualny konkurs PŚ
3 marca 2022 – Lillehammer (Norwegia) – indywidualny konkurs PŚ
4 marca 2022 – Oslo (Norwegia) – drużyn mieszanych konkurs PŚ
5 marca 2022 – Oslo (Norwegia) – indywidualny konkurs PŚ
6 marca 2022 – Oslo (Norwegia) – indywidualny konkurs PŚ

11 marca 2022–13 marca 2022 – mistrzostwa świata w lotach w Vikersund (Norwegia)
11 marca 2022 – indywidualny konkurs mistrzowski
12 marca 2022 – indywidualny konkurs mistrzowski
13 marca 2022 – drużynowy konkurs mistrzowski

19 marca 2022 – Oberstdorf (Niemcy) – indywidualny, loty, konkurs PŚ
20 marca 2022 – Oberstdorf (Niemcy) – indywidualny, loty, konkurs PŚ
25 marca 2022 – Planica (Słowenia) – indywidualny, loty, konkurs PŚ
26 marca 2022 – Planica (Słowenia) – drużynowy, loty, konkurs PŚ
27 marca 2022 – Planica (Słowenia) – indywidualny, loty, konkurs PŚ

Fot. Marcin Kaczioka/Shutterstock.com

RAZEM SKACZEMY DALEJ!

LOTOS | PZN 1919

Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa

epasa.pl 698012e7cd

Hit tygodnia

Apple iPhone 13

Na temat iPhone'a można mieć różne zdanie, lubić produkty Apple'a bądź wręcz przeciwnie. Ale premiera każdego nowego smartfona tej firmy przyciąga uwagę wszystkich. Zresztą nie ma co ukrywać, iPhone – jak i inne produkty Apple'a – stał się czymś więcej niż tylko zwykłym urządzeniem. Jest wyznacznikiem trendów, to część współczesnej popkultury. Nowy iPhone jest aż w czterech wersjach: iPhone 13, iPhone 13 mini, iPhone 13 Pro, iPhone 13 Pro Max. Modele różnią się między sobą wielkością, tak więc każdy (kto jest w stanie rozstać się z kilkoma tysiącami złotych bez większego problemu) znajdzie model dla siebie. Czym iPhone 13 może przyciągnąć nowych użytkowników? Na pewno możliwościami fotograficznymi i wideo, zwłaszcza Cinematic Mode, czyli trybem filmowym. Jeśli ktoś ma inne urządzenia Apple'a, to też wie, jak łatwo one z sobą współpracują. **Premiera**

Plusy i minusy

+ być może najlepszy smartfon, jeśli chodzi o robienie zdjęć, cały „ekosystem" dodatkowych urządzeń
– na pewno cena, ale produkty Apple'a nigdy tanie nie były

Robot do gotowania Mambo 8590

Na polskim rynku zadebiutował wielofunkcyjny robot do gotowania Mambo 8590 hiszpańskiej marki Cecotec. Robot jest w stanie zastąpić wiele dotychczas używanych urządzeń, pozwalając na zwiększenie przestrzeni w kuchni. Ma 30 trybów pracy, dających możliwość m.in. siekania produktów, ich mielenia, smażenia, tarcia, ubijania, mieszania, fermentacji, precyzyjnego gotowania stopień po stopniu. Urządzenie zostało także wyposażone w specjalną łyżkę MamboMix, która pozwoli na zagniatanie ciasta na makaron, chleb lub pizzę. Wbudowana waga umożliwia przyrządzanie posiłków z dużą precyzją, a pojemna 3,3-litrowa misa ze stali nierdzewnej umożliwi przygotowanie posiłków w większych ilościach. Mambo 8590 został wyposażony w wygodne akcesoria, m.in. koszyk i dwupoziomowy zestaw do gotowania na parze, co daje możliwość przyrządzania aż do czterech różnych potraw jednocześnie. Mambo 8590 ma duży cyfrowy wyświetlacz dotykowy z panelem sterowania. **Cena: 1145 zł**

Mikrofony Seiren V2 Pro i Seiren V2 X

Coraz więcej produktów powstaje specjalnie z myślą o osobach publikujących na żywo materiały wideo w przeróżnych serwisach społecznościowych. Nie dziwi więc, że firma Razer zaprezentowała nowe mikrofony kierowane do tzw. streamerów, czyli właśnie takich osób: Seiren V2 Pro i Seiren V2 X. Mikrofony mają niemal nieograniczone możliwości personalizacji dzięki bezpośredniej integracji z oprogramowaniem do miksowania dźwięku w Razer Synapse. Streamerzy mogą się cieszyć niezrównaną, niezależnie regulowaną kontrolą poziomów wejścia/wyjścia wielu źródeł dźwięku, aby w pełni dopasować dźwięk wysyłany do odbiorców do dźwięku, który sami słyszą podczas przesyłania strumieniowego. W Seiren V2 X ulepszono wielokrotnie nagradzaną formułę kultowego mikrofonu pojemnościowego Razera – Seiren X. Czysty i wyraźny dźwięk zapewniany przez Seiren V2 X będzie idealną bronią w arsenale każdego początkującego streamera. Seiren V2 Pro oferuje najlepsze w swojej klasie bogate i mocne dźwięki, które pozwalają streamerom na właściwe zaprezentowanie głębi i siły swoich głosów, z jakością tonalną znaną z audycji radiowych prowadzonych przez didżejów. Sugerowana cena: Seiren V2 Pro – 159,99 euro, i Seiren V2 X –109,99 euro. **Premiera**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 693012e7cd

Złota Piłka nie dla Lewandowskiego?

Czy Robert Lewandowski znów nie dostanie najbardziej prestiżowej, indywidualnej nagrody w piłce nożnej, czyli Złotej Piłki tygodnika „France Football"? Wynik głosowania dziennikarzy z całego świata trzymany jest w najskrytszej tajemnicy. Uroczysta gala odbędzie się 29 listopada w Paryżu. Wieści dobiegające z kuluarów są jednak dla nas niepokojące...

CEZARY KOWALSKI

Pierwszy raz o Złotą Piłkę Lewandowski walczył w 2013 r., jeszcze jako gracz Borussii Dortmund. Wśród 23 zawodników był 13. W 2014 r. nominacji nie dostał. W 2015 r. znalazł się tuż za Neymarem, Ronaldo i Messim (najlepszy wynik Polaka od czasów trzeciego miejsca Zbigniewa Bońka w 1982 r.). To wtedy był królem strzelców eliminacji Euro 2016 i strzelił pięć goli w dziewięć minut Wolfsburgowi.

Rok później zajął dopiero 16. lokatę, co skwitował w mediach społecznościowych słynnym określeniem „Le Cabaret". W 2017 r. był dziewiąty, w następnym nie dostał nominacji, a w 2019 r. skończył na ósmej lokacie.

PECH PANDEMII

Kiedy w 2020 r. wydawało się, że Polak po prostu musi ten tytuł zdobyć i po wygraniu Ligi Mistrzów z Bayernem był murowanym faworytem, Francuzi zdecydowali, że wyjątkowo nie będą przyznawać trofeum. Przesądził koronawirus.

Organizatorzy argumentowali, że co prawda rozgrywki w pandemii trwały, jednak nie wszędzie je dokończono (przerwano i nie wznowiono we Francji, Belgii i Holandii). A przecież równość i solidarność leżą u podstaw tej rywalizacji. „Jedni grali, a drudzy nie, jak można porównywać to co nieporównywalne?" – to był najbardziej chwytliwy argument, z którym można było się zgadzać lub nie. Ostatnia faza najbardziej istotnej rywalizacji w kontekście wyborów plebiscytu, czyli Liga Mistrzów, jednak się odbyła. Co prawda w specyficznej formule: turnieju „Final 8" na neutralnym gruncie w Portugalii, bez rewanżów. Ale jednak.

„Przy tytule z 2020 r. nie chcieliśmy umieszczać adnotacji informującej: »Trofeum zdobyte w wyjątkowych okolicznościach z powodu pandemii«" – tłumaczył redaktor naczelny „France Football".

Pech Lewandowskiego był wyjątkowy, bo Złotej Piłki nie przyznano pierwszy raz od 1956 r.! Mistrzostwa Europy przełożono, zatem musiały być brane pod uwagę w pierwszym rzędzie osiągnięcia w Lidze Mistrzów oraz w krajowych rozgrywkach. A w obu RL9 był rewelacyjny.

Zwycięstwa Portugalczyka i Argentyńczyka wydawały się przez lata przydzielane niemal z automatu. Ale realna szansa na przełamanie naszego asa istniała właśnie w 2020 r.

JEDNAK MESSI?

A jak jest dziś? Wieść gminna niesie, że znów piłkarskie cacko zgarnąć ma Messi. Czyli zawodnik, który przed laty przełamał pewien nieformalny schemat tworzenia hierarchii podczas głosowań.

Do 2010 r. zwyciężali z reguły ci, którzy byli częścią drużyn wygrywających wielkie turnieje. Nawet jeśli nie byli obiektywnie najlepszymi zawodnikami, to nieco na siłę wyszukiwało się przedstawiciela złotych medalistów. Tak było choćby w 2006 r., kiedy Złotą Piłkę dostał Fabio Cannavaro, wcale nie najbardziej spektakularnie grający obrońca, ale

Fot. Christof STACHE / AFP / EastNews

epresa.pl 693012e7cd

za to z drużyny włoskich mistrzów świata. Zdecydowanie mniej kontrowersyjne były tytuły dla Zinédine Zidane a w 1998 r. czy cztery lata później dla Brazylijczyka Ronaldo.

Liczyły się po prostu mistrzostwa. Żadnych szans na nominacje nie mieliby kiedyś Boniek ani Kazimierz Deyna, gdyby nie ich znakomita gra na mundialu.

Tradycja została złamana w 2010 r. Messi z Diego Maradoną, jako selekcjonerem, przegrali mundial z Niemcami 0:4 już w ćwierćfinale, mimo to Argentyńczyk dostał Złotą Piłkę. A przecież gwiazdami turnieju byli Hiszpan Andrés Iniesta, Urugwajczyk Diego Forlan, Niemiec Thomas Mueller czy Holender Wesley Sneijder. W Barcelonie też Messi nie miał sezonu życia.

Akurat wtedy „France Football" eksperymentalnie połączył siły z FIFA i obok dziennikarzy do głosowania na gracza roku włączono selekcjonerów i kapitanów drużyn narodowych. Jak by było, gdyby głosowali tylko dziennikarze, nie wiadomo, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że Messi wygrał wtedy, bo wyjątkowo nie patrzono na konkretne osiągnięcia, ale doceniono geniusz rozwijającej się w tamtym czasie gwiazdy futbolu. Argentyńczyk był po prostu najefektowniej, najpiękniej grającym piłkarzem na kuli ziemskiej.

Teraz, niestety z naszego punktu widzenia, może być podobnie. Co prawda Robert pobił rekord Gerda Muellera i wbił w Bundeslidze aż 41 goli w minionym sezonie, ale z Bayernem w Lidze Mistrzów poszło mu już gorzej. Niczego nie osiągnął również z reprezentacją Polski na mistrzostwach Europy. Co prawda Messi, zamieniając Barcelonę na PSG, również w klubie obniżył loty, ale poprowadził Argentynę po Copa America, wreszcie osiągając namiastkę tego, co jego wielki poprzednik, zmarły w ub.r., Maradona.

Dodając do tego wciąż powszechnie uwielbienie i zachwyt jego piłkarskim geniuszem, a także utrzymujący się od lat wizerunek skromnego chłopaka z sąsiedztwa, wydaje się, że bez jakiejś spektakularnej przewagi Polaka Lewandowski nie ma szans pokonać Argentyńczyka w oczach głosujących.

Czy przyznanie w tym roku Robertowi prestiżowej nagrody mogłoby być jakąś formą zadośćuczynienia za poprzedni rok? Raczej tak to nie działa. Tutaj kryterium bez wątpienia nie jest jakaś sprawiedliwość dziejowa czy nawet tylko szczegółowe porównanie i wyważenie poszczególnych osiągnięć. Kluczowa jest raczej zbiorowa wyobraźnia, tzw. medialność. Ilekolwiek goli Lewandowski wbije dla Bayernu, będzie on jednak zawodnikiem klubu znacznie mniej spektakularnego niż te z Hiszpanii, Anglii, a nawet Włoch. Owszem, Messi odszedł niedawno do milionerów z Paryża, ale nikt się jeszcze do tego tak na dobre nie przyzwyczaił i w świadomości ludzi świata piłki sytuowany jest wciąż gdzieś indziej. Przede wszystkim jako marka globalna, ponad chwilową przynależność klubową.

> Bez względu na obecne rozstrzygnięcie Lewandowski powalczy o indywidualne trofeum w kolejnych latach. Każdy, kto zna Roberta, wie, jak bardzo mu na tym zależy

Z tym się mierzył i wciąż będzie się mierzyć napastnik reprezentacji Polski. Próbując zburzyć hierarchię w światowej piłce, musiałby chyba zmienić ligę i spróbować jeszcze gdzieś indziej. Na jego korzyść działa też to, że jest nieco młodszy od Messiego i Cristiano Ronaldo. Niewykluczone, że on wciąż będzie strzelał, gdy tamci definitywnie zejdą ze sceny i naturalnie przesunie się na ich miejsce. Może też wtedy głosujący dadzą coś Polakowi za całokształt?

JAK NIE TERAZ...

Ale nadzieją dla nas podczas obecnego rozdania jest to, że raz od 2008 r. udało się przełamać hegemonię argentyńsko-portugalską. W 2018 r. plebiscyt wygrał Luka Modrić. Tyle że Chorwat zdobył wówczas w pięknym stylu wicemistrzostwo świata i poprowadził Real Madryt do trzeciego z rzędu, a czwartego w ciągu pięciu lat triumfu w Lidze Mistrzów. No i gra w najbardziej medialnym klubie świata.

Gdyby liczyć na kolejną niespodziankę, to biorąc pod uwagę wszystkie wymienione wyżej czynniki, największą szansę powinien mieć w tym roku Jorginho. Brazylijczyk, grający dla reprezentacji Włoch, sięgnął po mistrzostw Europy i wygrał z Chelsea Ligę Mistrzów.

Bez względu na obecne rozstrzygnięcie Lewandowski powalczy o indywidualne trofeum w kolejnych latach. Każdy, kto zna Roberta, wie, jak bardzo mu na tym zależy. I nie mają tu żadnego znaczenia jego wypowiedzi o tym, że w tej grze liczy się zespół, a nie prywatne cele. Byłby to, poza osiągnięciami z reprezentacją, na które się jednak nie zanosi, chyba ostatni mur, który mógłby w swojej piłkarskiej karierze skruszyć.

WIOLETA BŁAZUCKA AUTORKA BLOGA, VLOGA ORAZ KSIĄŻKI „PIEROGI Z KIMCHI"

Wiola w Korei

Najpopularniejsze nagrania udostępnione przez nią na kanale „Pierogi z kimchi" – „Reakcja koreańskiej rodziny na Polkę", „Moje mieszkanie w Korei" – mają ponad pół miliona wyświetleń. Jak wyglądał jej ślub w Korei, czy i jak robi kimchi, chciało obejrzeć ponad 450 tys. osób. Liczba stałych subskrybentów zbliża się do 150 tys. Na spotkania promujące książkę „Pierogi z kimchi. Koreańskie smaki dla każdego" (wyd. Znak Koncept) ustawiają się kolejki. Czym autorka podbiła serca odbiorców?

Ciepła, naturalna, uśmiechnięta, ciekawie opowiada o świecie, w którym się znalazła, który od kilku lat odkrywa, a którego od czterech jest jego częścią. Na dodatek – to raczej najważniejszy element jej obecnego życia – funkcjonuje w nim (i przed kamerką telefonu) z bardzo ważną osobą u boku – panem Sonu. Ich relacje budują pozytywny obraz macierzyństwa, które młodej mamy nie przytłacza, ale rozwija. Dokładając zadań i dając jednak przestrzeń na nowe doświadczenia.

„Siemanko!", którym zaczyna swoje filmy i charakterystyczny zaśpiew pożegnalnego: „Pa, paaa", sprawiają, że każde nagranie z nią jest jak spotkanie z bardzo pozytywną, bliską osobą. Tak też odbierają ją widzowie, o czym świadczyć mogą pełne ciepła komentarze. A co znajdziemy w książce? Jak zapewnia autorka, wszystkie przedstawione przez nią koreańskie dania są łatwe w przygotowaniu. Ze składnikami też nie powinno być problemu.

Jolanta Gajda-Zadworna

Białe kimchi

Dzięki białemu kimchi nawet osoby, które nie mogą lub nie lubią jeść ostrych potraw, będą się cieszyć jego dobroczynnymi właściwościami. To jeden z nielicznych rodzajów kimchi, który nie jest ani odrobinę ostry! Wspaniale sprawdza się jako przystawka do wszystkich koreańskich potraw. Doskonale pasuje też do pikantnych dań, kiedy chcemy coś przegryźć, ale nie zamierzamy dobijać kubków smakowych ostrym kimchi. Białe kimchi jest wspaniałą przystawką, ale rzadko używa się go do gotowania, dlatego proporcje w tym przepisie są znacznie mniejsze niż w podstawowym przepisie na kimchi.

Składniki: 1 duża kapusta pekińska (lub dwie małe – o łącznej wadze ok. 1½ kg), 1/3 szklanki soli + 3 łyżki, 1 średniej wielkości biała rzodkiew, 1 średniej wielkości marchewka, 4 cebulki dymki, 800 ml przegotowanej i ostudzonej wody.

Sos: 1 duża cebula, 1 gruszka lub jabłko, 5 ząbków czosnku, kawałek imbiru (ok. 2 cm).

Potrzebne akcesoria: duża miska, blender (opcjonalnie), szklane lub ceramiczne pojemniki do przechowywania gotowego kimchi.

Wykonanie: Kapustę kroimy na ćwiartki, tak żeby liście cały czas były połączone na dole. Każdą ćwiartkę myjemy i przekładamy do dużej miski. Kapustę nacieramy solą (powinniśmy zużyć do tego ok. 1/3 szklanki soli) i zostawiamy na półtorej godziny, żeby sól wniknęła w kapustę i zmiękczyła ją. Przygotowujemy resztę składników – rzodkiew i marchewkę kroimy w cienkie zapałki (możemy też zetrzeć je na tarce o grubych oczkach). Cebulkę dymkę kroimy na kawałki o wielkości ok. 2 cm. Przygotowujemy sos: na tarce ścieramy cebulę (tak jak do placków ziemniaczanych) i gruszkę lub jabłko, czosnek przeciskamy przez praskę, a imbir drobno siekamy. Wszystkie składniki łączymy z sobą. Całość możemy też po prostu wrzucić do blendera i zmiksować na gładką masę. Do dużej miski wlewamy wodę, dodajemy wcześniej przygotowany sos i 3 łyżki soli, dokładnie mieszamy. Jeśli upłynęło już półtorej godziny od zasolenia kapusty, płuczemy ją dokładnie, żeby pozbyć się nadmiaru soli. Pomiędzy liście wkładamy wcześniej pokrojone warzywa: marchew, rzodkiew oraz cebulkę. Tak nafaszerowane ćwiartki kapusty układamy w pojemniku i zalewamy wodą wymieszaną z sosem. Kapustę warto docisnąć ciężką miseczką lub talerzem, tak żeby warzywa nie wypływały nam na powierzchnię wody. Całość zostawiamy w temperaturze pokojowej na dwa lub trzy dni, w zależności od warunków panujących w naszym domu, a następnie przenosimy do lodówki, w której może leżeć bardzo długo. Kimchi jest smaczne już po dwóch lub trzech dniach wstępnego kiszenia, ale najlepiej smakuje schłodzone, dlatego warto rozpocząć delektowanie się nim najwcześniej dzień po włożeniu do lodówki. Podajemy je jako przystawkę do koreańskich potraw (świetnie pasuje do każdej z nich), dobrze sprawdzi się też jako surówka do polskiego obiadu!

eprasa.pl 693012e7cd

SŁODKO-SŁONY

Szarlotka z bezą

ANNA MONICKA

Przyjechali do nas na listopadowe święto goście. Rocznicę odzyskania niepodległości uczciliśmy w rodzinnym gronie, spacerując nad Bugiem, który mienił się w słońcu jak srebrzysta wstęga. Nie przeszkadzało nam nawet specjalnie to, że następny dzień był mglisty i czarny, bo rodzina przywiozła prezent. I to nie byle jaki. Całą wielką blachę szarlotki z bezą. Siedzieliśmy godzinami przy herbacie, przeglądaliśmy rodzinne zdjęcia i dokumenty – moi rodzice mają akty urodzin i ślubów naszych przodków z połowy XIX w. – więc próbowaliśmy narysować drzewo genealogiczne, dociekaliśmy, kto z kim i kiedy, odkrywaliśmy rodzinne tajemnice i skandale. Bo się okazało, że jedna prababcia, piękna kobieta z grubym jak ręka warkoczem, spoglądająca łagodnie ze zdjęcia zrobionego w latach 30. u fotografa gdzieś w Katowicach, miała w rzeczywistości ognisty temperament i po jakiejś awanturze uciekła po prostu od pradziadka, zabierając nieletnie dzieci. Takie zachowania u kobiet nie były w tamtych czasach mile widziane, więc tajemnica utrzymywała się latami. Na szczęście prababki z rodzinnej historii nikt nie wygumkował...

Ale wracając do szarlotki – dawno nie jadłam równie smacznej. A że przepis jest prosty, szybki, a samo ciasto jakoś lepiej nastraja do świata w paskudne listopadowe popołudnia, które zlewają się z wieczorami, podaję go, korzystajcie. Na spód idzie kruche ciasto zrobione z dwóch szklanek mąki, kostki masła, pół szklanki cukru i trzech żółtek. Trzeba je zagnieść, zrobić kulę i włożyć na pół godziny do lodówki, a potem wykleić nim wyłożoną pergaminem blachę, ponakłuwać widelcem i podpiec 20 min w 200 st. C. Jeśli nie macie jabłkowej pulpy z lata, w kilkanaście minut zrobicie ją z półtora kilograma kwaśnych jabłek. Obrane i pokrojone trzeba poddusić na łyżce masła i takie nie do końca uprażone wyłożyć na ciasto. Pomiędzy można podsypać skórkę pomarańczową albo rodzynki. Na to wszystko idzie bezowa pianka bita przez kwadrans z sześciu białek i półtorej szklanki cukru ze szczyptą soli. Ciasto piecze się 15 min w 180 st. C i dosusza jeszcze pół godziny w 130 st. C, bo beza ma być chrupiąca. Polecam na długie i bure wieczory.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Dzikość i łasica

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dzikość jest cenna. A będzie jeszcze cenniejsza. Dzikość rozumiana jako naturalność ekosystemów i różnorodność gatunków, odmian i lokalnych, różniących się między sobą populacji różnych organizmów. Jako danie szansy przyrodzie na swobodne działanie, na stworzenie czegoś, co robi lepiej od nas.

Zakładamy kwietne łąki, a jednocześnie kosimy trawniki tak często, że trawy nie zdążą wydać nasion. Grabimy liście i jednocześnie próbujemy stworzyć miejsca, w których jeże mogłyby się zagrzebać i przezimować. Robimy place i parki, zaczynając od wycięcia krzewów i drzew i od betonowania. Przy trasie, którą często jeżdżę rowerem, był skrawek pięknych chaszczy. Wysokie trawy, dużo dzikich kwiatów, pokrzywy, jeżyny. Oaza dla zwierząt. Ostatnio zaczęto robić tam skwer. Najpierw usunięto całą zieleń do gołej ziemi. Później, w pyle i hałasie, położono wiele dziesiątków metrów kwadratowych kostki, robiąc alejki. Pomiędzy nimi na tym, co zostało, mają rosnąć kwiaty. Nawet jeżeli rzeczywiście kwiaty się pojawią, zieleni będzie mniej. I mniej dzikości.

Dlaczego dzikość jest ważna? Jest synonimem bioróżnorodności. Rozmaitości form życia, które nas otaczają i dzięki którym żyjemy. To z dzikich roślin powstały rośliny uprawne żywiące ludzkość. Pulę genetyczną roślin hodowlanych, będących często powielonymi klonami, trzeba regularnie wzbogacać, sięgając do zróżnicowanych genów ich dzikich krewnych. Inaczej pszenica, ziemniaki, jabłonie i wszystko to, z czego korzystamy, przyjmując pełne półki w sklepach i na stragany za oczywistość, wyrodzi się i przestanie dawać plony. W populacjach dzikich roślin z różnych zakątków świata wciąż odkrywane są substancje lecznicze. Dzikie trzmiele i motyle zapylają rośliny, zastępując malejącą populację hodowlanych pszczół. To tylko przykłady.

Krakowskie Błonia to 40-hektarowa łąka w centrum miasta, pośród coraz gęstszej zabudowy. Piękna, pokrywająca się wilgotną mgłą wieczorami i oczyszczająca powietrze. Kilka dni temu moją uwagę pośród traw przykuł nagły ruch. Mała brązowo-biała łasica. Stanęła słupka, rozejrzała się i zniknęła w kretowisku. Jak drapieżny ssak potrafi przeżyć w miejscu, w którym codziennie spacerują setki ludzi i psów, a ulicami wokół pędzą auta?

A jednak. Ta łasica jest symbolem dzikości, która przetrwa – o ile damy jej szansę.

eprasa.pl 693012e7cd

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Fronty wojny

Wydarzenia na naszej wschodniej granicy i towarzyszące im reakcje polityczne mają podobnie wysoką dynamikę. Raptem Aleksander Łukaszenka, nieuznawany przez UE za legalnego prezydenta Białorusi, doznaje przywileju rozmowy z kanclerz Niemiec i prezydentem Francji. Powiało grozą, gdyż dla nas wszelkie rozmowy niemiecko-rosyjskie, bo w tym konflikcie Białoruś jest tylko rosyjskim agresorem zastępczym, przywołują najgorsze historyczne zdarzenia. Nie dziwi zatem szybka reakcja prezydenta Andrzeja Dudy, który nie znając treści rozmów, odciął się od ich skutków politycznych, oświadczając, że Polska nie zaakceptuje żadnych postanowień niemiecko-rosyjskich uzgadnianych poza naszymi plecami. Niestety, Angela Merkel kończy swoje urzędowanie w fatalnym stylu, a zaczynała od deklaracji, że jadąc do Rosji, będzie się zawsze zatrzymywała na konsultacje w Warszawie.

Tak więc polityka europejska powraca na swoje dawne ścieżki dwustronnych interesów, a Komisja Europejska i inne jej instytucje obudowane licznymi deklaracjami o wartościach, zasadach i europejskiej solidarności to – mówiąc kolokwialnie – pic na wodę i fotomontaż.

Najważniejsze, że Polska nie pęka. TSUE bezprawnie nakłada na Polskę kolejne kary, lewacki Parlament Europejski przyjmuje następne nienawistne względem Polski uchwały, szefowa KE w kółko bredzi o konieczności likwidacji Izby Dyscyplinarnej SN, która właśnie teraz przyspieszyła swoje procedowanie i zabrała się za sędziów pijaków, łapowników i gwałcicieli.

Tymczasem minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro zapowiada dalsze wnioski do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie IDSN i Turowa oraz odsłania założenia projektu organizacji sądów powszechnych. Trzymamy się własnej politycznej linii, która stoi na gruncie przestrzegania polskiej konstytucji i prawa Unii Europejskiej.

Godny spokój zachowuje prezes PiS Jarosław Kaczyński. Wśród zagrożeń na pierwszym miejscu stawia wojnę hybrydową, dalej totalną opozycję (która „za nic ma polskie interesy"), inflację oraz kolejną falę epidemii koronawirusa. We wszystkich tych sprawach przyszłość jest trudna do przewidzenia. Bo z jednej strony notujemy europejską solidarność z Polską broniącą wschodniej granicy UE, z drugiej uznawani jesteśmy za agresorów, sprawców kryzysu humanitarnego, czego konsekwencją są ostatnie decyzje unijne o przeznaczeniu 200 tys. euro na pomoc humanitarną dla białoruskiego Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca. Na ten cel rezerwuje się kolejne pół miliona euro.

Pomysł zalania Europy i Polski migrantami z Bliskiego Wschodu wciąż pozostaje aktualny. Dla europejskiej i polskiej lewicy migranci to nowa klasa robotnicza, która będzie ich politycznie wspierała, wyprze znienawidzone chrześcijaństwo z jego etyką i dokona ostatecznej rewolucji kulturowo-społecznej. Dlatego w walce z obecnym rządem totalna opozycja jest po stronie migrantów, przeciwko obrońcom naszych granic, nie godzi się na stałą zaporę, domaga się sankcji i kar dla Polski ze strony UE, oczekuje blokady wypłaty pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy.

Celem UE jest obalenie obecnego polskiego rządu. Tak twierdzi dziś nie tylko eurodeputowany prof. Ryszard Legutko. Ma się to dokonać rękoma Donalda Tuska, który zresztą nie kryje tego celu. I nie jest w tym sam. Trzecia władza (głównie judykatura) jest na wojnie z władzą wykonawczą, prezydentem oraz Sejmem, czyli połową władzy ustawodawczej. Polska samorządowa stale konfliktuje się z władzą rządową, centralną. Teraz oskarża rząd o uszczuplenie samorządowych dochodów w związku z wprowadzeniem Polskiego Ładu. Prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz mówi nawet o stracie 270 mln zł. Rząd twierdzi, że samorządy nie stracą na reformie i dementuje te informacje. Równocześnie samorządy, upolitycznione i zideologizowane, zupełnie nieliczące się z obywatelami, wydają pieniądze na niebezpieczne idiotyzmy. Ile musi kosztować kolejna akcja propagandowa, którą widzimy teraz w miastach rządzonych przez opozycję. „Mieszkam w Olsztynie, żyję w Europie". „Mieszkam w Warszawie, Gdańsku itd., żyję w Europie". To więcej niż pranie mózgu, to świadomy zamiar budowania Europy bez państw narodowych, tworzenia wizji jednego wielkiego „państwa europejskiego".

Kto mówi, że mieszka w Europie, a nie w Polsce? Tylko jakiś wynarodowiony, pozbawiony polskości kretyn albo bezkrytyczny wychowanek prof. (sic!) Magdaleny Środy. W niezastąpionej, ze względu na szczerość wypowiedzi, „Gazecie Wyborczej" napisała: „Kierunek naszego rozwoju jest prosty – odnarodowić państwo, a potem odpaństwowić wspólnoty, wtedy uniwersalne idee człowieczeństwa i jego praw będą miały przestrzeń do rozwoju". Taki jest cel dużej części polskich lumpenelit – człowiek bez właściwości, wynarodowiony bezpaństwowiec, tępy intelektualnie kosmopolita.

www.wojciechreszczynski.pl

Troska twórcy o reputację

Jerzy Jachowicz

Mocne słowa, m.in. „Jest pan debilem", jakimi obrzuciłem naszego starostę, na którego zresztą nie głosowałem, były wyrazem mojej krytyki i zaniepokojenia, że zachowuje się on niestosownie wobec pana wojewody. Jestem zatroskany o losy powiatu, a to, co się stało, narażało na szwank jego reputację – powiedział podczas szczęśliwie zakończonego dla niego procesu w Helenowie Staropolskim miejscowy muzyk Romek Mojski.

Dwa lata temu, po wyborze nowego wojewody, wielu starostów, zgodnie z dobrymi obyczajami współpracy, wysłało na jego ręce obszerne gratulacje. Jedynie starosta Helenowa zamiast gratulacji przekazał kilka wyświechtanych zdań. Takie zachowanie starosty wzburzyło miejscowego twórcę muzycznego.

Akurat tak się złożyło, że w czasie, kiedy starosta wizytował służbowo miejscowy bazar, był na nim Romek Mojski, który raz w tygodniu zaopatrywał się tam w świeże jajka. To wtedy właśnie muzyk zwymyślał publicznie starostę, w obecności wielu świadków. Jeden z nich z własnej inicjatywy skierował wniosek do prokuratury o ukaranie Romka Mojskiego, pisząc, że zachowanie twórcy „uwłaczało godności wysokiego urzędu państwowego pana starosty".

Romek Mojski, popularny w powiecie muzyk, kompozytor i wykonawca, uprawia tzw. white-rap, gatunek modny wśród polskich twórców nowej generacji, urodzonych w latach 80. Dopiero w ostatnich latach twórca odnotował pierwszy, bardziej znaczący sukces. Była nim prezentacja najnowszego utworu – songu na jeden głos (jego własny) „Przemoc w białych rękawiczkach", podczas otwarcia świetlicy w Powiatowym Centrum Terapii Odwykowej.

W miniony piątek sąd uniewinnił Mojskiego. – Motywacje oskarżonego wyrastały ze szlachetnej postawy, której budulcem jest silne poczucie lokalnego patriotyzmu – uzasadniał sędzia Karol Drobny.

– Mieliśmy troszkę szczęścia – powiedział obrońca muzyka naszemu sprawozdawcy sądowemu Jerzemu Jachowiczowi. – Sprawę rozpatrywał sędzia z rozdania poprzedniej KRS i nominacji prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Reklama | 60/1021/r

Boże, czemu zabierasz najlepszych z nas tak szybko do siebie?

5 listopada 2021 r. odeszła

ELIZA BIŃKOWSKA-SŁYK

Wspierała rodziny jako mediator i kurator rodzinny.
Jest współautorką podręcznika dla narzeczonych i małżonków.

Żona i mama.

Jurkowi i rodzinie

składam w imieniu całego pogrążonego w smutku zespołu Fundacji Mamy i Taty kondolencje.

Marek Grabowski
Prezes Fundacji Mamy i Taty

eprasa.pl 693012e7cd

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Bąkiewicz i zez

Aleksander Nalaskowski

Pastwienie się nad Bąkiewiczem, że się przejęzyczył, myląc krużganek z kagańcem, jest po prostu małością tych, którzy próbują zeń zrobić idiotę. Skoro jednak nie było zadym, Warszawa stoi po marszu, jak stała, minister od służb specjalnych nie podpalił żadnej ruskiej budki, to trzeba koniecznie coś znaleźć. No i uruchomiono rodzimych językoznawców, którzy powypisywali w polskojęzycznych mediach prawdziwe elaboraty, wykładając gawiedzi, jak to błąd językowy przekłada się na niesłuszność i podłość Marszu Niepodległości. Krużganek stał się błędem wręcz zbrodniczym i przyćmiewającym „plusy dodatnie i plusy ujemne" Bolesława czy „Sześciu Króli" Petru.

Wszystko to brzmi jak podpowiedź dla gawiedzi, z czego wypada się śmiać. Grono bufonów wyjaśniało swojej sforze, co oznacza metafora kaganka oświaty. Przy okazji samo wpadło w pułapkę nieuctwa, bo taki np. Słowacki w wierszu „Testament mój" pisze: „Lecz zaklinam – niech żywi nie tracą nadziei przed narodem niosą oświaty kaganiec". Określenie „kaganek" jest zdrobnieniem od kagańca tym chętniej używanym, że kaganiec w potocznym rozumieniu to osłona psiego pyska. O tym sfrustrowani komentatorzy już zapewne nie wiedzą. Ale zostawmy tych wszystkich przemądrzałych, niech się kompromitują sami, niosąc politpoprawny kaganiec oświaty po meandrujących krużgankach opozycji.

Interesuje mnie tutaj coś zupełnie innego, a mianowicie sam charakter Marszu Niepodległości, wydarzenia, które znokautowało lewoliberalną warszawkę i jej okolice. Bo oto marsz był „dla czegoś", był wydarzeniem nie przeciw, ale za. Jedynym takim w Polsce od lat! Nokaut był skutkiem ubocznym. To, co mamy na ulicach naszej codzienności, jest zawsze tylko przeciw. Jest namiastką wojny, jest rodzajem bezrękoczynowej (w przewadze) inwazji. Taka jest również cecha tzw. marszów równości. Hasło ośmiu gwiazdek jest zawołaniem do „zniszczenia wroga", a nie do uczczenia czegokolwiek.

Marsz Niepodległości, mimo usilnych starań i utyskiwań Trzaskowskiego, mimo „Wyborczej", Onetu i TVN, mimo nazywania go „orgią nienawiści", nie miał charakteru interwencyjnego, w nic nie ingerował, niczego nie żądał – był po prostu świętem. Nazywanie ponad 100 tys. Polaków idących z flagami narodowymi, z rodzinami, w spokoju i z radością, nacjonalistami, faszystami czy nazistami urąga nie tylko faktom, ale i językowi polskiemu. I jest to podłość wobec polszczyzny tak wielka, że choćby Bąkiewicz sto razy powtórzył passus o krużganku, to byłby on jak ziarnko maku przy dyni zniesławiania. Bąkiewicz zrobił lapsus, ale sprawozdawcy na usługach „wolnych mediów" popełnili całkiem świadomie szydercze kłamstwo. I nie mogli zostać „wprowadzeni w błąd", bo naocznie widzieli to, co komentowali. Ich mózgowe półkule rozjechały się w pociesznym szpagacie. Jedna mówiła to, czego druga absolutnie nie widziała. Informacyjny zez rozbieżny w zezowatych mediach.

Paradoksalnie to jeden z największych sukcesów Polaków idących w marszu. Bo media mu nieprzychylne dokonały striptizu publicznego, obnażyły się i pozwoliły niezdecydowanym dotąd obywatelom uzyskać dowód na ich niewiarygodność. Nadto zapewne większość z ponad 100 tys. uczestników marszu oglądała potem audycje z komentarzami i dowiadywała się, że tak naprawdę to nieśli flagi brunatne i niemal hejlowali. I teraz przy okazji rodzinnych spotkań czy zbliżających się świąt będą szeroko informować bliskich o kłamstwach TVN czy Onetu. Mają bowiem status naocznych świadków, a więc kasujący wszystkie informacje z kategorii „a podobno na tym marszu...".

Spalenie podobizny Tuska i flagi niemieckiej było ponad wszelką wątpliwość taką prowokacją jak incydent w Kaliszu. Wyuczone teksty, „przypadkowo" będąca w pobliżu kamera, czyli casus słynnego Hadacza albo „Joanny od Krzyża". Ktoś jeszcze pamięta? Na odległość zalatywało ustawką.

Zastanawia mnie jedna jeszcze rzecz. Otóż dlaczego ci, którzy tak utyskują o zawłaszczeniu marszu, nie przyłączyli się do niego? Wszak świętowaliśmy naszą niepodległość. Dlaczego nie poszli w tym spokojnym spacerze od ronda do stadionu? Rozumiem starych i młodych komunistów, czyli tzw. Nową Lewicę. Oni wciąż skandują o proletariuszach bez ojczyzny, co to mają się połączyć. Ale dlaczego nie poszli w marszu komentatorzy, którzy tak ochoczo go potem krytykowali? Poszliby chociaż z czystej ciekawości. Czy ktoś selekcjonował maszerujących? Były jakieś przepustki, kryteria, bramki? Na pielgrzymkach do Jasnej Góry idą pątnicy z różnymi intencjami, każdy ma swoją. Ale ich marszruta jest identyczna. Czyż radość z Niepodległej nie była tego dnia naszym częstochowskim klasztorem paulinów?

Chyba wyjaśnienie znajdujemy w niemieckiej przemowie Bodnara. Ten były rzecznik praw obywatelskich stał się rzeczywistym rzecznikiem swojej formacji. Osobliwą niemczyzną powiedział naszym sąsiadom: „My być wasza niewolnika, wy trzeba pilnować nasza łańcuch". Dla mnie to wystarczający powód, aby z ugrupowaniami, które nie wrzasnęły do rzecznika: „Zamilcz głupcze!", nie rozmawiać o absolutnie żadnej sprawie dotyczącej naszego kraju. Nawet o cenach biletów tramwajowych. Jak mawia znajomy sztygar: „Won za Don!".

eprasa.pl 693012e7cd

Wsparcie dla małych przetwórców i RHD

Od 30 listopada do 29 grudnia 2021 r. Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa będzie przyjmowała wnioski o „Wsparcie inwestycji w przetwarzanie produktów rolnych, obrót nimi lub ich rozwój" w ramach PROW na lata 2014–2020

Ta oferta pomocy skierowana jest do dwóch grup odbiorców. Pierwszą stanowią ci, którzy zdecydują się na zarejestrowanie działalności gospodarczej w zakresie przetwórstwa produktów rolnych – wówczas mówimy o tzw. małym przetwórstwie. Druga grupa to osoby, które nie chcą rejestrować działalności gospodarczej i decydują się na przetwórstwo w ramach rolniczego handlu detalicznego (RHD).

KTO MOŻE ZOSTAĆ BENEFICJENTEM?

O wsparcie na tzw. małe przetwórstwo i rolniczy handel detaliczny (RHD) mogą się ubiegać:

- rolnicy, a także domownicy lub małżonkowie rolników, którzy zdecydują się na prowadzenie działalności gospodarczej w zakresie przetwarzania produktów rolnych;
- rolnicy lub ich małżonkowie, którzy prowadzą lub podejmują działalność przetwórczą i sprzedaż produktów przetworzonych w ramach RHD.

Co ważne, obie grupy muszą podlegać obowiązkowemu ubezpieczeniu rolników w pełnym zakresie.

O JAKIE DOFINANSOWANIE MOŻNA SIĘ UBIEGAĆ?

Zainteresowani wsparciem mogą się starać o refundację do 50 proc. kosztów kwalifikowanych poniesionych na realizację inwestycji służących przetwórstwu, m.in. mleka, mięsa, owoców i warzyw, zbóż lub ziemniaków, a także przetwarzaniu produktów rolnych na cele energetyczne czy zamrażaniu lub przechowywaniu płodów rolnych. Jednak dla każdej z grup określony został inny limit pomocy. Rolnicy prowadzący działalność w ramach RHD będą mogli otrzymać do 200 tys. zł – dotąd było to dwukrotnie mniej. A ci, którzy prowadzą bądź będą chcieli założyć działalność gospodarczą, będą się mogli starać o 500 tys. zł (tak jak dotychczas).

W CO MOŻNA ZAINWESTOWAĆ?

Wsparcie można otrzymać m.in. na budowę, rozbudowę lub modernizację budynków wykorzystywanych do prowadzenia działalności przetwórczej czy zakup oraz instalację maszyn lub urządzeń do przetwarzania i magazynowania. Pomoc dotyczy także inwestycji związanych z dostosowaniem pomieszczeń pomocniczych służących przygotowaniu posiłków (np. kuchni) i pomieszczeń gospodarczych przeznaczonych do przechowywania produktów żywnościowych. Pieniądze można też przeznaczyć na zakup maszyn czy urządzeń służących ochronie środowiska.

W tym naborze zakres inwestycji objętych wsparciem został rozszerzony – teraz będzie się można ubiegać o dofinansowanie zakupu specjalistycznych środków transportu. Wsparcie będzie można otrzymać m.in. na cysterny, silosy, chłodnie czy izotermy, przeznaczone do przewozu produktów rolnych, których transport powinien się odbywać w szczególnych warunkach. Pomoc będzie udzielana także na zakup środków transportu niezbędnych do sprawnego przebiegu procesu technologicznego lub magazynowania, a także wykorzystywanych do sprzedaży produktów rolnych czy też służących do przewozu zwierząt przeznaczonych do uboju.

GDZIE MOŻNA SKŁADAĆ WNIOSKI?

Wnioski o wsparcie należy składać w oddziale regionalnym ARiMR. Dokumenty będzie można dostarczać osobiście, przez upoważnioną osobę, rejestrowaną przesyłką nadaną w placówce Poczty Polskiej lub za pośrednictwem skrzynki podawczej ePUAP.

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 47/1121/F
Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 693012e7cd

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Kim był Chopin?

Krajowa parodia elity wpada w spektakularne korkociągi umysłowo-pomysłowe

Organizatorzy koncertu „Chopin też był uchodźcą" chcieli nam wmówić, że na granicy z Białorusią czeka na wtargnięcie do nas parę tysięcy wybitnych muzyków. Zadęcie przed imprezą wspierającą hybrydowe harce Łukaszenki sięgało zenitu. Zapowiedziano udział gwiazd gwarantujących piorunujący efekt: Stanisław Soyka, Danuta Stenka, Maja Komorowska, Marian Opania, Zbigniew Hołdys, Alicja Majewska, Aga Zaryan. Jacek Kleyff!!! No i co? Głupio wam. Taka śmietana towarzyska nie może się mylić! To wy ciemnogrodzianie coś sobie ubzduraliście, by bronić granicy przed chopinopodobnymi wrażliwcami, chwilowo z kamieniami, kłodami, granatami hukowymi i nożycami do cięcia drutu. A my, ludzie na poziomie, ich uprzejmie zapraszamy...

Ryszard Makowski

Jonasz Kofta mawiał, że najtragiczniejszy dla artysty jest moment, gdy zaczyna mieć większe brawa na wejście niż na zejście ze sceny. Z szumnie zapowiadanego eventu wyszło... no właśnie, nie wiadomo, co wyszło... Trudno znaleźć jakąś relację. Miała być etiuda rewolucyjna, a ciumkali „Wlazł kotek na płotek" na grzebieniu. Swoistą reklamę zrobili sobie Stanisław Soyka i Alicja Majewska. Do tej pory umiejętnie się maskowali, a tu raptem taki światopoglądowy coming out.

Warto też zauważyć, że Barbara Kurdej-Szatan to wybitna aktorka. Tak sugestywnie grać w reklamach osobę sympatyczną, i to przez tyle lat, musiało wymagać od niej ogromnej samodyscypliny. A jej powołanie to bluzgi! Niestety nie tylko jej z naszego celebryckiego parnasu. A do tego nawet nie wiedzą, kim był Chopin.

eprasa.pl 693012e7cd

Michał Korsun prezentuje:
„Zbigniew Hołdys: Chopin też był uchodźcą" (i rzucał kamieniami w Straż Graniczną)

Wycinki z przeszłości

KOCIA ELEGANCYA.

Redakcja tygodnika „Niwa Polska" zamieściła w wydaniu na 20 listopada zabawną, podsłuchaną w mieście, anegdotę.

„Bogata córka znanych ze skąpstwa właścicieli kamienicy na prowincyi, wyszła z domu i nie powróciła do niego więcej.

– Panie Karolu – odzywa się do jednego z młodych ajentów śledczych komisarz policyi, zajmij się pan odszukaniem dziewczyny. To panna, która świeżo odziedziczyła po swojej ciotce, utrzymującej sklep z wiktuałami, trzydzieści tysięcy koron, a po rodzicach dostanie dwa razy więcej.

W kilka dni potem zgłasza się do urzędu policyjnego ajent, z oświadczeniem, że pannę znalazł.

– Gdzież ona jest? – zapytuje komisarz. – Czy aby w bezpiecznem schronieniu?

– W bezpiecznem, panie komisarzu – odpowiedział zapytany – od wczoraj bowiem jest moją żoną".

Słusznie zatytułowała redakcja tę opowiastkę: „Dla kogo znalazł?". Ale ważne, że znalazł.

Na zdjęciu ilustracja z tego samego czasopisma.

(mk)

Przyjaciołom w podzięce

Leszek Długosz

Za szklankę herbaty na pustyni
Za kubeł zimnej wody
Gdy zasłuży głowa, to oczywiste
W ogóle o czym mowa?
Ale najbardziej
Czego się pewnie nie domyślają
Że z ich powodu
Że to przez wzgląd na nich: nie
Jednak nie
Nie powinienem
Nie mogę
Hamulec i kaganiec.
Że zła nie przysparzam więcej
Niż mógłbym. Wyznajmy szczerze
Niż miałbym (mam) na to ochotę.
Że powściągliwość przez nich ćwiczę.
Nie wiem, czy bardziej powstrzymuje mnie
Ludzkość, Prawo, Przykazanie z Góry
Czy: co ja powiem?
Jak ja im jutro spojrzę w oczy?

Świat aniby odgadł, jak dla ich starań
Pręgierz bywał mi oszczędzany.
Milczenie ich – lecz jak wymowne
Jak ostrzegało mnie
Przede mną samym.
Błogosławcie, konfesjonały
Sprzymierzeńcom owym.
Aniby wam do uszu przyszło
Ile mniej (dzięki komu)
Słuchałyście zawstydzających wyznań.
Przyjaciołom – wdzięczność
Za wszystkie pożytki, jakie mam
Z ich istnienia
Jawne
I których się pewnie nigdy nie domyślą.
Ach, za te zwłaszcza – może nawet
O wiele bardziej...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 693012e7cd

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Serce i rozum

Sytuacja na granicy polsko-białoruskiej niepokoi wszystkich – niezależnie od opcji. Ale niepokój dotyczy różnych problemów. W uproszczeniu lewica wznosi lament nad krzywdą ludzką, a prawica chce twardo bronić granic, podkreślając kwestie bezpieczeństwa.

MYŚLĄCY LUDZIE CZY NIE?

Jak mamy patrzeć na szturmujących naszą granicę ludzi, którzy chcą się dostać do Polski, by się dostać do Niemiec? Czy można wszystkich traktować jak dzieci? (Którymi, jak widzimy, chętnie się zasłaniają, by zyskać współczucie). Jak dzieci we mgle, którym trzeba pomóc trafić na właściwą drogę? Dzieci, czyli osoby nie bardzo rozumiejące, co się z nimi dzieje? Zagubione, w sytuacji przymusowej, niemal bez wyjścia, jako osoby, którymi przede wszystkim należy się zaopiekować?

Czy może – niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji by się znaleźli – jednak traktować jako myślące istoty ludzkie, mające swój rozum, zdolność do dokonywania mniej lub bardziej przemyślanych, ale jednak jakoś racjonalnych, wyborów? Zatem osoby jednak ponoszące odpowiedzialność – częściową przynajmniej – za to, gdzie się znalazły, i za to, co robią?

A może ci dorośli zostali skutecznie i tak głęboko zmanipulowani, że już nie odpowiadają za swoje czyny? Ale zmanipulowani przez kogo? Przez Białorusinów? Przez swoich muzułmańskich duchownych zachęcających ich do dalekiej podróży na Północ? Kuszonych przez krewnych już jakoś osadzonych w np. Niemczech czy Austrii, którzy obiecują im pomoc w urządzeniu się?

To jak w końcu powinniśmy ich traktować? Jako myślących ludzi, którzy za swoje czyny odpowiadają, czy jako tylko marionetki?

W walce z kryzysem migracyjnym nieodzowne jest jednoczesne uwzględnianie *wymiaru humanitarnego* oraz *bezpieczeństwa*

DZIŚ, JUTRO, POJUTRZE

Gdy widzi się tylko cierpienie zbłąkanych migrantów (w obecnej sytuacji nader drobna część z nich to prawdziwi uchodźcy), to znika skomplikowane tło geopolityczne, na którym faktycznie rozgrywa się cały kryzys, a poważną sytuację na granicy sprowadza się tylko do abstrakcyjnego problemu „biednych ludzi", których polski rząd jakoby nie chce nakarmić.

Zamykanie oczu na wymiar strukturalny, nawet geostrategiczny, obecnego kryzysu migracyjnego może jeszcze uchodzi aktorom czy aktywistycznym celebrytom, ale w przypadku polityków jest zwyczajnie głupie, bo przypomina naiwne zaklinanie rzeczywistości.

Czy wolno na problem niekontrolowanych migracji patrzeć tylko w krótkiej perspektywie tego, co dzieje się tu i teraz?

W latach 2015–2019 w wodach Morza Śródziemnego utonęło ponad 15 tys. migrantów. Część z nich ruszyła w drogę na niewiarygodnie przeładowanych łódkach czy pontonach nie tylko w przekonaniu, że dotrą do lepszego świata, że znajdą pracę w bogatych Niemczech. Byli także przekonani, że jeśli ich łodziom coś się złego stanie albo nawet jeśli przemytnicy wywalą ich do wody w pobliżu włoskiego brzegu, to inni dobrzy ludzie na pewno z wody ich wyciągną. Wielu się tego nie doczekało. Nie wiemy, ile było wśród nich małych dzieci, których nie sfilmowały żadne kamery świata.

Czy ci zapraszający wtedy migrantów do Europy już wzięli na swoje sumienie te nieznane nikomu ofiary?

I HUMANITARNIE, I BEZPIECZNIE

Czy naprawdę tak trudno jest sobie uświadomić, że w walce z kryzysem migracyjnym nieodzowne jest *jednoczesne uwzględnianie* obu podstawowych stron problemu: wymiaru humanitarnego *oraz* bezpieczeństwa? Tylko właściwe zbilansowanie tych dwóch perspektyw daje szansę na wypracowanie sensownej polityki i scenariuszy rozwiązania kryzysu.

Organizmy państwowe zachowują swoją zdolność do działania tylko wtedy, gdy potrafią zapewnić bezpieczeństwo swoim obywatelom, czyli zdolność do dalszego funkcjonowania swoich instytucji. Ale zarazem państwa są miejscami na ziemi, w których warto żyć tylko wtedy, gdy instytucje nie przysłaniają ludzkiej krzywdy.

Ale nie ma co się oszukiwać: państwo, które nie troszczy się o swoje bezpieczeństwo, traci zdolność do działania i już nie jest w stanie nikomu pokazać swojej ludzkiej twarzy.

Niezbędne są i rozum, i serce. Rozum dostrzega długofalowe konsekwencje działań, a serce chroni przed okrucieństwem.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 49/1021/F

eprasa.pl 693012e7cd

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności tygodnika SIECI

IX EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz dziewiaty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością

2020
Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek

2019
Premier
Mateusz Morawiecki

2018
Wicepremier
prof. Piotr Gliński

2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

2016
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2015
Prezydent RP
Andrzej Duda

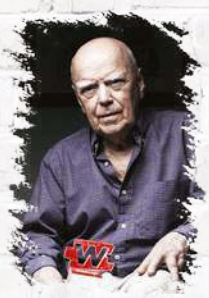

2014
Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz

2013
Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2021**. Prosimy wypełnić kupon i przesłać go do 10 grudnia 2021 r. na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt". Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2021 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata .....

uzasadnienie .....

.....

.....

☐ Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2021 tygodnika Sieci" dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

* pole obowiązkowe

Partnerzy plebiscytu

Bank Pekao · LOTOS · ORLEN · PGNiG · Bank Polski · TOTALIZATOR SPORTOWY · 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl 693012e7cd

#WielkieChwile

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Grając w gry **LOTTO**, wspierasz kulturę

DZIĘKUJEMY!

ŁUKASZ BYRDY
Pianista

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, to 19 groszy dla sportu i kultury